Karczewski:
Strategia umiędzynarodowienia

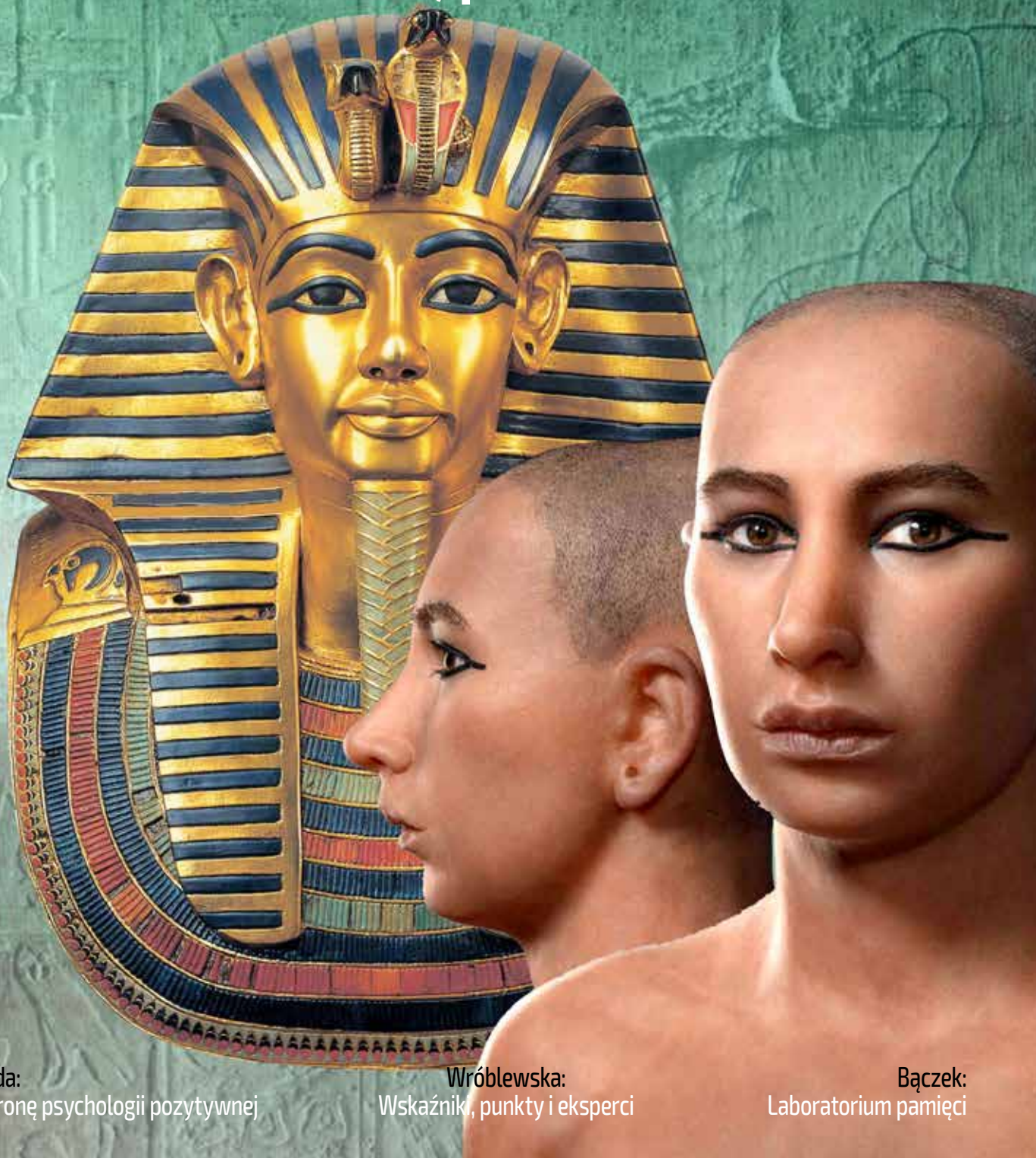
Kieraciński:
Subwencje w 2026

Tabor i in.:
Nauka i AI

FORUM AKADEMICKIE

Ogólnopolski miesięcznik środowisk akademickich **Nr 6/2026** PL ISSN 1233-0930 22 zł (VAT 8%)

Prawda w nauce, prawda w historii



Gawda:
W stronę psychologii pozytywnej

Wróblewska:
Wskaźniki, punkty i eksperci

Bączek:
Laboratorium pamięci

Nagroda PAN na europejskim tle

Pod koniec czerwca wręczono po raz pierwszy Nagrodę Polskiej Akademii Nauk. Została ustanowiona w celu wyróżniania osób, których osiągnięcia wnoszą przełomowy wkład w rozwój nauki i budowanie międzynarodowej pozycji polskich badań i naukowców. Pierwszą laureatką została prof. Agnieszka Chacińska, dyrektorka Międzynarodowego Instytutu Mechanizmów i Maszyn Molekularnych IMol PAN. Doceniono ją za odkrycie mechanizmów funkcjonowania komórki, które otwierają nowe perspektywy w badaniach mitochondrialnych i neurodegeneracyjnych.

– Do odkryć, które są istotą nauki, potrzeba kreatywności i odpowiednich warunków, a nie codziennej walki z biurokracją i martwieniem się o fundamenty, także finansowe. Tylko połączenie tych czynników może dać owoce w postaci ważnych odkryć, przy czym tylko niewielki promil z nich zostanie nagrodzony Noblem – mówiła Anecie Zawadzkiej w wywiadzie, który można przeczytać na naszej stronie internetowej.

O Noblu badaczka wspomniała nie przez przypadek. Nagroda PAN ma w założeniu jej głównego pomysłodawcy, prof. Marka Konarzewskiego, prezesa Akademii, niejako wskazywać polskich kandydatów do najważniejszego międzynarodowego lauru. Czy tak będzie, przekonamy się w kolejnych latach. Z pewnością już dziś kwota 400 tys. zł (ok. 92 tys. euro) jest nie tylko najwyższą pod względem finansowym gratyfikacją naukową w naszym kraju, ale należy również do najbardziej atrakcyjnych pod względem materialnym nagród przyznawanych przez akademie i instytucje naukowe w Europie.

W Belgii raz do roku przyznaje się Prix Francqui. Nagrodę, którą ustanowiono w 1933 roku, wręcza sam król. Jej wartość to około 250 tys. euro. Holenderska Organizacja Badań Naukowych (Nederlandse Organisatie voor Wetenschappelijk Onderzoek, NWO) i Królewska Holenderska Akademia Sztuk i Nauk (Koninklijke Nederlandse Akademie van Wetenschappen, KNAW) przyznają od 1995 roku Spinozapremie, nazywaną też „holenderskim Noblem". Trafia do wybitnych naukowców tego kraju za przełomowe badania o międzynarodowym znaczeniu. Laureaci otrzymują 1,5 mln euro na dalsze prace badawcze. W 2018 roku ustanowiono z kolei Stevinpremie, która docenia wyjątkowy wkład i wpływ badań na społeczeństwo i gospodarkę. Zwycięzcy również otrzymują 1,5 mln euro.

We Francji pierwsze nagrody akademickie przyznano już w XVIII wieku, od tamtego czasu system wyróżnień był stopniowo rozwijany. Obecnie raz w roku wręczana jest (w kilku kategoriach dziedzinowych, m.in. w matematyce, fizyce, chemii, biologii, informatyce) Prix de l'Académie des Sciences. Wartość nagrody waha się od ok. 10 tys. euro do 80 tys. euro. Również co roku Centre national de la recherche scientifique (CNRS) przyznaje Médaille d'or du CNRS, ale to wyróżnienie o symbolicznej wartości.

Porównywalna, jeśli chodzi o wartość, z polską nagrodą może być włoska Premio Feltrinelli, którą przyznaje od 1950 roku **Accademia dei Lincei** (znana też jako Akademia Rysiów). To najstarsze istniejące (od 1603 roku) i jedno z najbardziej prestiżowych stowarzyszeń naukowych na świecie. Laureat otrzymuje 100 tys. euro. Z kolei Uniwersytet w Padwie przyznaje Premio Galileo za upowszechnianie nauki. Ta nagroda ma wymiar czysto symboliczny.

W Niemczech najważniejszą i najwyżej dotowaną nagrodą jest Gottfried Wilhelm Leibniz-Preis. Przyznawana jest corocznie przez Deutsche Forschungsgemeinschaft wybitnym naukowcom w celu poprawy ich warunków pracy. Jej wartość to 2,5 mln euro na okres 7 lat. Z kolei prezydent Niemiec wręcza od trzydziestu już lat Deutscher Zukunftspreis w uznaniu wybitnych innowacji technicznych, inżynieryjnych, ścisłych lub przyrodniczych, które zostały doprowadzone do etapu gotowości rynkowej. Wartość nagrody wynosi 250 000 euro.

W Austrii najważniejszą i najwyższą nagrodą naukową jest Wittgenstein-Preis. Ma na celu zapewnienie badaczom maksymalnej swobody i środków na realizację przełomowych projektów. Stąd jej rekordowa wartość – do 2 milionów euro na okres 5 lat. Nagrodę przyznaje Fundusz na rzecz finansowania badań naukowych (FWF) z ramienia Federalnego Ministerstwa Nauki Republiki Austrii.

Wybitni hiszpańscy naukowcy otrzymują za całokształt dorobku Premios Nacionales de Investigación. Nagroda przyznawana jest od 1982 roku za wkład w rozwój różnych dziedzin nauki. Łącznie co roku hiszpańskie Ministerstwo Nauki honoruje w ten sposób 20 badaczy, każdy otrzymuje po 30 tys. euro.

I jeszcze Wielka Brytania. Tu nagród jest bez liku, ale najbardziej prestiżową (a przy tym i najstarszą na świecie) jest Medal Copleya. Przyznawany jest od 1731 roku przez Royal Society za wybitne osiągnięcia w badaniach naukowych. Jego wartość to 25 tys. funtów, czyli ok. 125 tys. zł.

Dodajmy na koniec, że laureaci Nagrody Nobla otrzymują 11 mln koron szwedzkich (ok. 1 mln euro).

MK



INFORMACJE I KOMENTARZE

Wydarzenia ... 2

Ile kto dostał w roku 2026
– *Piotr Kieraciński* ... 6

O strukturalnych źródłach polskich wojen o ewaluację
– *Łukasz Remisiewicz* ... 8

Ku doskonałości Uniwersytetu: rozwój czy eksploatacja?
– *Agnieszka Zimmermann* ... 10

Pollyannaizm finansowy
– *Adrian Jusupović* ... 12

Wznowiona profesura
– *Marek Wroński* ... 13

Władcy algorytmów
– *Paweł Poszytek* ... 14

Jak za 20 milionów zł rocznie radykalnie wzmocnić polską naukę w AI
– *Jacek Tabor* ... 16

Nowi profesorowie ... 17

AI, uczelnie i cała reszta
– *Jakub Z. Lichański* ... 18

AI, autorstwo i odpowiedzialność
– *Marcin M. Mirończuk* ... 18

Bezsens (obecnej) matury
– *Przemysław Piotr Damski* ... 20

Świat tak nie wygląda
– *Piotr Kieraciński* ... 22

Studenckie sukcesy na światowych arenach
– *Piotr Kieraciński* ... 23

Nagroda PAN na europejskim tle ... II str. okładki

ROZMOWA FORUM

Kapitał intelektualny jest podstawą rozwoju państwa
– *rozmowa z dr. Wojciechem Karczewskim, dyrektorem NAWA* ... 24

PRAWDA W NAUCE, PRAWDA W HISTORII

Dlaczego nauka „potrzebuje" prawdy
– *Jacek Moroz* ... 28

Mikroskop z opcją wehikułu czasu
– *Sebastian Adamkiewicz* ... 34

ŻYCIE NAUKOWE

Nauka jako produkcja. Cz. III
– *Adam Krzyż* ... 38

Talenty w nauce
– *Zbigniew Drozdowicz* ... 43

Ucieczka od niepewności – w ramiona punktozy
– *Marta Wróblewska* ... 46

Z archiwum nieuczciwości naukowej (222)

Nagana za plagiat
– *Marek Wroński* ... 48

ŻYCIE AKADEMICKIE

Nauka: jak robić więcej i lepiej za mniej. Cz. II
– *Marek Przybylski* ... 52

Dobrostan artysty
– *rozmowa z dr. hab. Adamem Świerżewskim, prof. ASP, rektorem ASP w Gdańsku* ... 56

Z LABORATORIÓW

Czy można zmienić bolesne wspomnienia?
– *Julia Bączek* ... 61

Trzeba szukać luk w obszarach wiedzy
– *Rozmowa z prof. Barbarą Gawdą, kierownikiem Katedry Psychologii Emocji i Osobowości UMCS* ... 64

W STRONĘ HISTORII

Profesor Stanisław Trzebiński (1861–1930)
– *Lubow* Żwanko, *Dmytro Kibkało* ... 67

Portrety nauki polskiej

Lwowianin w Toruniu
– *Marcelina Smużewska* ... 71

OKOLICE NAUKI

Książki

Lisy i jeże: ekologia od kuchni
– *Piotr Tryjanowski* ... 75

Oswajanie AI
– *Jacek Hnidiuk* ... 77

Klasyk współczesności
– *Grzegorz Filip* ... 77

W zwierciadle, niejasno
– *Marek Misiak* ... 78

Kobiety w branży książkowej
– *Tomasz Kłusek* ... 78

Przywrócić zaburzoną harmonię
– *Bogdan Bernat* ... 79

Współczesna dystopia
– *Weronika Zuzanna Jabłońska* ... 79

FELIETON

Rozmowy o języku

Siedem występków przeciwko polszczyźnie
– *Krzysztof Goczyła* ... 80

Projekt okładki
– *Sławomir Makal*

FORUM AKADEMICKIE **Ogólnopolski miesięcznik środowisk akademickich** **Rok XXXIII Nr 6 (391) Czerwiec 2026**

Adres redakcji: 20-601 LUBLIN, ul. Tomasza Zana 38, tel. 81 528 08 22, e-mail: redakcja@forumakademickie.pl, http://www.forumakademickie.pl. **Rada Patronacka:** prof. dr hab. Wiesław Banyś, prof. dr hab. Katarzyna Chałasińska-Macukow, prof. dr hab. Andrzej Eliasz, prof. dr hab. Jarosław Górniak, prof. dr hab. inż. Andrzej Jajszczyk, prof. dr. hab. inż. Jan Szmidt, prof. dr hab. inż. Jerzy Woźnicki – przewodniczący. **Redaguje zespół:** Piotr Kieraciński – dział informacji, redaktor naczelny (kieracinski@forumakademickie.pl), Mariusz Karwowski – informacje, media elektroniczne (karwowski@forumakademickie.pl), Marek Remiszewski – sekretarz redakcji (remiszewski@forumakademickie.pl). **Stała współpraca:** Stefan Ciechan (fotograf), Paweł Kaniuk (DTP, www.web-graf.pl), Sławomir Makal (grafika), Marek Wroński (Marekwro@gmail.com), Aneta Zawadzka. **Promocja, kolportaż, konferencje:** reklama@forumakademickie.pl), Ewa Kostowska (kostowska@forumakademickie.pl). **Wydawca:** Fundacja Forum Akademickie, ul. Tomasza Zana 38 a, 20-601 LUBLIN. Prezes Zarządu: Piotr Kieraciński. **Druk:** Akapit Intro Sp. z o.o.

© Wszelkie prawa zastrzeżone. Informacje dla autorów: https://forumakademickie.pl/dla-autorow/. Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, a także zastrzega sobie prawo do skracania i opracowywania artykułów oraz zmiany ich tytułów. Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i reklam.

Prenumerata: Zamówienia należy składać na adres redakcji. Konto: PEKAO S.A. 21124054971111001061654371. Prenumerata roczna dla instytucji 230 zł. Prenumerata roczna indywidualna 166 zł. e-mail: prenumerata@forumakademickie.pl. PL ISSN 1233-0930

MNiSW Projekt dofinansowany ze środków budżetu państwa, przyznanych przez Ministra Nauki w ramach Programu Społeczna odpowiedzialność nauki II

ERC Advanced Grant dla prawniczki z Wrocławia

WROCŁAW Dr hab. Karolina Kremens z Uniwersytetu Wrocławskiego zdobyła ERC Advanced Grant. Jako jedyna z Polski znalazła się w gronie 319 laureatów i laureatek konkursu. To pierwszy w historii grant ERC dla UWr i pierwszy uzyskany przez polską uczelnię w obszarze nauk prawnych. Badaczka otrzymała 2,5 mln euro na projekt „crimPROfem", w którym spróbuje spojrzeć na proces karny, uwzględniając doświadczenia osób i grup, których perspektywy były dotąd marginalizowane. Punktem wyjścia jest założenie, że rozwiązania prawne, podobnie jak inne instytucje społeczne, powstawały historycznie przede wszystkim na podstawie doświadczeń dominującej grupy społecznej – mężczyzn. Spróbuje odpowiedzieć na pytanie, w jaki sposób cyfrowa transformacja może przyczynić się do budowy bardziej sprawiedliwego i dostępnego procesu karnego. Dr Kremens specjalizuje się w porównawczym i międzynarodowym postępowaniu karnym, wpływie nowych technologii na funkcjonowanie wymiaru sprawiedliwości oraz feministycznej teorii prawa. Na UWr kieruje Centrum Digital Justice.


Fot. Dominika Hull

Kolejny Polak w EMBO

HEIDELBERG Dr Wojciech Galej, od 2016 roku lider grupy badawczej w Europejskim Laboratorium Biologii Molekularnej w Grenoble, znalazł się w gronie 71 nowo wybranych członków Europejskiej Organizacji Biologii Molekularnej. To 21 polski naukowiec w EMBO. Jest biologiem strukturalnym specjalizującym się w badaniach kompleksów RNA–białko. Jego prace koncentrują się na molekularnych mechanizmach splicingu pre-mRNA, w tym na strukturze i funkcji dużych kompleksów makromolekularnych uczestniczących w obróbce RNA. Prowadzony przez niego zespół bada podstawowe procesy ekspresji genów istotne dla zrozumienia biologii komórki i mechanizmów chorób człowieka. W październiku dołączy do Międzynarodowego Instytutu Biologii Molekularnej i Komórkowej w Warszawie, by pokierować Laboratorium Splicingu RNA. Tu będzie realizował otrzymany w grudniu ub.r. grant ERC Consolidator (wcześniej, w 2020 roku, zdobył ERC Starting Grant). Projekt dotyczy mechanizmów regulacji splicingu w kontekście komórkowym i wykorzystuje zaawansowane metody biologii strukturalnej, w tym kriomikroskopię elektronową, kriotomografię elektronową in situ oraz modelowanie z użyciem sztucznej inteligencji.


Fot. Stuart Ingham

Nowy dyrektor Instytutu Matematycznego PAN

WARSZAWA Prof. Zbigniew Błocki, były dyrektor Narodowego Centrum Nauki, został nowym dyrektorem Instytutu Matematycznego PAN. Zastąpił na tym stanowisku dr. hab. Karola Palkę, który kierował placówką przez ostatnie cztery lata. Specjalizuje się w analizie zespolonej – to dział matematyki obejmujący funkcje liczb zespolonych, a więc zawierających tzw. część urojoną. Ukończył studia matematyczne na Uniwersytecie Jagiellońskim i z tą uczelnią związany jest do dziś. Był wicedyrektorem (2008–2011), a następnie dyrektorem (2011–2012) Instytutu Matematyki UJ. Pracował naukowo także w Instytutach Maxa Plancka w Bonn i Lipsku. W 2015 roku objął funkcję dyrektora NCN, którą sprawował przez dwie kadencje. W ubiegłym roku został członkiem korespondentem PAN. Instytut Matematyczny jest jednym z głównych ośrodków naukowych z zakresu badań matematycznych w Polsce. Częścią instytutu jest Międzynarodowe Centrum Matematyczne im. Stefana Banacha, które promuje i wspiera międzynarodową współpracę matematyków. W strukturze instytutu jest Centralna Biblioteka Matematyczna, największa biblioteka matematyczna w Polsce, która posiada w swoich zbiorach ponad 80 tys. woluminów książek i ponad 85 tys. woluminów czasopism.


Fot. PAN

Polska ekonomistka na czele EAPS

WARSZAWA Prof. Anna Matysiak z Katedry Ekonomii Ludności i Demografii na Wydziale Nauk Ekonomicznych Uniwersytetu Warszawskiego, kierująca Interdyscyplinarnym Centrum Badań nad Rynkiem Pracy i Rodziną (LabFam), została wybrana na przewodniczącą European Association for Population Studies. To najważniejsza europejska organizacja naukowa skupiająca badaczy procesów ludnościowych i demograficznych. Odgrywa kluczową rolę w kształtowaniu debaty naukowej dotyczącej wyzwań demograficznych współczesnego świata. Prof. Matysiak jest ekonomistką specjalizującą się w demografii. W swojej pracy naukowej koncentruje się na analizie wpływu przemian zachodzących na rynku pracy w Polsce i w Europie wywołanych m.in. globalizacją i zmianą technologiczną na decyzje o posiadaniu dzieci, a także na relacjach pomiędzy sytuacją rodzinną a karierą zawodową kobiet i mężczyzn. Jej badania pomagają lepiej zrozumieć, dlaczego w Europie rodzi się coraz mniej dzieci, a także pokazują, co można zrobić, aby wspierać zarówno rodziny, jak i rozwój zawodowy kobiet. W 2019 roku zdobyła ERC Consolidator Grant na projekt LABFER dotyczący wpływu zmian technologicznych i globalizacji na dzietność. W grudniu ub.r. odebrała Nagrodę Fundacji na rzecz Nauki Polskiej za zidentyfikowanie kluczowych cech rynku i warunków pracy wpływających na dzietność.


Fot. UW

Piorunujące szefostwo dla Polaka

SAPPORO Dr hab. inż. Grzegorz Masłowski z Politechniki Rzeszowskiej został wybrany na przewodniczącego International Conference on Lightning Protection. To międzynarodowa organizacja naukowo-techniczna zajmująca się rozwijaniem i promowaniem badań naukowych w dziedzinie fizyki piorunów oraz metod poprawy ochrony ludzi, zwierząt i mienia przed skutkami wyładowań atmosferycznych. Po raz pierwszy w historii na jej czele stanął polski naukowiec. Jego zainteresowania badawcze dotyczą fizyki i modelowania wyładowań atmosferycznych, ochrony odgromowej oraz kompatybilności elektromagnetycznej. Jest kierownikiem Katedry Elektrotechniki i Podstaw Informatyki na Wydziale Elektrotechniki i Informatyki PRz. Prowadzi Zespół Badań Wyładowań Atmosferycznych. W latach 2016–2020 był prorektorem ds. kształcenia. Międzynarodowa konferencja ICLP po raz pierwszy zorganizowana została w niemieckim Bad Reichenhall w 1951 roku. Odbywa się cyklicznie co 2 lata. W Polsce gościła czterokrotnie: w Krakowie (1965, 2002), Gdańsku (1978) oraz w murach Politechniki Rzeszowskiej (2018).


Fot. Beata Motyka

Polski PEN Club ma nową szefową

KRAKÓW Po raz pierwszy w powojennej historii Polskiego PEN Clubu na czele organizacji stanie kobieta – dr hab. Magdalena Heydel z Wydziału Polonistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego, gdzie kieruje Centrum Badań



Przekładoznawczych. Naukowo zajmuje się przekładoznawstwem i komparatystyką literacką. Jest tłumaczką literatury języka angielskiego, edytorką przekładów poetyckich Czesława Miłosza i Stanisława Barańczaka. W 2021 r. otrzymała Nagrodę Literacką Gdynia w kategorii przekład na język polski (*Opowiadania* Katherine Mansfield). Dwukrotnie nominowana do nagrody Europejski Poeta Wolności (2018, 2020). Należy do International Association for Translation and Intercultural Studies (IATIS). PEN Club jest międzynarodowym stowarzyszeniem pisarzy, tłumaczy i wydawców, powstałym w 1921 roku w Wielkiej Brytanii. Organizacja opowiada się za wolnością słowa, swobodą twórczości oraz dialogiem ponad podziałami politycznymi, narodowymi i kulturowymi. Polski PEN Club został założony w 1925 roku i jest częścią międzynarodowej sieci PEN International.

Ponad 1 mld euro z HE dla Polski

BRUKSELA Ponad 1 mld euro pozyskali już polscy beneficjenci w konkursach programu Horyzont Europa. To kwota znacznie przewyższająca łączne finansowanie zdobyte przez Polskę w programie Horyzont 2020 (747 mln euro). Nasz udział w całkowitym finansowaniu przyznawanym krajom UE sięga już 1,85% (w całym H2020 – 1,19%). Umowy na realizację 1880 projektów podpisało już 809 polskich organizacji. Prawie 60% polskich środków zgarnęły uczelnie, instytuty badawcze, instytuty PAN, instytuty Sieci Badawczej Łukasiewicz i inne podmioty naukowe. W podziale 593,1 mln euro uczestniczy łącznie 195 organizacji tego sektora. Liderem pozostaje Uniwersytet Warszawski, którego naukowcy biorą udział w rekordowej liczbie 135 przedsięwzięć, z których 37 koordynują. Na stołeczną uczelnię trafiło z tego tytułu już ponad 65,7 mln euro. Na drugim miejscu znajduje się Uniwersytet Jagielloński (45,4 mln euro), a podium zamyka Instytut Chemii Bioorganicznej Polskiej Akademii Nauk (32,57 mln euro). Powyżej 20 mln euro pozyskały: Akademia Górniczo-Hutnicza w Krakowie (25,9 mln euro), Politechnika Warszawska (24,02 mln euro), Politechnika Wrocławska (21,04 mln euro). W całym programie rozdysponowano do tej pory 64,8 mld euro. Najwięcej z tej puli pozyskały: Niemcy (10 mld euro), Francja (7,1 mld euro), Hiszpania (6,7 mld euro). Polska zajmuje 16 pozycję.

Kwantowy impuls z Krakowa

KRAKÓW Trzy największe krakowskie uczelnie: Uniwersytet Jagielloński, Politechnika Krakowska, Akademia Górniczo-Hutnicza, podpisały list intencyjny w sprawie utworzenia zaawansowanego hubu naukowo-technologicznego. Ich rektorzy chcą stworzyć pod Wawelem jeden z wiodących w Europie Środkowo-Wschodniej ośrodków technologii obliczeń kwantowych o skalowalnej mocy obliczeniowej. Współpraca ma koncentrować się na realizacji projektów naukowych i badawczo-rozwojowych, rozwoju infrastruktury analitycznej oraz pozyskiwaniu finansowania krajowego i międzynarodowego. Uczelnie zadeklarowały współpracę ekspercką w obszarach obejmujących m.in. modele kwantowe, bioinżynierię, cyberbezpieczeństwo, algorytmy optymalizacyjne oraz sztuczną inteligencję. Rolę partnera gospodarczego będzie pełnił nowosądecki NEWAG SA.



Fot. Adam Koprowski

Będą badać naukę i szkolnictwo wyższe

WARSZAWA W Ośrodku Przetwarzania Informacji – Państwowym Instytucie Badawczym rozpoczęło działalność Centrum Badań nad Nauką i Szkolnictwem Wyższym. Nowa jednostka będzie prowadzić badania naukometryczne, analizy jakościowe i ilościowe dotyczące systemu nauki oraz szkolnictwa wyższego, rozwijać monitoring karier absolwentów, a także przygotowywać raporty i rekomendacje o strategicznym znaczeniu dla administracji publicznej, uczelni i instytucji badawczych. Nowa jednostka ma się stać miejscem współpracy ekspertów z Polski i zagranicy oraz platformą wymiany wiedzy pomiędzy środowiskiem naukowym, administracją i partnerami międzynarodowymi. Istotnym obszarem działalności będzie także rozwój dostępu do danych publicznych oraz ich standaryzacja zgodnie z zasadami data governance. W pierwszych latach działalność Centrum Badań nad Nauką i Szkolnictwem Wyższym skoncentruje się na budowaniu trwałej pozycji eksperckiej oraz wzmacnianiu wpływu analiz na kształtowanie polityki naukowej. Ambicją twórców jednostki jest również wzmacnianie debaty o przyszłości nauki, tak aby raporty i opracowania instytutu były wykorzystywane przez decydentów, środowisko akademickie i media jako rzetelne źródło wiedzy, które wspierają rozwój polskiego systemu nauki oraz jego aktywną obecność w Europejskiej Przestrzeni Badawczej. Nową jednostką kieruje dr Aldona Tomczyńska.

NCN wprowadza ograniczenia

KRAKÓW Wprowadzenie limitów w liczbie składanych wniosków planuje od przyszłego roku Rada Narodowego Centrum Nauki. Za dwa lata ma z kolei zostać wprowadzone ograniczenie udziału w konkursie OPUS. Zmiany mają związek z rosnącą liczbą wniosków oraz rosnącymi kosztami realizacji projektów przy utrzymującym się ograniczonym budżecie agencji. Konsekwencją jest nadmierne obciążenie organizacyjne zarówno samego NCN, jak i ekspertów oceniających aplikacje. Skalę rozbieżności obrazował kilka miesięcy temu w FA prof. Krzysztof Jóźwiak, dyrektor Centrum. W każdym konkursie OPUS (ogłaszany jest 2 razy w roku) wartość składanych wniosków sięga blisko 4 mld zł. Aby osiągnąć współczynnik sukcesu na poziomie około 25%, NCN musiałby przeznaczać około 1 mld zł na każdy konkurs, czyli około 2 mld zł rocznie. To więcej niż wynosi cała dotacja celowa NCN (ok. 1,7 mld zł) obejmująca finansowanie wszystkich konkursów agencji. Dlatego Rada proponuje, by ta sama osoba mogła być wskazana jako kierownik projektu tylko w jednym wniosku złożonym w konkursach NCN w ciągu danego roku kalendarzowego. Ponadto od roku 2028 kierownik projektu, który otrzymał co najmniej dwa granty OPUS w ciągu ostatnich 10 lat, będzie mógł aplikować o kolejny dopiero po wcześniejszym złożeniu wniosku w programach European Research Council. Ma to być zachętą do większej aktywności w pozyskiwaniu środków europejskich.

Wyróżnienie dla polskiej badaczki

HELSINKI Dr Magdalena Warszewska-Makuch z Centralnego Instytutu Ochrony Pracy – Państwowego Instytutu Badawczego została laureatką prestiżowej międzynarodowej nagrody Eusebio Rial-González Innovation & Practice Award in Occupational Health Psychology. Wyróżnienie przyznawane wspólnie przez Europejską Agencję Bezpieczeństwa i Zdrowia w Pracy (EU-OSHA) oraz Europejską Akademię Psychologii Zdrowia Pracy (EAOHP) jest jednym z najważniejszych w dziedzinie psychologii zdrowia pracy. Trafia do osób, które łączą wysoką jakość badań



Fot. Arch. prywatne

naukowych z praktycznymi rozwiązaniami służącymi poprawie warunków pracy i dobrostanu pracowników. Nagroda dla Polki jest wyrazem uznania dla jej ponad 20 lat pracy badawczej poświęconej psychospołecznym czynnikom ryzyka, takim jak stres zawodowy, mobbing, cyberprzemoc oraz inne formy przemocy i nękania. Prowadzone przez nią badania przyczyniają się do lepszego rozumienia wpływu tych zagrożeń na zdrowie pracowników oraz wspierają tworzenie skutecznych metod ich ograniczania. Wraz z postępującą cyfryzacją i zmianami organizacji pracy, zagrożenia psychospołeczne stają się jednym z kluczowych wyzwań dla bezpieczeństwa i zdrowia pracowników. Mogą prowadzić do pogorszenia zdrowia psychicznego i fizycznego, zwiększenia absencji, wypalenia zawodowego, depresji, a w efekcie do spadku efektywności całej organizacji.

Technologie transportowe pod jednym dachem

WARSZAWA Centrum Elektromobilności i Automatyzacji Transportu otwarto w Łukasiewicz – Przemysłowym Instytucie Motoryzacji. Dzięki inwestycji placówka rozbudowała zaplecze laboratoryjne w obszarach elektromobilności, autonomizacji transportu i bezpieczeństwa pojazdów. Centrum składa się z kilku współpracujących ze sobą laboratoriów. Laboratorium Elektroniki i Akustyki dysponuje komorą semi-bezodbiciową przystosowaną do pojazdów o długości do 12 m i masie do 50 ton. Dzięki inwestycji laboratorium uruchomiło zasilanie do 800 A i 1000 V DC – kluczowe dla badań pojazdów elektrycznych i hybrydowych. Laboratorium Badań Symulacyjnych odtwarza w warunkach laboratoryjnych obciążenia, jakim produkt będzie podlegał przez całe lata użytkowania. Nowa aparatura umożliwia prowadzenie testów z wymuszeniami do 1000 kN. Badaniom poddawane są m.in. konstrukcje pojazdów, elementy zawieszeń, urządzenia sprzęgające czy systemy mocowań. Laboratorium Bezpieczeństwa Pojazdów prowadzi badania systemów odpowiedzialnych za ochronę użytkowników pojazdów przed skutkami zdarzeń drogowych. Badane i rozwijane są m.in. siedzenia, systemy pasów bezpieczeństwa, foteliki dziecięce, a także elementy wyposażenia pojazdów specjalnych i medycznych, zgodnie z obowiązującymi normami. Laboratorium Badań Pojazdów prowadzi kompleksową walidację systemów ADAS z wykorzystaniem miękkich celów, platform samojezdnych i robotów sterujących pojazdem.



Fot. Łukasiewicz

SGGW ma swoją winiarnię

WARSZAWA Winiarnię, która będzie służyć działalności naukowej, dydaktycznej i praktycznej związanej z produkcją wina, uruchomiono w Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie. Znajduje się w niej maszyna do rozlewania i butelkowania wina. Urządzenie pozwoli na prowadzenie pełnego procesu produkcyjnego od przetwarzania owoców po przygotowanie gotowego produktu. W procesie produkcji wykorzystywane będą winogrona pochodzące z winnicy SGGW, która jest zapleczem badawczym i dydaktycznym uczelni w zakresie uprawy winorośli. Uroczystości towarzyszyło podpisanie porozumienia o współpracy pomiędzy SGGW a Izbą Win Polskich. Badania nad uprawą


Fot. SGGW

winorośli prowadzone są w SGGW już od kilku lat. W 2019 roku założono kolekcję doświadczalną winorośli odmian deserowych. Trzy lata temu na uczelnianym kampusie otwarto pokazową winnicę, w której do uprawy wytypowano jasne międzygatunkowe mieszańce winorośli odmian „Solaris" i „Muscaris".

Na rzecz rozwoju rynku kosmicznego

WARSZAWA Rektorzy Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie, Politechniki Łódzkiej, Uniwersytetu Jagiellońskiego, Akademii Górniczo-Hutniczej im. Stanisława Staszica w Krakowie i Akademii Wychowania Fizycznego Józefa Piłsudskiego w Warszawie podpisali list intencyjny w sprawie utworzenia Międzyuczelnianego Centrum Ekosystemu Kosmicznego. Jednostka ma stanowić interdyscyplinarną platformę współpracy naukowej, edukacyjnej, eksperckiej i organizacyjnej. Jej zadaniem ma być wspieranie udziału polskich instytucji w eksperymentach badawczych, lotach eksperymentalnych oraz przyszłych misjach kosmicznych, a także promocja osiągnięć polskiego sektora kosmicznego i budowanie świadomości społecznej dotyczącej znaczenia eksploracji kosmosu. W MCEK będą rozwijane także nowoczesne programy kształcenia odpowiadające potrzebom sektora kosmicznego. List intencyjny podpisano w pierwszą rocznicę lotu Sławosza Uznańskiego-Wiśniewskiego na Międzynarodową Stację Kosmiczną. – Misja IGNIS pokazała, że Polska posiada kompetencje, ambicje i potencjał, aby aktywnie współtworzyć przyszłość europejskiego sektora kosmicznego – podkreślił gospodarz uroczystości dr hab. Piotr Wachowiak, rektor SGH.



Fot. Adam Koprowski

„Berlinka" w fachowych rękach

KRAKÓW Zainaugurowało działalność Jagiellońskie Centrum Badań nad Zbiorami Berlińskimi. Pozawydziałowa jednostka powstała z inicjatywy Wydziału Filologicznego UJ i Biblioteki Jagiellońskiej. Zbiory Berlińskie, zwane „Berlinką", to unikatowy zasób o wyjątkowym znaczeniu dla światowego dziedzictwa kulturowego. Obejmują one kolekcje rękopisów, druków i zbiorów specjalnych pochodzących z dawnej Pruskiej Biblioteki Państwowej w Berlinie. To m.in. autografy muzyczne Jana Sebastiana Bacha, Wolfganga Amadeusza Mozarta czy Ludwiga van Beethovena, unikatowe kolekcje listów i rękopisów literackich obejmujące okres od XV do początków XX wieku, ponadto cenne zbiory kartograficzne, graficzne oraz bogate kolekcje rękopisów i druków orientalnych. Zbiory trafiły do Krakowa w następstwie wydarzeń II wojny światowej. Od 1941 roku były sukcesywnie ewakuowane z bombardowanego Berlina. Od


Fot. UJ

1946 roku ich przechowywaniem, konserwacją i – od końca lat siedemdziesiątych XX wieku – udostępnianiem do celów badawczych zajmuje się Biblioteka Jagiellońska. Filarami działalności Centrum będą: cyfryzacja i udostępnianie zbiorów, badania naukowe, upowszechnianie i popularyzacja wiedzy o Zbiorach Berlińskich oraz tworzenie nowoczesnych narzędzi ucyfrowienia dziedzictwa kulturowego i dalszy rozwój infrastruktury Biblioteki Jagiellońskiej.

Muzealnicy z nowym-starym prezesem

WARSZAWA Dr hab. Hubert Kowalski, dyrektor Muzeum Uniwersytetu Warszawskiego, został ponownie wybrany na prezesa Stowarzyszenia Muzeów Uczelnianych. Stoi na czele stowarzyszenia od momentu jego założenia, tj. od 2014 roku. Skupia ono przedstawicieli 127 muzeów, kolekcji i innych akademickich jednostek z całej Polski. Najważniejszym celem SMU jest ochrona, dokumentowanie i popularyzacja dziedzictwa akademickiego oraz wspieranie współpracy, badań naukowych i wymiany doświadczeń między muzeami uczelnianymi. Co roku stowarzyszenie organizuje ogólnopolską konferencję naukową. W tym roku odbędzie się ona w Toruniu (20–23 października).


Fot. UW

Polski finał FameLab rozstrzygnięty

KATOWICE Tomas Senda z Naukowej i Akademickiej Sieci Komputerowej – Państwowego Instytutu Badawczego został zwycięzcą FameLab Poland, konkursu popularyzującego naukę. W tym roku zgłosiło się 106 uczestników, z których do decydującego etapu zakwalifikowano 12 osób. Mieli oni po 3 minuty na zaprezentowanie publiczności wybranego przez siebie tematu naukowego w języku angielskim. Tomas Senda opowiadał o polskich modelach językowych z rodziny PLLuM. Na co dzień zajmuje się przetwarzaniem języka naturalnego, wielojęzycznością oraz dużymi modelami językowymi. Szczególnie interesuje się funkcjonowaniem modeli AI w kontekście języków mniejszościowych, dialektów



Fot. UW

i różnorodności kulturowej. W swoich badaniach poszukuje sposobów, aby nowoczesne technologie wspierały zachowanie lokalnych języków i kultur, zamiast prowadzić do ich ujednolicania. W nagrodę otrzymał 9 tys. zł i bilet na międzynarodowy finał konkursu.

Polskie sukcesy w Shell Eco-marathon

KAMIEŃ ŚLĄSKI Prawie 1,5 tys. studentów z Europy i Afryki rywalizowało na torze Silesia Ring w 41 europejskiej edycji konkursu Shell Eco-marathon. Polska była gospodarzem kontynentalnego finału po raz drugi. W zawodach wystartowały 133 zespoły z 28 krajów, w tym osiem drużyn reprezentujących sześć polskich uczelni (Politechnika Lubelska, Akademia Górniczo-Hutnicza w Krakowie, Państwowa Akademia Nauk



Stosowanych w Krośnie, Uniwersytet Przyrodniczy we Wrocławiu, Politechnika Warszawska, Politechnika Łódzka). Zadaniem uczestników było zaprojektowanie, zbudowanie i poprowadzenie pojazdów, które pokonają jak najdłuższy dystans przy jak najmniejszym zużyciu energii. Pojazdy mogły być zasilane jednym z trzech rodzajów napędów: wodorowym, spalinowym na paliwo standardowe lub elektrycznym. W kategorii Prototype zasilanej etanolem Rotor z Państwowej Akademii Nauk Stosowanych w Krośnie ustanowił nowy rekord Polski (1692,56 km/l), zajmując jednocześnie 3 miejsce na podium. Z kolei Hydrogreen Team POLLUB – Hydra z Politechniki Lubelskiej otrzymał nagrodę Spirit of Shell Eco-marathon, przyznawaną w głosowaniu przez uczestników wydarzenia za współpracę i ducha zespołowego.

ITS i pojazdy autonomiczne

WARSZAWA Na podstawie nowelizacji ustawy Prawo o ruchu drogowym z 21 listopada 2025 r. z dniem 24 czerwca Instytut Transportu Samochodowego staje się Krajowym Koordynatorem Prac Badawczych – państwowym organem odpowiedzialnym za nadzór nad prowadzeniem badań i testów pojazdów zautomatyzowanych na drogach publicznych. To pierwszy kompleksowy system kontroli oraz harmonizacji badań nad zautomatyzowaną i autonomiczną mobilnością w Polsce. KKPB, czyli ITS, pełni też funkcję krajowego punktu kontaktowego dla zagranicznych koordynatorów, umożliwiając prowadzenie badań transgranicznych zgodnie z europejskimi regulacjami. Dzięki temu Polska uczestniczy w wymianie informacji oraz koordynacji nadzoru nad pracami badawczymi prowadzonymi jednocześnie w więcej niż jednym państwie.

Opracował Mariusz Karwowski

Współpraca: Alicja Bielecka, Damian Gębarowski, Mikołaj Krupiński, Katarzyna Górowicz-Maćkiewicz, Dominika Huczek, Sławomir Rybka, Krzysztof Szwejk, Łukasz Wspaniały

Wykorzystano serwisy prasowe szkół wyższych, placówek badawczych i instytucji otoczenia nauki.

Więcej aktualności na naszej stronie internetowej ***www.forumakademickie.pl***

oraz na naszych profilach na Facebooku i na platformie X

Ile kto dostał w roku 2026

Wszystkie instytucje naukowe, którym przysługuje subwencja na utrzymanie i rozwój potencjału dydaktycznego i badawczego lub jedynie badawczego, otrzymają w tym roku 28 233 577 581 zł subwencji, która będzie podstawą naliczenia tejże na kolejny rok, oraz dodatkowo 129 116 685 zł w postaci zwiększeń subwencji na określone cele bez możliwości uwzględnienia tych kwot przy naliczaniu subwencji na rok 2027. Informacje na ten temat zostały podane przez 5 ministerstw w 25 komunikatach. Do tej kwoty należy doliczyć zwiększenie subwencji dla 10 uczelni badawczych w łącznej wysokości 451 541 647,00 zł. Informacja na ten temat nie jest podawana do wiadomości w komunikacie, ponieważ kwoty te są stałe, czyli nie są naliczane za pomocą algorytmu, i są wypłacane na podstawie umów między MNiSW i laureatkami konkursu IDUB; nie są one uwzględniane przy naliczaniu subwencji na kolejny rok, co oczywiste. Gdyby uwzględnić wszystkie wskazane kwoty, to do połowy czerwca 294 instytucje naukowe otrzymały w postaci subwencji (bo otrzymują też dotacje celowe, ale to inna sprawa) ponad 28,8 mld zł. Podane wyliczenia nie uwzględniają uczelni wojskowych.

Największą częścią środków subwencyjnych dysponuje Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego. Wysokość subwencji przechodzącej naliczonej przez Ministerstwo Nauki wyniosła 23,8 mld zł. Do tego dochodzi 103 mln zł zwiększeń subwencji, które nie są brane pod uwagę przy naliczeniach na kolejny rok, w tym 70,1 mln zł dla 27 uczelni uczestniczących w programie Regionalna Inicjatywa Doskonałości oraz 32,8 mln zł dla 11 uczelni po raz pierwszy spełniających warunki udziału w konkursie IDUB. No i wreszcie owe 451,5 mln zł, które już ostatni, siódmy z rzędu rok wypłacane są 10 laureatkom IDUB, w tym jednej uczelni medycznej. Łącznie środków subwencyjnych nieprzechodzących ministerstwo nauki naliczyło do połowy czerwca tego roku 554,5 mln zł. Pieniądze te trafiły do 265 podmiotów szkolnictwa wyższego i nauki, w tym Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego, który nie podlega MNiSW, ale jest laureatem IDUB. Wartości podstawowej subwencji i jej zwiększeń Ministerstwo Nauki podało w 15 komunikatach.

W tym roku nie możemy mówić o realnym wzroście subwencji (w FA5/2026 pisał o tym Zbigniew Bukowski, przewodniczący Uniwersyteckiej Komisji Finansów). Mimo kilku zwiększeń, ostateczny wynik pozostał na poziomie roku 2025 z dodatkiem na 3-procentowy wzrost płac, co określono w dwóch komunikatach z 5 lutego. Jeden dotyczył 101 uczelni publicznych, akademickich i zawodowych, podległych MNiSW oraz 6 uczelni kościelnych, między które minister nauki rozdysponował na podwyżki 586,5 mln zł, a drugi 67 instytutów PAN i Międzynarodowego Instytutu Biologii Molekularnej i Komórkowej, do których trafiło 40,5 mln zł na podwyżki. Jak widać, te dodatki nie dotyczyły akademickich uczelni niepublicznych oraz instytutów badawczych, które otrzymują subwencje na działalność badawczą.

Największa część subwencji, w sumie ponad 20,5 mld zł, trafiła do grupy 69 akademickich uczelni publicznych i kościelnych. Gdyby doliczyć do tego zwiększenie za IDUB i podwyżki płac, byłoby to sporo ponad 21 mld zł. Najwyższą subwencję, podobnie jak w ubiegłych latach, ma w tym roku Uniwersytet Jagielloński – 1,532 mld zł. Na drugim miejscu jest Uniwersytet Warszawski z subwencją 1,364 mld zł, czyli niższą o ponad 150 mln zł. Potem mamy 400 mln zł przerwy. Dwie kolejne uczelnie mają bowiem subwencje powyżej 900 mln zł: Politechnika Warszawska i Akademia Górniczo-Hutnicza, a dwie następne powyżej 800 mln zł: Uniwersytet im. Adama Mickiewicza i Politechnika Wrocławska. Dalej po skoku w dół o 185 mln zł są trzy uczelnie z subwencją między 600 a 693 mln zł. Cztery uczelnie mają subwencję powyżej 500 mln zł, 5 powyżej 400, a 2 powyżej 300 mln zł. Tak kwotą 13,775 mld zł zamyka się pierwsza dwudziestka instytucji podległych MNiSW z najwyższymi subwencjami. Oznacza to, że pierwsza dwudziestka – a jest w niej 11 uniwersytetów klasycznych, 8 uczelni technicznych i Szkoła Główna Gospodarstwa Wiejskiego, czyli 7,6% instytucji subwencjonowanych z budżetu MNiSW – bierze 58% subwencji wypłacanej przez ministra nauki 264 instytucjom naukowym. Wyraźna jest dominacja dwóch największych uniwersytetów, a za nimi kilku innych uczelni, których subwencja zbliża się do miliarda, a budżety przekraczają tę kwotę. W pierwszej dwudziestce jest 9 laureatek IDUB, a w pierwszej dziesiątce 8 z nich. To potwierdza tezę, że w uzyskaniu statusu uczelni badawczej pomaga duży potencjał kadrowy i finansowy. Szkoła Główna Mikołaja Kopernika otrzymała łącznie 4,3 mln zł.

Na koniec zerknijmy na najmniejsze uczelnie i najniższe subwencje. Zajmują je oczywiście uczelnie zawodowe. Ostatnie miejsce zajmuje najmłodsza z nich: Publiczna Uczelnia Zawodowa w Grudziądzu z subwencją w wysokości 1 146,8 tys. zł. Do tego doszło zwiększenie w wysokości 23,4 tys. zł, no i na wzrost wynagrodzeń o 3% (komunikat z 5 lutego) – 35,4 tys. zł, czyli łącznie 1,2 mln zł. O ile wiem, uczelnia już nie ma pieniędzy na funkcjonowanie, a miała stanowić zaplecze dla lokalnego przemysłu. Kilka lat temu powołało ją państwo i ono powinno zadbać o to, żeby się mogła rozwijać, a nie upadać. Nie chcę rozważać, czy tamta decyzja była słuszna – zapadła. Kolejną wyjątkowo niską subwencję otrzymała jedyna zawodowa uczelnia kościelna – Prawosławne Seminarium Duchowne w Warszawie z subwencją łączną w wysokości 1,5 mln zł (1 474,5 zł + zwiększenie o 30,1 tys. zł + 40,8 tys. zł na wzrost wynagrodzeń o 3%).

Generalnie publiczne uczelnie zawodowe otrzymały 1 miliard złotych podstawy dla 31 podmiotów plus stosowne zwiększenia: 20,6 mln zł zwiększenia, aby utrzymać zeszłoroczny poziom finansowania i środki na 3-procentowe podwyżki. Subwencje powyżej 50 mln zł otrzymało 5 z nich. Najwyższą tradycyjnie Akademia Tarnowska – 74,6 mln zł. Dalej są ANS w Nowym Sączu 63,5 – mln zł, Akademia Bialska – 55 mln zł, PANS w Jarosławiu – 54,3 mln zł i w Chełmie – 53,5 mln zł. Dodałbym do tej grupy jeszcze Collegium Witelona Uczelnię Państwową z Legnicy, która ma prawie 50 mln subwencji podstawowej, ale po zwiększeniach przekracza tę kwotę.

Dużo debatowano o subwencjach dla instytutów PAN, tymczasem z 23-miliardowego tortu subwencyjnego do 67 placówek PAN i MIBMiK trafia niewiele ponad 1,1 mld zł. Subwencje powyżej 30 mln zł uzyskuje tylko 9 instytucji. Najwyższe trafiają do Instytutu Fizyki Jądrowej w Krakowie (77 mln zł), Instytutu Biologii Doświadczalnej im. M. Nenckiego (50 mln zł), Instytutu Chemii Fizycznej (44 mln zł), Instytutu Podstawowych Problemów Techniki (43,3 mln zł); po doliczeniu zwiększeń powyżej 40 mln zł ma też Instytut Biochemii Biofizyki PAN. Najniższe subwencje dla placówek PAN wynoszą poniżej 5 milionów złotych. Tradycyjnie najmniej ma Europejskie Regionalne Centrum Ekohydrologii – 2,1 mln zł. To maleńka placówka, zatrudniająca ok. 20 naukowców. W dolnych strefach subwencyjnych są też: Instytut Nauk Ekonomicznych (3,4 mln zł), Międzynarodowy Instytut Mechanizmów i Maszyn Molekularnych (4,2 mln zł), Instytut Psychologii (4,4 mln zł), Instytut Inżynierii Chemicznej (4,7 mln zł), Instytut Rozwoju Wsi i Rolnictwa (4,8 mln zł). Trzeba pamiętać, że budżety instytutów naukowych PAN złożone są w poważnej części ze środków grantowych.

Instytuty badawcze nie są pupilami subwencji. Na subwencje dla 67 placówek minister nauki przeznaczył 394,3 mln zł. Tylko 9 instytutów badawczych otrzymuje subwencje wyższe niż 10 mln zł. Najwyższa trafia do Narodowego Centrum Badań Jądrowych, a jest to

41 mln zł. Powyżej 15 mln zł otrzymują też: Narodowy Instytut Onkologii im. Marii Skłodowskiej-Curie – PIB (25,1 mln zł), Instytut Techniczny Wojsk Lotniczych (15,8 mln zł) i Główny Instytut Górnictwa – PIB (15,8 mln zł). Instytuty badawcze nie były beneficjentami żadnych zwiększeń subwencji. Bardzo dziwna jest sytuacja z najmniejszymi subwencjami. Otóż kilka instytutów: Centralne Laboratorium Ochrony Radiologicznej, Instytut Badań Edukacyjnych – PIB i Instytut Kolejnictwa otrzymały subwencje w wysokości „0,1" tys. zł. W majowym komunikacie o wysokości subwencji dla instytutów dołączono też informację o subwencji dla Polskiej Akademii Umiejętności, która otrzymała na ten rok 9,4 mln zł.

Ostatnią grupą, której subwencję przyznaje MNiSW, są akademickie uczelnie niepubliczne. Ich liczba wzrosła radykalnie po poprzedniej ewaluacji. Teraz jest ich 27, ale dostają subwencje tylko na utrzymanie i rozwój potencjału badawczego. Kwoty są radykalnie niższe niż te, które otrzymują uczelnie publiczne na utrzymanie potencjału badawczego i dydaktycznego. Łącznie minister przeznaczył dla tej grupy uczelni 17,7 mln zł. Najwyższą subwencję – 6 mln zł – otrzymał Uniwersytet SWPS, który od lat jest liderem w tej grupie. Następna jest Akademia Leona Koźmińskiego z subwencją w wysokości 2,5 mln zł, a kolejną Polsko-Japońska Akademia Technik Komputerowych – 1,2 mln zł. I tyle powyżej miliona zł. Gdybyśmy jednak potraktowali łącznie 6 uczelni Federacji Naukowej WSB-DSW Merito – a wszystkie mają prawa akademickie – to ich łączna subwencja wynosi prawie 1,2 mln zł. Także możemy potraktować łącznie trzech członków Federacji Naukowej Uniwersytet VIZJA. Ich łączna subwencja wynosi ponad 1,3 mln zł. Oczywiście te uczelnie mają odrębne budżety, ale takie przedstawienie to sposób na pokazanie siły konsolidacji.

Minister zdrowia przyznał 9 uniwersytetom medycznym subwencje w dwóch komunikatach: 16 marca na 3-procentowe podwyżki 87 mln zł, a 27 kwietnia właściwą subwencję i jej zwiększenie (ta sama metoda, którą zastosowało MNiSW) w łącznej kwocie bez mała 3 mld zł. Najwyższe subwencje dostały Warszawski Uniwersytet Medyczny (łącznie z podwyżkami 455 mln zł), Uniwersytet Medyczny w Łodzi (w sumie 420 mln zł) i Śląski Uniwersytet Medyczny (razem 405 mln zł). Cztery uniwersytety – w Lublinie, Poznaniu, Wrocławiu i Gdańsku – dostały po ponad 300 mln zł, Uniwersytet Medyczny w Białymstoku – 265, a Pomorski Uniwersytet Medyczny – 190 mln zł.

Minister kultury przeznaczył na subwencje dla 19 uczelni artystycznych niecałe 1,1 mln zł. Opisał to w trzech komunikatach: 24 lutego przeznaczył 27 mln zł na wzrost wynagrodzeń o 3%, 16 kwietnia – 1,05 mld zł na podstawową subwencję, a 20 maja dodał 5 uczelniom 3,6 mln zł na uruchomienie nowych kierunków (co jest tradycją w tym resorcie). Najwyższe subwencje w tej grupie uczelni otrzymały: Akademia Sztuk Pięknych w Warszawie (łącznie 84,2 mln zł), Uniwersytet Muzyczny im. Fryderyka Chopina (84 mln zł) i Akademia Sztuk Pięknych w Krakowie (79 mln zł). Najniższą subwencję ma Akademia Teatralna w Warszawie (32 mln zł). Dodatki na nowe kierunki trafiły do Uniwersytetu Artystycznego w Poznaniu (1,5 mln zł), Akademii Sztuk Pięknych we Wrocławiu (726 tys. zł), Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie (630 tys. zł), Akademii Muzycznej w Katowicach (447 tys. zł) i łódzkiej „Filmówki" (365 tys. zł). Wszystkie kwoty będą uwzględniane przy naliczaniu przyszłorocznej subwencji.

Minister infrastruktury opiekuje się dwoma uczelniami morskimi. Subwencje dla nich przyznał czterema komunikatami. Wysokość podstawowej subwencji została określona w komunikacie z 14 maja na 217,6 mln zł. Politechnika Morska w Szczecinie otrzymała 93,3 mln zł, a Uniwersytet Morski w Gdyni 124,3 mln zł. Te kwoty posłużą do naliczania przyszłorocznej subwencji. Komunikatami z 22 stycznia i 26 marca minister przekazał swoim uczelniom po 82,8 mln zł oraz po 7,5 mln zł z przeznaczeniem na „kształcenie studentów na studiach stacjonarnych, utrzymanie i rozwój (. . .) domów i stołówek studenckich (. . .) na realizację inwestycji w obszarze działalności dydaktycznej i rozwój zawodowy pracowników uczelni, a także na utrzymanie i rozwój potencjału badawczego, w tym prowadzenie działalności naukowej, realizację inwestycji w obszarze działalności badawczej, kształcenie w szkole doktorskiej oraz komercjalizację wyników działalności naukowej oraz know-how związanego z tymi wynikami". Bardzo uniwersalne środki. Z kolei komunikatem z 2 czerwca podzielił po równo 11 mln między obie uczelnie z przeznaczeniem na „realizację niezbędnych zadań z zakresu obronności/ochrony mienia i osób uczelni morskich oraz transformacji cyfrowej, a także na pokrycie dodatkowych kosztów związanych z realizacją programu wieloletniego «Budowa statków dla uczelni morskich w latach 2025 – 2029»". Te zwiększenia subwencji, choć w sumie wysokie, mają jednak charakter jednorazowy i nie będą brane pod uwagę przy naliczaniu przyszłorocznej subwencji.

Minister Spraw Wewnętrznych i Administracji przeznaczył 69,5 mln zł na funkcjonowanie trzech podległych mu uczelni. Akademia Pożarnicza otrzymała 31,8 mln zł, Akademia Policji w Szczytnie 28,4 mln zł, a Wyższa Szkoła Straży Granicznej 9,3 mln zł.

Piotr Kieraciński

Najwyższe podstawowe subwencje przyznane przez MNiSW w latach 2023-2026 (w mln zł)

Uczelnie wg wysokości subwencji w roku 2026	Nazwa uczelni	2023	2024	2025	2026	Kwotowy wzrost subwencji w latach 2023-2026	Procentowy wzrost subwencji w latach 2023-2026
1.	Uniwersytet Jagielloński w Krakowie	998	1384	1489	1 532	534	53,5%
2.	Uniwersytet Warszawski	907	1255	1325	1 364	457	50,4%
3.	Politechnika Warszawska	643	880	917	946	303	47,1%
4.	Akademia Górniczo-Hutnicza w Krakowie	637	830	894	921	284	44,6%
5.	Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu	608	823	856	881	273	44,9%
6.	Politechnika Wrocławska	582	801	872	878	296	50,9%
7.	Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu	468	632	674	693	225	48,1%
8.	Politechnika Śląska w Gliwicach	441	598	631	648	207	46,9%
9.	Uniwersytet Łódzki	445	606	637	643	198	44,5%
10.	Uniwersytet Wrocławski	421	557	579	597	176	41,8%

Skumulowana inflacja w latach 2023-2026 wyniesie ok. 23,7 % (przy założeniu, że w roku 2026 inflacja wyniesie 3,5 %).

(opr. PK)

O strukturalnych źródłach polskich wojen o ewaluację

Już od początku lat dziewięćdziesiątych w dyskusjach wokół Komitetu Badań Naukowych i pierwszych wykazów czasopism punktowanych krystalizowały się osie sporu o ewaluację nauki, które potem przy każdej kolejnej reformie wracały w podobnej formule. W internacjonalizacji nauki jedni widzą warunek uczestnictwa w światowej nauce, inni technikę symbolicznej dominacji. Miary i punkty są dla jednych narzędziem obiektywizacji i ochrony nauki przed nepotyzmem, dla innych narzuconą z zewnątrz formą podporządkowania. Dlaczego mimo tylu lat debata nie posuwa się naprzód? W tym tekście chcę zaproponować socjologiczną odpowiedź, która tę osobliwość tłumaczy. Stawiam tezę, że polski spór o ewaluację ma taki kształt dlatego, że jest prowadzony w systemie, który nazywam aspirującymi półperyferiami światowej nauki, systemie zależnym od zewnętrznego uznania, a zarazem niezakotwiczonym trwale w jego centrum. W takim położeniu miary stają się walutami uznania, zaś ich kursy wymiany pozostają chwiejne i politycznie renegocjowane. Aktualność tego sporu nie jest więc dowodem polskiej skłonności do jałowych wojen, lecz logicznym skutkiem strukturalnej pozycji, z jakiej go prowadzimy. Uświadomienie sobie tej sytuacji może jednak pomóc w tym, aby tę debatę uczynić bardziej użyteczną i wziąć pod uwagę różne racje.



Miary, które stały się walutą

Punktem wyjścia niech będzie proste rozróżnienie. Jeśli wskaźnik bibliometryczny jest tylko miarą, to spór o niego powinien dotyczyć trafności, tego, na ile liczba cytowań albo pozycja czasopisma w bazie oddają to, co intuicyjnie nazywamy wartością pracy. Tymczasem w polskiej debacie szybko od tematu trafności przechodzi się do zupełnie innych, takich jak godność, przynależność, a niekiedy także suwerenność. To przesunięcie jest sygnałem, że w grze chodzi o coś więcej. Argumentuję, że wskaźniki funkcjonują jako tokeny wartości, zestandaryzowane, certyfikowane i przenośne ślady recepcji, które można mobilizować w kolejnych sytuacjach oceny jako kapitał metryczny. Nie każda miara jest takim kapitałem. Staje się nim dopiero wtedy, gdy uczestnicy danego pola uznają ją za prawomocny skrót wartości, wymienialny na punkty, kategorie, granty i prestiż.

Otóż gdy miara staje się walutą, pojawia się pytanie, którego przy zwykłym narzędziu pomiaru w ogóle by nie było: o kurs wymiany. Ile waży publikacja w wysoko punktowanym czasopiśmie wobec obszernej monografii? Kiedy indeksacja jest jeszcze sygnałem jakości, a kiedy staje się rytualnym skrótem, pozwalającym zamknąć ocenę bez kosztownej rekonstrukcji tego, co naprawdę zostało zrobione? Ten sam token, powiedzmy liczba cytowań, nie wszędzie ma tę samą wartość. W gęstych sieciach reputacyjnych centrum, dysponujących bogatą wiedzą lokalną i historycznie skumulowanym prestiżem instytucji, wskaźniki bywają jedynie pomocnicze. W systemie aspiracyjnym kurs zostaje mocniej wprzęgnięty do globalnych znaków wartości, bo to one są rozpoznawalnym nośnikiem członkostwa. Liczba staje się wtedy twardą walutą, i właśnie dlatego jest broniona z taką siłą i równie gwałtownie kontestowana. Dodajmy do tego własność, która często umyka – aktorzy opowiadają się za wskaźnikami z powodu funkcji koordynacyjnej, nierzadko pomimo ich ograniczeń, bo liczby pozwalają domknąć spór tam, gdzie pełna rekonstrukcja jakości byłaby kosztowna i niepewna. To dlatego ich obrona bywa żarliwa również tam, gdzie nikt nie wierzy, że oddają one wartość danej pracy w sposób pełny.

Wiecznie aspirujący

Kategoria półperyferii, którą tu przejmuję z tradycji teorii systemów-światów, opisuje pozycję mieszaną, zawierającą aktywności typowe dla centrum, lecz nie w pełnym wymiarze, i aktywności peryferyjne, do których się jednak nie redukuje. Z tej mieszaniny wyrasta charakterystyczne napięcie. Półperyferie są strefą systemowo zobowiązaną do ruchu ku centrum albo ku peryferiom, a zarazem zabezpieczaną przed tym, by którykolwiek z tych ruchów dokonał się do końca. Stąd osobliwa stałość, w której aspiracja i zagrożenie nie wykluczają się, lecz wzajemnie podtrzymują. W polskiej nauce objawia się ona jako powracający spór o „dogonienie Zachodu", podszyty równie trwałą obawą o „utratę własnego głosu". Dodaję do tej kategorii przymiotnik „aspirujące", bo zależy mi na uchwyceniu czegoś więcej niż samej pozycji strukturalnej – także postawy aktorów, którzy inwestują w mechanizmy potwierdzające ich częściowe członkostwo w centrum, a nie w mechanizmy, które sam ten układ miałyby przekształcić.

W takim położeniu lokalne uznanie traci zdolność samoutrzymywania się, nie wystarczy bowiem być cenionym „u siebie", jeśli system oceny, kariery i prestiżu coraz mocniej zależy od znaków rozpoznawalnych poza krajem. Dlatego tak zbudowany system będzie ponadprzeciętnie inwestował w przenośne tokeny uznania. To one pozwalają częściowo obejść asymetrię wymiany, czyniąc dany dorobek porównywalnym również z dorobkiem naukowców z centrum, bez pośrednictwa nieoficjalnej reputacji czy sieci zależności, do których naukowiec z półperyferii ma ograniczony dostęp. To, że stają się one przedmiotem tak gorącego sporu, jest konsekwencją konstytutywnego napięcia tej pozycji, tj. między koniecznością przekładu dorobku na formy rozpoznawalne w centrum a lojalnością wobec obiegów, których asymetrycznego statusu nie sposób jednocześnie odwrócić.

Skąd biorą się postawy

Pozostaje pytanie, które wydaje mi się najważniejsze: skąd biorą się tak różne postawy wobec miar i dlaczego niektórzy bronią ich z gorliwością, jakiej nie tłumaczy sama użyteczność. Sięgam tu po pojęcie konformizmu statusu pośredniego, sformułowane przez Damona Phillipsa i Ezrę Zuckermana. Jego sens jest następujący: największa skłonność do podporządkowania się obowiązującym normom pojawia się nie na szczycie hierarchii i nie na samym jej dole, lecz pośrodku, tam, gdzie aktor pragnie przynależności, ale nie może być pewny, że jego status jest już zabezpieczony. Gracze o wysokim statusie mogą sobie pozwolić na odchylenie, bo ich członkostwo jest mniej zagrożone. Outsiderzy są albo zbyt daleko, by zgodność im się opłacała, albo podporządkowują się z konieczności, lecz bez tej samej stawki. Cała presja spada więc na kandydatów do pełnego uznania. Przeniesiona na grunt nauki, intuicja ta tłumaczy, dlaczego w systemie aspiracyjnym zgodność z normami centrum przestaje być wyłącznie wyborem strategicznym i staje się testem przynależności, i dla-

czego zakwestionowanie internacjonalizacji albo wskaźników bywa odbierane jako zagrożenie dla samej możliwości wejścia do uznawanego obiegu.

Byłoby jednak nadużyciem twierdzić, że systemowy status Polski działa na wszystkich jednakowo. Konformizm statusu pośredniego jest skłonnością układu. To, w jaki sposób konkretny badacz reaguje na wzrost znaczenia kryteriów metrycznych w ewaluacji, zależy od tego, w którym miejscu wewnątrz tej struktury się znajduje, w dyscyplinie o silnej czy słabej globalnej infrastrukturze, w instytucji o wysokim czy niskim prestiżu, w obiegu silnie umiędzynarodowionym czy niemal wyłącznie krajowym, z dorobkiem zakorzenionym w języku angielskim czy polskim. Dlatego aspirujące półperyferie trzeba rozumieć nie jako jednolitą presję, lecz jako układ napięć, w którym poszczególni uczestnicy zajmują różne pozycje i z tych pozycji wyprowadzają różne postawy wobec miar, a każda z nich jest racjonalna z konkretnego punktu widzenia.

Z grubsza można wyróżnić kilka takich pozycji. Aktorzy silnie związani z centrum, regularnie obecni w prestiżowych czasopismach, utrzymujący ścisłe kontakty z prestiżowymi instytucjami zagranicznymi, występujący w rolach recenzenckich, traktują internacjonalizację jako infrastrukturę normalnej nauki, a miary jako użyteczne, lecz wtórne wobec realnej reputacji. Niepokoją ich przede wszystkim lokalne, polityczne korekty kursu, które zaburzają ich czytelność. Aktorzy aspirujący ze środka, najczęściej na początkowym lub środkowym etapie kariery, konkurujący o granty i stypendia, gdzie liczą się wskaźniki, dostosowują się najmocniej. To oni najpełniej ucieleśniają konformizm statusu pośredniego, bo ich stawka członkostwa jest najbardziej otwarta. Elity silne lokalnie, lecz słabiej zakotwiczone globalnie, bronią pluralizmu form publikacyjnych, wagi monografii i języka polskiego. I czynią to z trafnego strategicznie rozpoznania, że wchłonięcie ich zasobów przez jedną walutę centrum oznaczałoby strukturalną utratę kapitału zgromadzonego w lokalnych obiegach. Wreszcie outsiderzy wobec obu obiegów, dla których kapitał metryczny jest walutą widoczną, lecz niemożliwą do wytworzenia w wymaganej ilości – ich reakcją bywa epizodyczne dostosowanie do formalnego minimum, okazjonalny cynizm, niekiedy wycofanie.

Ten sam mechanizm dobrze widać na przykładzie internacjonalizacji, która w systemie aspiracyjnym jest obciążona kilkoma sensami naraz. Bywa strategią awansu, próbą wejścia do obiegów, w których publikacja zostaje uznana za „naprawdę naukową", bo przeszła przez sito selekcji szanowane poza krajem. Bywa dyscyplinującym wymogiem własnej instytucji. Bywa wreszcie doświadczeniem narzucenia, bo standard, do którego trzeba się dostosować, jest wyobrażany jako ustanowiony gdzie indziej, wymaga posługiwania się językiem obcym, podjęcia problemów odbiegających od lokalnej struktury zapotrzebowania poznawczego. Stąd biorą się argumenty o „polskości nauki", o nieprzekładalności części problemów badawczych na anglojęzyczne formaty, o nieadekwatności kryteriów centrum dla dyscyplin mocniej osadzonych w państwie, prawie czy kulturze. Splot aspiracji i resentymentu jest tutaj logicznym skutkiem położenia: można zarazem uznawać, że bez internacjonalizacji trudno wejść do pożądanego obiegu i obawiać się, że pełne dostosowanie osłabi lokalne funkcje nauki albo uderzy w tych, którzy z natury swoich dyscyplin nie mają równych szans przekładu dorobku na mainstream.

Z tej perspektywy staje się jasne, dlaczego polska debata nie układa się w prosty podział na „zwolenników liczb" i „obrońców jakości". Każda z tych postaw broni realnego interesu osadzonego w innej walucie uznania, i każda opisuje rzeczywistą własność wskaźników, tyle że podkreśla ich inny aspekt. Te same liczby, które jednym pozwalają ograniczyć lokalne układy i nepotyzm, dla innych są narzędziem zależności, wymuszającym podporządkowanie walutom centrum albo, w wersji krajowej, pozwalającym politycznie manipulować kursem wartości bez jawnej debaty o jakości.

Przekształcenia kursów wymiany mają dosłowny wymiar regulacyjny. Wartość publikacji w ewaluacji zależy od periodycznie ogłaszanych i korygowanych wykazów, a każda taka korekta sprawia, że jedne kanały publikacyjne zyskują zdolność szybkiej konwersji na punkty i zasoby, inne zaś ją tracą. Gdy ministerialna lista nagle podnosi punktację wybranych tytułów, można to odczytać albo jako przywrócenie równowagi wobec dominacji centrum, albo jako nieuzasadnione uprzywilejowanie lokalnych obiegów. W obu odczytaniach stawką nie jest sam instrument, lecz to, czyj kapitał zyska na konwertowalności.

Co z tego wynika praktycznie? Przede wszystkim postulat zmiany języka. Dopóki będziemy ujmować ten konflikt jako dylemat „jakość versus lokalność" albo „miary versus eksperckość", dyskusja o reformach nie wyjdzie poza moralizujący język wojny. Proponowane tu przesunięcie nie rozstrzyga, kto ma rację i nie taka jest jego ambicja. Pozwala natomiast zobaczyć spór inaczej, jako konflikt strategii konwertowalności w warunkach strukturalnie asymetrycznej wymiany uznania. A jeśli tak go odczytamy, zasadnicze pytanie brzmi: jakie waluty uznania, dla jakich aktorów i w jakich obiegach mają być uznawane za prawomocne? Może stać się ono elementem konkretnego namysłu dla architektów zmiany polityk naukowych oraz samego środowiska naukowego.

Dr Łukasz Remisiewicz, Instytut Socjologii, Uniwersytet Gdański

Tekst jest skróconą wersją artykułu *Wiecznie aspirujący. Konsekwencje miejsca Polski w globalnej stratyfikacji nauki w kontekście dyskusji o ewaluacji nauki*, „Studia Socjologiczne", nr 2 (261)/2026, s. 203–240.



Fot. Paweł Kamiuk

Ku doskonałości uniwersytetu: rozwój czy eksploatacja?

Model, który zakłada, że dobry pracownik akademicki powinien być jednocześnie wybitnym naukowcem, inspirującym nauczycielem, skutecznym menedżerem projektów, sprawnym administratorem, organizatorem wydarzeń, promotorem, ekspertem medialnym i popularyzatorem nauki, przestał działać. Nie dlatego, że pracownicy akademiccy utracili kompetencje czy motywację. Przeciwnie, współczesna nauka, dydaktyka i zarządzanie uczelnią stały się tak złożone, że każda z tych sfer wymaga głębokiej wiedzy, doświadczenia i pełnego zaangażowania. Nie da się jednocześnie być liderem badań, doskonałym dydaktykiem i skutecznym administratorem bez kosztów przeciążenia. W efekcie coraz więcej osób funkcjonuje w permanentnym niedoczasie i frustracji. Każde zadanie wydaje się ważne, każde wymaga pracy, ale doba nie staje się dłuższa.



Nowoczesna uczelnia nie powinna oczekiwać, że wszyscy będą robić wszystko. Powinna tworzyć warunki, w których ludzie rozwijają swoje najmocniejsze kompetencje. Wybraliśmy pracę na uczelni, bo chcemy się rozwijać, a nie być eksploatowani. O sile współczesnej organizacji nie decyduje liczba obowiązków przypisanych jednej osobie, lecz zdolność dostrzeżenia talentów, predyspozycji i kompetencji oraz stworzenie warunków, w których mogą one przynosić najlepsze rezultaty.

Nie każdy wybitny naukowiec będzie dobrym menedżerem. Nie każdy znakomity dydaktyk musi być liderem grantów międzynarodowych. Nie każdy sprawny organizator powinien być oceniany przez pryzmat liczby publikacji. Wtłaczanie wszystkich w jeden model kariery prowadzi do marnowania potencjału ludzi i osłabiania instytucji. Potrzebujemy zespołów opartych na komplementarnych kompetencjach, w których różne talenty są równie potrzebne i równie cenione.

Najwyższy czas odejść od modelu „akademika od wszystkiego" i dopuścić większą specjalizację ścieżek rozwoju zawodowego, przy jednoczesnym uelastycznieniu modelu kariery. Obecnie możliwy jest wybór pomiędzy etatem badawczym, dydaktycznym i badawczo-dydaktycznym, jednak w praktyce zdecydowana większość kadry pozostaje w modelu hybrydowym. Wynika to zarówno z tradycji funkcjonowania uniwersytetu, jak i z systemu finansowania oraz oceny działalności naukowej, który przez lata temu sprzyjał.

Ścieżka badawcza powinna być przeznaczona dla osób, których główną aktywnością jest prowadzenie badań, publikowanie wyników oraz pozyskiwanie środków zewnętrznych. W praktyce jednak wybiera ją niewielka grupa pracowników, między innymi z powodu bardzo wysokich wymagań, konieczności stałego wykazywania aktywności naukowej i niepewności zatrudnienia po zakończeniu projektów grantowych.

Niestety, pracownicy zatrudnieni na stanowiskach badawczych często znaczną część czasu poświęcają na obowiązki administracyjne: sprawozdawczość, rozliczanie grantów, dokumentację zakupową, procedury kadrowe czy wymogi instytucji finansujących. Czas przeznaczony na badania jest konsumowany przez biurokrację. Problem pogłębia brak wystarczającego wsparcia instytucjonalnego. Badacze zbyt często samodzielnie odpowiadają za wnioski grantowe, obsługę formalną projektów, kwestie prawne, zamówienia publiczne i zarządzanie zespołem.

Aktualny system ewaluacyjny premiuje przede wszystkim publikacje, punkty, cytowania i pozyskane granty. Znacznie słabiej docenia kierowanie zespołami, tworzenie konsorcjów, koordynację projektów, wdrożenia organizacyjne i społeczne, patenty wykorzystane gospodarczo, spółki typu spin-off czy wdrożenia kliniczne i medyczne. W efekcie wielu naukowców racjonalnie wybiera aktywności najbardziej opłacalne w ocenach, awansach i ewaluacji. Uniwersytet nie istnieje po to, aby produkować wyłącznie publikacje. Jego misją jest również tworzenie wiedzy, która zmienia rzeczywistość. Publikacja wyników badań nie może być jedynym celem. Prawdziwa wartość badań ujawnia się wtedy, gdy prowadzą do nowych terapii, technologii, rozwiązań organizacyjnych, zmian społecznych lub innowacji gospodarczych. Sukcesem naukowym nie jest wyłącznie opublikowany artykuł, lecz także wiedza, która znajduje zastosowanie i przynosi realne korzyści ludziom.

Etat badawczy nie powinien jednak oznaczać izolacji od kształcenia. Udział w przygotowaniu doktorantów, prowadzenie seminariów czy wykładów inspiracyjnych powinny pozostać elementem tej ścieżki. Nauka i dydaktyka muszą być ze sobą powiązane, ponieważ to sprzyja transferowi wiedzy, rozwojowi nowych kadr i budowaniu zespołów zdolnych do realizacji ambitnych programów badawczych.

Drugą ścieżką kariery akademickiej jest ścieżka dydaktyczna. Powinna przyciągać osoby posiadające szczególne predyspozycje do pracy ze studentami, projektowania programów studiów, tworzenia nowoczesnych metod nauczania i budowania kultury uczenia się. W praktyce dydaktyka nadal bywa postrzegana jako mniej prestiżowa od działalności naukowej. Publikacje, granty i sukcesy badawcze pozostają podstawą uznania oraz awansu, podczas gdy wysoka jakość kształcenia często nie jest dostatecznie doceniana. To paradoks, ponieważ właśnie dydaktyka w największym stopniu wpływa na codzienne doświadczenia studentów, ich rozwój kompetencji i ocenę uczelni. Współczesny uniwersytet potrzebuje nie tylko wybitnych badaczy, lecz także ekspertów potrafiących tworzyć angażujące środowisko edukacyjne, wykorzystywać nowe technologie, wdrażać metody aktywizujące i odpowiadać na zmieniające się potrzeby rynku pracy oraz społeczeństwa.

Szczególnie ważne jest właściwe wykorzystanie potencjału osób osiągających najwyższe stanowiska w ścieżce dydaktycznej. Profesor uczelni zatrudniony na etacie dydaktycznym powinien mieć realną możliwość wpływania na rozwój jakości kształcenia: wspierania młodszej kadry, projektowania programów, prowadzenia mentoringu, hospitacji koleżeńskich czy ewaluacji dydaktyki. Tymczasem obecny model zbyt często sprowadza pracę dydaktyczną do liczby zrealizowanych godzin, czyli do skostniałego pensum. Niewidoczne pozostają działania kluczowe: mentoring, rozwój programów, doskonalenie metod nauczania i udział w systemie jakości.

Jeśli ścieżka dydaktyczna ma być rzeczywiście równorzędną drogą rozwoju, trzeba odejść od patrzenia na nią wyłącznie przez pryzmat pensum. Należy stworzyć system, który docenia jakość kształcenia,

innowacje dydaktyczne, mentoring i budowanie kultury edukacyjnej uczelni. Dopiero wtedy dydaktyka stanie się faktycznym, a nie tylko formalnym filarem doskonałości akademickiej.

Ścieżka badawczo-dydaktyczna również wymaga uelastycznienia. Pracownik powinien harmonijnie łączyć badania i dydaktykę, bez konieczności nieustannego godzenia sprzecznych oczekiwań. Jego ocena powinna uwzględniać zrównoważony wkład w obie sfery, ale z możliwością okresowego różnicowania akcentów. Pracownik mógłby co cztery lata wybierać profil aktywności, na przykład 60% nauka i 40% dydaktyka, a ocena okresowa powinna być dokonywana zgodnie z zadeklarowanym profilem, nie według jednakowych kryteriów dla wszystkich. Warunkiem efektywności tej ścieżki jest ograniczenie obciążeń administracyjnych i zapewnienie realnego wsparcia instytucjonalnego.

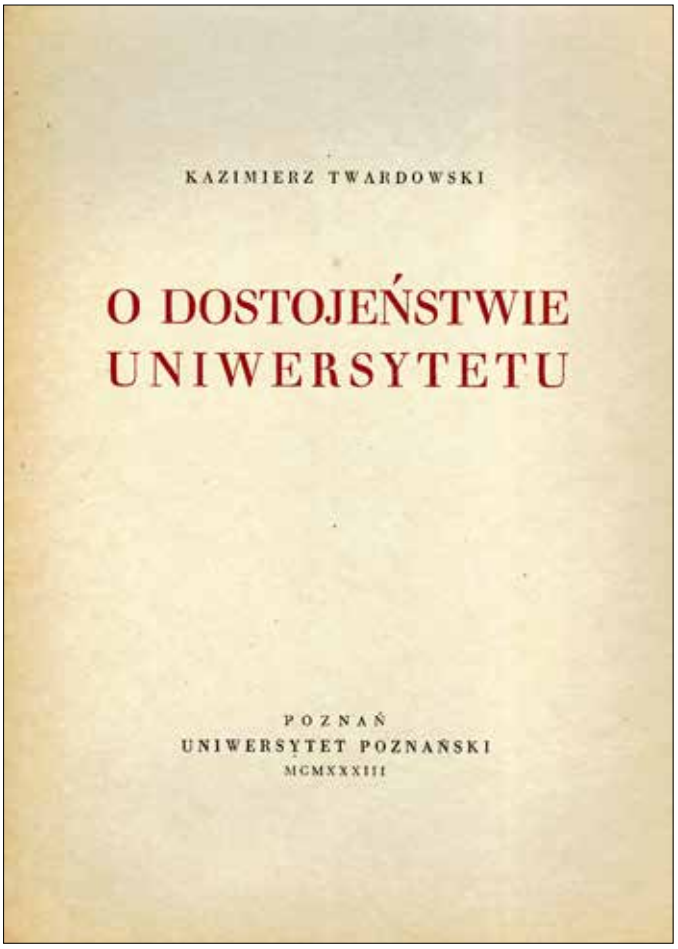
Potrzebna jest także nowa ścieżka organizacyjno-przywódcza, której nie należy utożsamiać z wykonywaniem zadań administracyjnych. Jej istotą powinno być tworzenie warunków umożliwiających rozwój innych: budowanie zespołów badawczych i dydaktycznych, wspieranie współpracy między jednostkami, rozwijanie partnerstw krajowych i międzynarodowych, inicjowanie projektów strategicznych oraz kształtowanie kultury organizacyjnej opartej na zaufaniu, odpowiedzialności i współpracy.

Ocena osób realizujących tę ścieżkę powinna opierać się na efektach rozwojowych osiąganych przez zespoły i jednostki, jakości zarządzania, skuteczności pozyskiwania partnerów, wdrażaniu innowacji organizacyjnych, poprawie procesów i tworzeniu warunków dla osiągnięć naukowych oraz dydaktycznych innych pracowników. Naturalnie wpisywałyby się w nią także funkcje dziekanów, prodziekanów, prorektorów czy dyrektorów szkół doktorskich. Obecnie mamy do czynienia z fikcją systemową: osoby te formalnie pozostają pracownikami badawczo-dydaktycznymi, choć przez kilka lat ich główną aktywnością jest zarządzanie ludźmi, budżetem, strategią, jakością kształcenia, współpracą międzynarodową i infrastrukturą. Ich ocena nie powinna opierać się przede wszystkim na liczbie publikacji czy godzin dydaktycznych, lecz na rozwoju jednostki, jakości zarządzania, sukcesji kadrowej i realizacji celów strategicznych.

W dyskusji o rozwoju uczelni trzeba również uczciwie spojrzeć na administrację. Jej rolą powinno być wspieranie misji naukowej i dydaktycznej poprzez przejmowanie zadań organizacyjnych oraz upraszczanie procesów. Zbyt często jednak administracja koncentruje się na kontroli formalnej, gromadzeniu dokumentacji i egzekwowaniu procedur, podczas gdy odpowiedzialność za przygotowanie danych i rozwiązywanie problemów pozostaje po stronie naukowców i dydaktyków. Profesjonalna administracja nie powinna generować procedur dla samych procedur, lecz wspierać realizację projektów i budować sprawne usługi dla całej wspólnoty akademickiej.

Kluczowe jest, aby wszystkie ścieżki były równie szanowane i równie wysoko oceniane. Nie chodzi o tworzenie hierarchii ważności, lecz o uznanie różnorodności kompetencji potrzebnych uczelni. Powinniśmy częściej pytać nie o to, ile ktoś zrobił, ale jaki był rzeczywisty efekt jego pracy. Jeżeli chcemy budować silne uczelnie, musimy traktować dobrostan pracowników nie jako indywidualny problem jednostki, lecz jako element jakości funkcjonowania instytucji. Przeciążony pracownik nie będzie prowadził przełomowych badań, tworzył innowacyjnych programów ani budował dobrej kultury organizacyjnej.

Warto też zapytać, czy obecny system oceny akademickiej naprawdę mierzy to, co najważniejsze. Łatwo policzyć publikacje,



punkty i godziny dydaktyczne. Znacznie trudniej zmierzyć wpływ nauczyciela na rozwój studenta, zdolność lidera do budowania zespołu czy znaczenie badań, które po latach zmieniają praktykę kliniczną, społeczną lub gospodarczą. To jednak właśnie te efekty decydują o wartości uniwersytetu.

Równie istotne jest odejście od myślenia o ścieżkach kariery jako wyborach dokonywanych raz na całe życie zawodowe. Potrzeby uczelni, doświadczenie pracowników, ich kompetencje, zainteresowania i predyspozycje zmieniają się wraz z kolejnymi etapami kariery. Młody naukowiec może koncentrować się przede wszystkim na budowaniu dorobku badawczego, by po latach większą część swojej aktywności poświęcić dydaktyce, mentoringowi lub przywództwu akademickiemu. Inni mogą rozpoczynać karierę jako dydaktycy, a następnie rozwijać działalność naukową lub organizacyjną. Dlatego nowoczesny system powinien umożliwiać nie tylko wybór ścieżki rozwoju, ale również płynne przechodzenie pomiędzy nimi w zależności od etapu kariery, osiągniętego doświadczenia oraz potrzeb uczelni. Wraz z doświadczeniem powinny rosnąć możliwości wpływania na rozwój ludzi, zespołów i całej instytucji.

Rozwój uczelni nie może być oparty na wymaganiu od pracowników coraz większego wysiłku. Nie możemy być organizacją opartą na heroizmie jednostek. Nowoczesna uczelnia potrafi zamieniać indywidualny potencjał pracowników we wspólny sukces całej wspólnoty akademickiej.

Budujmy przewagę nie na pracowaniu więcej, lecz na pracowaniu mądrzej, w warunkach, które pozwalają wykorzystać nasze najmocniejsze strony. Nie potrzebujemy akademików od wszystkiego. Potrzebujemy uczelni, która pozwala ludziom być naprawdę dobrymi w tym, co robią najlepiej.

Prof. dr hab. Agnieszka Zimmermann

Pollyannaizm finansowy

czyli faktyczny stan polskiej humanistyki

Szczypta nadziei na większą skuteczność w pozyskiwaniu projektów grantowych przez pracowników jednostki naukowej, skromny ekwiwalent w postaci subwencji oraz plany ile to pokoi gościnnych wynajmiemy czy też ile to książek sprzeda wydawnictwo. Tak wygląda przepis na pollyannaizm finansowy, czyli stworzenie planu finansowego instytutu naukowego. Taki dokument musi uchwalić każda Rada Naukowa. Trzeba jedynie pamiętać, że jest to jedynie myślenie życzeniowe, wiara, że bilans zysków będzie wyższy od strat. Mamy zatem do czynienia z typowym efektem Pollyanny, czyli błędem poznawczym polegającym na nieświadomym lub świadomym koncentrowaniu się wyłącznie na pozytywach i odnajdywaniu dobrych stron w każdej sytuacji, przy jednoczesnym wypieraniu negatywnych faktów. Bez takiego pozytywnego myślenia, chyba żadna Rada Naukowa instytutu humanistycznego w Polsce nie uchwaliłaby planu finansowego.

Na czerwcowej radzie naukowej Instytutu Historii im. Tadeusza Manteuffla Polskiej Akademii Nauk nie zabrakło optymizmu. Najpierw informacja zła, czyli zakończyliśmy rok 2025 z dziurą budżetową na poziomie 1 114 tys. zł. Potem teoretycznie dobra wiadomość, że subwencja w roku 2026 wyniesie 18 363 tys. zł (w 2025 r. było to 19 158 tys. zł), po której następuje stwierdzenie, że wydatki na wynagrodzenia osobowe, bezosobowe i honoraria wyniosą 28 090 tys. zł. Od tego momentu następuje projektowanie optymistyczne budżetu oparte na nadziei, że pozostałe przychody operacyjne (odsetki bankowe, wynajem pomieszczeń, sprzedaż wydawnictw itp.), dotacje oraz projekty badawcze NCN, NAWA, DARIAH, SALT, DWSP, NPRH i inne będą na tyle duże, że nie zakończymy roku 2026 z debetem na koncie. Co prawda rok temu również mieliśmy takie nadzieje, ale cóż – wtedy nie wyszło. Prawda jest jednak taka, że subwencja ministerialna nie pokrywa pensji pracowników, a zwracam uwagę, że do tej rubryki nie doliczyłem kwestii ZUS i świadczeń na rzecz pracowników, które wynoszą prawie 5 807 tys. zł, materiałów i energii ok. 1 250 tys. zł, usług obcych (np. wydawnicze, czynsze) ok. 4 655 tys., stypendiów, delegacji, kosztów operacyjnych, podatku CIT ok. 3 500 tys. Gdy zsumujemy wszystkie koszty, nagle okazuje się, że otrzymamy kwotę ok. 43 mln zł (Instytut Historii PAN zatrudnia ok. 200 osób) przy subwencji ministerialnej na poziomie 18,5 mln zł. Reszta kosztów pokrywana jest, w ogromnej większości, przez zdobywane przez pracowników różne formy finansowania. Innymi słowy, granty nie tylko finansują badania, ale i umożliwiają funkcjonowanie instytutu na plusie budżetowym, co nie powinno być ich zadaniem. Warto również podkreślić, że instytuty PAN mają osobowość prawną i nie mogą liczyć, tak jak wydziały uczelni, na rektora, który w razie czego dosypie im pieniędzy, bo nad nimi nie ma żadnego rektora. Nad nimi znajduje się korporacja uczonych (PAN), która ma własny budżet i składa się w większości z badaczy zatrudnionych na uczelniach. Na jej czele stoi prezes PAN, który robi co może, aby wspierać instytuty w ich dążeniach do uzyskania większych środków z Ministerstwa Nauki. Z tego też powodu często dyrektorzy instytutów PAN udają się na osobiste „żebry" do ministra. Jakby nie patrzeć, jest to absurdalny sposób finansowania nauki, kiedy minister bezpośrednio rozmawia z dyrektorem instytutu zatrudniającego blisko 200 osób.

Co ciekawe, za czasów ministra Przemysława Czarnka doskonale zdawano sobie sprawę z ciosu, jaki zadano nauce polskiej w czasach Jarosława Gowina (wskutek zmiany kosztochłonności jednostki humanistyczne straciły ok. 40% swoich subwencji), dlatego też pod koniec każdego roku resort zasypywał dziurę budżetową wynikłą z powodu niewystarczającej wysokości subwencji. Po raz pierwszy nie zasypano jej w 2023 r., a następnie w 2025 r. Taka niepewność – dyrektor wie dopiero pod koniec grudnia, czy jego roczny budżet się zamknie – uniemożliwia jakiekolwiek sensowne planowanie. Ponieważ subwencja jest za mała, dyrektor musi gospodarować z nadzieją na grudniową dorzutkę, której brak stanowi poważny problem.

Istnieje również poważny problem związany z wynagrodzeniem osób zatrudnionych w jednostkach naukowych. Poniżej zestawiłem pracę minimalną z pensją asystenta i profesora.

Warto zwrócić uwagę, że jeszcze w 2018 r. pensja asystenta była o prawie 50% wyższa niż minimalna krajowa. Gdyby tę różnicę utrzymano, wówczas w 2026 r. pensja asystenta powinna wynosić 7209 zł. Tymczasem, jak wynika z tabeli, skok wynagrodzeń następuje w 2023 r. Powodem tego był fakt, że pensja asystenta z 2022 r. była o 285 zł niższa od minimalnej krajowej z 2023 r. Ponieważ zgodnie z regulacjami minimalna pensja asystenta to 50% pensji profesora, to podwyższono pensję profesora w 2023 r. do poziomu 7210 zł., czyli o około 12%. Rok później pojawił się ten sam problem, pensja minimalna była wyższa od pensji asystenta i zwiększono pensję profesora o 30% do 9370 zł. Ten sam problem pojawił się w 2026 r. i podwyższono pensję o 3%. Ministerstwo pochwaliło się, że w 2025 r. dało 5% podwyżki dla uczelni. Niestety instytuty Polskiej Akademii Nauk (a przynajmniej ten w którym pracuję, Instytut Historii PAN) takiej podwyżki nie dostały. Nawiasem mówiąc, instytuty PAN-owskie w przeciwieństwie do uniwersytetów nie mają również tzw. 13 pensji.

Drogi czytelniku, warto abyś sobie uświadomił, że w instytutach PAN to nie do końca wygląda tak, że profesor (tzw. belwederski) dostaje pensję w wysokości 9370 zł brutto (po zmianie rozporządzenia 9650), profesor uczelni 8009,50 zł brutto, adiunkt 7044,50 zł brutto, zaś asystent 4825 zł brutto. Badacze nie mają żadnych premii oraz tzw. trzynastej pensji. Jedyne co jest doliczane do podstawy, to dodatek za wysługę lat oraz dodatek dla kierowników działów za kierowanie zakładem lub pracownią. Z otrzymywanego wynagrodzenia naukowcy muszą zaplanować zakup komputera, oprogramowania i innego sprzętu niezbędnego do wykonywania swo-

	2018	2019	2020	2021	2022	2023	2024	2025	2026
Płaca minimalna (zł)	2 100	2 250	2 600	2 800	3 010	3 490	4 242	4 666	4 806
Płaca minimalna (%, 2018=100%)		7%	24%	33%	43%	66%	102%	122%	129%
Pensja asystenta (zł)	3 205	3 205	3 205	3 205	3 205	3 605	4 685	4 685	4 825
Pensja asystenta (%, 2018=100%)	0%	0%	0%	0%	0%	12%	46%	46%	51%
Pensja profesora (zł)	6 410	6 410	6 410	6 410	6 410	7 210	9 370	9 370	9 650
Pensja profesora (%, 2018=100%)	0%	0%	0%	0%	0%	12%	46%	46%	51%

ich obowiązków, ponieważ dotacja bazowa nie wystarcza na wyposażenie pracowników naukowych w niezbędny sprzęt (dostają go tylko pracownicy administracyjni). Niska subwencja powoduje, że złotówka jest oglądana z każdej strony, dlatego też pracownik nie dostaje delegacji, ponieważ ta obliguje pracodawcę do wypłaty pełnych diet. Naukowiec składa wniosek o urlop naukowy. Następnie prosi o pokrycie kosztów przejazdu i noclegu i 50% diet dziennych (tutaj należy podkreślić, że się poprawiło, bo było gorzej). Szczęściarze, którym udało się uzyskać granty i mają środki na sprzęt oraz delegację, nie muszą się takimi drobiazgami przejmować, reszta zaś, która korzysta z subwencji ministerialnej, poza rachunkami domowymi musi przewidzieć wydatki wynikające z wykonywanej pracy, jak np. zakup sprzętu, oprogramowania (np. pakiet office) oraz delegacje. Należy przy tym wszystkim pamiętać, że badacze pro bono są recenzentami artykułów, redaktorami w czasopismach, organizują konferencje i podejmują inne inicjatywy. Bardzo często nie mają nawet biurka w miejscu pracy i przestrzeń roboczą muszą zorganizować sobie w domu.

Około 2020 roku mój dobry znajomy z niemieckiej uczelni opowiedział anegdotę, która powtórzyła się niemal słowo w słowo w Lipsku, gdy pracowałem w Leibniz-Institut für Geschichte und Kultur des östlichen Europa (GWZO) jako profesor wizytujący. Wieczorem w miejscowej restauracji rozmawiałem z niemieckim doktorem i zeszło na zarobki badaczy niemieckich i polskich. Gdy powiedziałem, ile zarabia samodzielny pracownik naukowy w Polsce, dostałem pytanie: „Ale to wam pod koniec roku jakoś wyrównują?".

Od jakiegoś czasu przestałem liczyć na zrozumienie i podjęcie działań zmierzających do poprawy jakości życia naukowców i tym samym zachęcania młodych ludzi do tego pełnego wyrzeczeń „hobby", jakim jest kariera naukowa. Namawiam jednak ciebie, drogi czytelniku, abyś prześledził w dostępnych mediach, ile razy z ust polityków padało podobne lub wręcz identyczne stwierdzenie: „Należy zaznaczyć, że w obszarze szkolnictwa wyższego przepisy regulują jedynie minimalną wysokość wynagrodzenia zasadniczego nauczycieli akademickich w uczelniach publicznych, natomiast faktyczną wysokość wynagrodzeń w uczelniach kształtują samodzielnie władze uczelni, indywidualnie w odniesieniu do każdego pracownika i z uwzględnieniem posiadanych zasobów finansowych". Jest to oczywista medialna manipulacja, ale poprawiająca samopoczucie tym, którzy się nią posługują. Jak widać, efekt Pollyanny dotyka nie tylko członków rad naukowych, ale także polityków.

Na koniec warto zaznaczyć, że do ok. 2016 roku nauka polska radziła sobie całkiem dobrze. Pytanie, czy obecne kierownictwo resortu swoimi działaniami wzmocni pozycję polskich naukowców? Czy zauważy, że bez silnych budżetów jednostki nie będą w stanie zatrudniać w administracji wyspecjalizowanej kadry, która swoimi kwalifikacjami wesprze naukowców w zdobywaniu grantów europejskich? Aktualnie naukowiec, który ma fanaberię aplikowania o granty europejskie, zdany jest na siebie. Czy resort zrozumie, że subwencja dla jednostek naukowych, które w ewaluacji osiągnęły pozytywne wyniki, powinna pokrywać w 100% koszty funkcjonowania (pensje, prowadzenie badań, infrastrukturę, sprzęt komputerowy itp.)? Koszty uzyskane z innych źródeł powinny być motywacją do dalszej pracy jednostki, a nie wymogiem jej egzystencji.

Adrian Jusupović,
Instytut Historii im. T. Manteuffla Polskiej Akademii Nauk

Wznowiona profesura

Co kilka dni można przeczytać o retrakcjach artykułów wielu międzynarodowych publikacyjnych zespołów naukowych. Biorą w nich udział jako współautorzy polscy naukowcy z różnych uczelni w kraju. Palmę pierwszeństwa w liczbie unieważnionych (retraktowanych) publikacji dzierży obecnie prof. dr hab. inż. Marek Jaszczur z Katedry Podstawowych Problemów Energetyki Wydziału Energetyki i Paliw Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie. Przez ostatnie kilka lat intensywnie współpracował on z irackim zespołem naukowców kierowanym przez dr. Qusaya Hassana, zatrudnionego jako „Associate professor of mechanical engineering" na młodym irackim Uniwersytecie Diyala. To były doktorant profesora, który 17 kwietnia 2019 r. obronił na AGH swoją dysertację *An analysis of the hybrid renewable energy*. Na koncie prof. Marka Jaszczura znajduje się obecnie aż 23 retraktowane artykuły naukowe, z reguły opublikowane w wysoko impaktowanych czasopismach międzynarodowych, wszystkie – oprócz jednego – przy mocnym zaangażowaniu dr. Qusaya Hassana. Prezydium Rady Doskonałości Naukowej postanowieniem z 27 kwietnia 2026 r. wznowiło postępowanie profesorskie M. Jaszczura. Było ono zapoczątkowane prawie trzy lata temu – 22 sierpnia 2023 r. Po pół roku, 26 lutego 2024 r., wraz z pięcioma pozytywnymi recenzjami, zostało przekazane przez przewodniczącego RDN do Kancelarii Prezydenta RP. Prezydent Andrzej Duda podpisał nominację profesorską Marka Jaszczura w czerwcu 2024 r.

Wznowienie tzw. postępowania profesorskiego, polega na ponownej ocenie przez nowych recenzentów ówcześnie przedstawionego dorobku naukowego. Zostało ono wszczęte na wniosek Zespołu Inżynieryjno-Technicznego RDN, którego 24 członków biorących udział w głosowaniu 9 kwietnia 2026 r. jednogłośnie poparło konieczność wznowienia. Można podejrzewać, że jego członkowie – wybitni profesorowie z uczelni technicznych, już nie byli w stanie zamykać oczu na coraz liczniejsze doniesienia prasowe o współpracy polskich profesorów z grupami irackich, irańskich, pakistańskich lub hinduskich „młynarzy". Wytwarzali oni przy pomocy AI dziesiątki małowartościowych i przyczynkowych artykułów naukowych, publikowanych w języku angielskim, z reguły w wysoko punktowanych czasopismach typu open access.

Od strony formalnej RDN „powzięła informację o retrakcji publikacji Kandydata, które m. in. stanowiły podstawę nadania tytułu profesora. Prace te zostały wskazane przez Marka Jaszczura w postępowaniu profesorskim w dokumencie «uzasadnienie posiadania wybitnych osiągnięć naukowych». Cztery publikacje wchodzące w skład osiągnięcia «C» (publikacje naukowe) poddane zostały «retrakcji» przez redaktorów naczelnych czasopism lub wydawnictwa".

Prawną podstawą wznowienia z 27 kwietnia br. przez Prezydium RDN był artykuł 145 kpa i jego paragraf 1, który brzmi: „W sprawie zakończonej decyzją ostateczną wznawia się postępowanie, jeżeli: pkt. 5) – wyjdą na jaw istotne dla sprawy nowe okoliczności faktyczne lub nowe dowody istniejące w dniu wydania decyzji, nieznane organowi, który wydał decyzję". Cała procedura wznowienia zapewne będzie przebiegać w Akademii Górniczo-Hutniczej i technicznie zajmie się tym senat uczelni. Prawdopodobnie wynik tej procedury poznamy dopiero pod koniec 2027 roku, gdyż jest ona czasochłonna. Ale sam już fakt wznowienia jest mocnym sygnałem, że taka międzynarodowa bylejakość naukowa nie będzie więcej tolerowana.

Marek Wroński

Władcy algorytmów

Dlaczego oligarchizacja technologii decyduje o przyszłości narodów?

W moim poprzednim artykule pt. *Polska w lusterku wstecznym. Dlaczego budujemy skansen zamiast Doliny Krzemowej...* (FA 4/2026) starałem się zdiagnozować przyczyny, dla których nasz kraj zamiast budować nowoczesną gospodarkę opartą na wiedzy, osuwa się w bezpieczne, pełne samozadowolenia celebrowanie przeszłości. Postulowałem wtedy powrót do pragmatyzmu danych, wzorowanego na przedwojennym etosie Henryka Arctowskiego. Reakcja czytelników była niezwykle żywa, jednak jeden z komentarzy pod tekstem szczególnie przykuł moją uwagę. Autor owego wpisu stwierdził bez ogródek: „Panie Profesorze, ułani i skanseny to jedno, ale bądźmy realistami. Potentaci technologiczni z Doliny Krzemowej i tak nigdy nie pozwolą takim krajom jak Polska na rozwinięcie technologii na dużą skalę. Jesteśmy skazani na podrzędność".

Ta gorzka uwaga stała się bezpośrednią inspiracją do napisania niniejszego tekstu. Celnie dotyka ona bowiem fundamentalnego zjawiska współczesnego świata, jakim jest oligarchizacja technologii. Przemiana ta sprawia, że tradycyjne granice geograficzne i polityczne tracą na znaczeniu na rzecz nowych, niewidzialnych granic algorytmicznych kontrolowanych przez garść jednostek.

Śmierć cyfrowego utopizmu i narodziny nowej oligarchii

Przez ostatnie dekady globalne społeczeństwo żyło w urzekającym micie tzw. kultury hakerskiej. Dolina Krzemowa reklamowała się jako oaza antyestablishmentowych innowatorów, których kreacje miały rozbijać monopole, poszerzać indywidualną wolność i uniezależniać obywateli od opresyjnych aparatów państwowych. Jak jednak trzeźwo zauważa Jamie Bartlett (*The People vs Tech. How the Internet Is Killing Democracy (And How We Save It)*, London: Penguin Random House, 2018), ten założycielski mit cyfrowej utopii bezpowrotnie legł w gruzach. Dawni entuzjaści technologii, stroniący od biurokracji i krawatów, z biegiem lat przeistoczyli się w niezwykle wpływowych kapitalistów. Zamiast emancypacji, przynieśli nam erę technologicznego podporządkowania. Wykorzystując zaawansowane technologie do profilowania psychologicznego, współczesne platformy celowo manipulują naszymi procesami poznawczymi, stymulując układ dopaminowy i zmuszając nas do permanentnego przyklejenia do ekranów smartfonów – wszystko w imię maksymalizacji zysków reklamowych.

Spektakularnym ucieleśnieniem tej ewolucji jest Mark Zuckerberg. Jeszcze dziesięć lat temu opisywano go jako archetyp wizjonerskiego, transformacyjnego lidera, który emancypuje pracowników i buduje otwarty świat. Dziś, po serii głośnych skandali związanych z wyciekami danych i permanentnym naruszaniem prywatności, jego wizerunek uległ całkowitej erozji. Niedawne przesłuchania szefów Mety, X, TikToka, Snapa czy Discorda przed amerykańskim Kongresem w sprawie systemowych szkód psychicznych wyrządzanych młodym użytkownikom dobitnie pokazały, gdzie leżą realne priorytety cyfrowych gigantów.

Małżeństwo z rozsądku: Big Tech i wielka polityka

Oligarchizacja technologii to jednak coś znacznie głębszego niż zwykła rynkowa monopolizacja. To postępująca, niepokojąca konwergencja przywództwa ekonomicznego i politycznego. Najdoskonalszą cezurą tego procesu była inauguracja Donalda Trumpa jako 47. Prezydenta Stanów Zjednoczonych. Wydarzenie to unaoczniło światu istnienie bezprecedensowego sojuszu. Ramię w ramię z nowym prezydentem stanęli najwięksi tytani amerykańskiego sektora technologicznego: Elon Musk (Tesla, SpaceX, platforma X), Mark Zuckerberg (Meta), Jeff Bezos (Amazon), Sundar Pichai (Google). Ten specyficzny ożenek nie opiera się na głębokich, wspólnych wartościach ideologicznych. To chłodny, pragmatyczny i czysto kalkulowany biznesowy układ, polegający na wzajemnym lewarowaniu wpływów. Politycy zyskują potężne narzędzia do kształtowania opinii publicznej i wygrywania wyborów, natomiast technologiczni oligarchowie – przychylność regulacyjną, gigantyczne kontrakty rządowe i dalszą kapitalizację swoich prywatnych aktywów.

Mamy do czynienia z nową formą cyfrowej oligarchii. Te nieliczne jednostki kontrolują ogromną część amerykańskiego PKB, a zarazem posiadają globalny monopol na dystrybucję informacji. Antydemokratyczne implikacje tego stanu rzeczy są aż nadto widoczne. Gdy na początku 2025 roku przed Kapitolem w Waszyngtonie wybuchły protesty przeciwko nieformalnym wpływom Elona Muska na administrację rządową, protestujący przynieśli transparenty z prostym, ale uderzającym hasłem: „Nobody elected Musk" (Nikt Muska nie wybierał). To esencja problemu: ludzie, którzy nie posiadają żadnego demokratycznego mandatu, zyskali potężną, globalną władzę. Jednym wpisem na platformie X potrafią wstrząsnąć giełdami, zmienić trajektorię kampanii wyborczej, a nawet – jak pokazuje konflikt w Ukrainie – realnie wpływać na działania wojenne i geopolitykę państw.

Architektura nowej niewoli: algorytmy zamiast wolnej woli

Mechanizmy, za pomocą których ta nowa oligarchia utrwala swoje wpływy, są niezwykle subtelne i zawoalowane, przez co trudniej z nimi walczyć. Mustafa Suleyman (*The Coming Wave*, New York, NY: Penguin Random House, 2023) ostrzega przed nadchodzącą falą fasadowej demokracji, systemu, który zachowuje zewnętrzne atrakcyjne atrybuty wolności, ale pod spodem jest całkowicie sterowany przez algorytmiczne mechanizmy kontroli.

Współczesne algorytmy sztucznej inteligencji w przewrotny sposób rozwiązały tzw. paradoks wyboru, zdefiniowany przed laty przez psychologa Barry'ego Schwartza (*The Paradox of Choice. Why More is Less*, New York: HarperCollins Publishers, 2016). Dowodził on, że nadmiar opcji i permanentna konieczność podejmowania decyzji wywołuje w ludziach lęk, zagubienie i paraliż decyzyjny. Współczesny Big Tech przyszedł nam na „ratunek". Algorytmy, analizując gigantyczne zasoby naszych prywatnych danych, zaczęły podejmować decyzje za nas. Podpowiadają nam, co mamy kupić, jakiej muzyki słuchać, jakie filmy oglądać, kogo obserwować, a w konsekwencji – jak głosować.

Ceną za to pozorne odciążenie psychiczne jest systematyczne, nieuświadomione oddawanie własnej autonomii. Karmiąc algorytmy swoimi danymi, obnażamy przed nimi nasze nieuświadomione pragnienia, co pozwala korporacjom na jeszcze precyzyjniejszy behawioralny tuning naszych postaw.

Skutkiem tego procesu jest pasywna, bezrefleksyjna konsumpcja treści na platformach takich jak TikTok czy YouTube. Prowadzi to do drastycznego zaniku umiejętności krytycznego i kreatywnego myślenia, czyli dokładnie tych kompetencji, które według raportów McKinsey czy World Economic Forum są kluczowe na współczesnym rynku pracy. Z kolei w sferze zawodowej automatyzacja i optymalizacja procesów produkcyjnych grożą nam powrotem do zjawiska nowego fordyzmu, w którym człowiek staje się jedynie zoptymalizowanym, cyfrowym trybikiem w wielkiej machinie zarządzanej przez sztuczną inteligencję. W ten sposób ziszcza się ponura wizja Aldousa Huxleya

z *Brave New World*. Technologia zamiast nas wyzwalać, zaczyna służyć do behawioralnego warunkowania i koncentracji władzy w rękach technologicznych tyranów.

Co to oznacza dla Polski? Los technologicznych peryferii

Wracając do pesymistycznego komentarza mojego czytelnika z „Forum Akademickiego": czy w obliczu tak potężnej oligarchizacji kraje średniej wielkości, takie jak Polska, są skazane na marginalizację? Jeśli spojrzymy na twarde dane z międzynarodowych raportów, odpowiedź brzmi: niestety tak, o ile nie zmienimy radykalnie naszego paradygmatu.

Polska na mapie globalnych innowacji wciąż przypomina strukturalną pustynię. Co gorsza, z danych Stanford AI Index wynika jednoznacznie, że w dobie rewolucji sztucznej inteligencji jesteśmy wyłącznie biernym konsumentem (biorcą), a nie twórcą technologii. Nasz wkład w rozwój algorytmów, liczba patentów czy inwestycje w sektor deep-tech plasują nas na głębokich peryferiach świata zachodniego.

W sytuacji, gdy fundamentalna infrastruktura cyfrowa XXI wieku – systemy chmurowe, sieci 5G, duże modele językowe etc. – znajduje się w rękach kilku korporacji, samodzielne zbudowanie od zera cyfrowej potęgi na dużą skalę staje się barierą niemal nie do przebicia. Technologiczne monopole bezwzględnie duszą konkurencję w zarodku lub po prostu wykupują najbardziej obiecujące, genialne startupy z rynków wschodzących. Jeśli silnik naszego państwa dławi się biurokratyczną inercją i niską jakością stanowienia prawa (co bezlitośnie obnażają wskaźniki World Governance Indicators), to ziszcza się czarny scenariusz: będziemy społeczeństwem wyposażonym w najnowsze smartfony i świetną bankowość mobilną, ale całkowicie pozbawionym podmiotowości i uzależnionym od kaprysów i decyzji zapadających w Dolinie Krzemowej.

Geopolityczny realizm: dlaczego Dolina Krzemowa to mniejsze zło?

Czy w tej dystopijnej rzeczywistości oligarchizacji technologii tli się jakakolwiek nadzieja? Francis Fukuyama musiał po latach zrewidować swoją słynną tezę o końcu historii. Dostrzegł, że dynamiczny rozwój technologiczny, zwłaszcza w obszarze sztucznej inteligencji i biotechnologii, zamiast automatycznie prowadzić ludzkość ku liberalnej demokracji, stał się motorem napędowym potężnych wychyleń historycznego wahadła. Stoimy dziś w obliczu globalnego, bezwzględnego starcia dwóch diametralnie różnych modeli technologicznych: amerykańskiego (korporacyjno-oligarchicznego) oraz chińskiego (państwowo-autorytarnego).

I w tym miejscu, jako pragmatycy, musimy zdobyć się na głęboki, chłodny geopolityczny realizm. Choć oligarchizacja technologii przez amerykański Big Tech niesie ze sobą potężne zagrożenia dla demokracji, osłabia autonomię jednostki i drastycznie ogranicza suwerenność technologiczną mniejszych państw, to ostatecznie należy postawić odważną tezę: może to i dobrze, że to właśnie Dolina Krzemowa monopolizuje i oligarchizuje te technologie, a nie totalitarny reżim w Pekinie. Model chiński nie bawi się bowiem w żadne pozory fasadowej demokracji. Tam technologia i sztuczna inteligencja zostały bezpośrednio zaprzęgnięte do bezwzględnej inwigilacji i totalnej kontroli populacji, czego flagowym przykładem jest Social Credit System (system zaufania społecznego). W tamtejszym ekosystemie algorytmy autorytarnie dekretują, co obywatelowi wolno, a czego nie, bezlitośnie niszcząc jakąkolwiek przestrzeń dla indywidualizmu, pluralizmu czy wolności słowa. Nawet pojawienie się rzekomo darmowych i powszechnych narzędzi z tamtego kręgu kulturowego, jak głośny chatbot DeepSeek, budzi głębokie uzasadnione obawy o rzeczywiste intencje i bezpieczeństwo danych użytkowników na poziomie makro i mikro.

Z kolei amerykańska oligarchia technologiczna, mimo całego swojego drapieżnego nastawienia na zysk i cynicznych sojuszy politycznych, wciąż operuje wewnątrz cywilizacji opartej na fundamencie wolnego rynku, praworządności i pluralizmu. Ta sama Dolina Krzemowa, która potrafi manipulować użytkownikami, rodzi również projekty wysoce transformacyjne, które realnie rozbijają stare monopole i popychają rozwój cywilizacyjny do przodu.

Firmy Elona Muska, przy całym ich kontrowersyjnym charakterze, dokonały bezprecedensowych przełomów: Tesla – mimo potężnego oporu i lobbingu przemysłu naftowego – otworzyła zupełnie nowe, globalne ścieżki dla zrównoważonej mobilności; SpaceX (wraz z Blue Origin Jeffa Bezosa) skutecznie rzuciło wyzwanie skostniałemu, państwowemu monopolowi NASA, oferując znacznie tańsze, rewolucyjne rozwiązania, jak choćby pojazdy kosmiczne wielokrotnego użytku.

W amerykańskim modelu, dzięki wysokiej dojrzałości organizacyjnej, wciąż istnieje przestrzeń na myślenie nieszablonowe (think outside the box), innowacje i oddolną podmiotowość.

Dla państw takich jak Polska, oligarchiczny monopol Doliny Krzemowej jest oczywiście potężnym wyzwaniem strukturalnym. Wymusza on na nas porzucenie mrzonek o budowie „drugiej Doliny" na rzecz rozwijania silnego, mądrego przywództwa transformacyjnego na poziomie lokalnym i regionalnym. Musimy kształcić liderów, którzy potrafią reagować lokalnie na globalne zmiany, stawiając na kompetencje społeczne, elastyczność i budowanie kapitału społecznego. Jednak w ostatecznym rozrachunku globalnej wojny algorytmów, amerykański Big Tech – ze wszystkimi swoimi oligarchicznymi grzechami – pozostaje gwarantem cywilizacyjnego pluralizmu. Zdecydowanie wolę świat, w którym ekscentryczny miliarder wysyła w przestrzeń kosmiczną swoją Teslę i dla marketingu zaśmieca bez sensu orbitę, a szef Mety musi tłumaczyć się gęsto przed demokratycznie wybranym Kongresem, niż świat, w którym każdy mój krok, zakup i myśl są autorytarnie punktowane przez algorytm partii komunistycznej w Pekinie.

Paweł Poszytek, prof. Politechniki Wrocławskiej



Obraz wygenerowany przez AI

Jak za 20 milionów zł rocznie radykalnie wzmocnić polską naukę w AI

Każda dyscyplina nauki ma własną specyfikę. Nie wierzę, że da się stworzyć uniwersalne rozwiązanie finansowe równie dobre dla wszystkich. Ten artykuł jest eksperymentem intelektualnym: gdyby udało się zwiększyć finansowanie z budżetu i przeznaczyć na konkretną dyscyplinę dodatkowe 20 mln zł rocznie, to jak wydać je, aby maksymalnie podnieść jakość badań? Zapraszam przedstawicieli innych dziedzin do własnych odpowiedzi. Sam przedstawiam propozycję dla sztucznej inteligencji.

Zmieńmy pytanie

Rozmowa o nauce zwykle zaczyna się od postulatu zwiększenia nakładów. To potrzebne, ale spróbujmy przesunąć dyskusję o krok dalej: przyjmijmy, że dodatkowe pieniądze już zdobyliśmy. Nie pytajmy, jak podzielić je między istniejące instytucje, lecz jaki mechanizm zamieni 20 mln zł w największy wzrost potencjału konkretnej dyscypliny. W przypadku AI proponuję cztery elementy: osobną dyscyplinę, finansowanie po uzyskaniu wyniku, wsparcie trzech etapów kariery oraz automatyczne granty za najlepsze publikacje.

AI jest już osobną dyscypliną – poza urzędową klasyfikacją

W polskiej klasyfikacji nauki znajdują się informatyka oraz informatyka techniczna i telekomunikacja. Nie ma sztucznej inteligencji. Tymczasem współczesna AI łączy teorię uczenia maszynowego, statystykę, optymalizację, widzenie komputerowe, przetwarzanie języka, robotykę, bezpieczeństwo modeli i badania nad ich oddziaływaniem. Ma własny obieg publikacyjny, wielkie potrzeby obliczeniowe i rynek pracy nieporównywalny z większością nauki. Rozproszenie badaczy między dwie dyscypliny utrudnia ocenę potencjału, projektowanie adekwatnych kryteriów i tworzenie szkół doktorskich. Dlatego pierwszą zmianą powinno być uznanie AI za osobną dyscyplinę. Nie oznacza to przejmowania każdego badania, w którym użyto sieci neuronowej. Jej rdzeniem byłyby prace, których przedmiotem jest tworzenie, rozumienie lub ocena metod sztucznej inteligencji.

Nie kolejny konkurs obietnic

NCN finansuje projekty wyprzedzająco: badacz opisuje pomysł, przyszłe eksperymenty i spodziewane wyniki. Taki mechanizm jest potrzebny. Obok niego warto jednak stworzyć system działający odwrotnie: najpierw badacz osiąga wynik, a następnie otrzymuje środki na kolejny krok. Wniosek zawierałby dorobek z poprzedniego okresu, opis rzeczywistego wkładu, kod lub dane będące częścią rezultatu oraz informację o samodzielności badawczej. Bez wielostronicowej obietnicy przyszłych odkryć i harmonogramu udającego, że badania da się przewidzieć co do miesiąca. Eksperci porównywaliby osiągnięte wyniki osób na podobnym etapie kariery.

Podział 4+4+4+8

Po 4 mln zł przeznaczyłbym na trzy kolejne etapy kariery. Pozostałe 8 mln zł trafiłoby bezpośrednio za najlepsze publikacje.

Roczne stypendium doktoranckie wymagałoby rezygnacji z pracy poza uczelnią lub instytutem badawczym. Nie chodzi o karanie za aktywność zawodową, lecz o kupienie najrzadszego zasobu młodego badacza – czasu. Stypendium wynosiłoby łącznie 48 tys. zł, czyli 4 tys. zł miesięcznie; 4 mln zł wystarczą dla 83 osób. Dwuletni grant do czterech lat po doktoracie wynosiłby łącznie 200 tys. zł, a w okresie od 4 do 10 lat – 300 tys. zł. Połowa mogłaby być dodatkiem do wynagrodzenia, połowa służyłaby zespołowi na sprzęt, obliczenia i wyjazdy. Daje to 40 i 26 aktywnych grantów, łącznie około 149 osób.

Świadomie nie przewiduję wsparcia dla osób ponad dziesięć lat po doktoracie. Po dekadzie samodzielnej kariery naukowiec powinien sięgać po większe źródła: ERC i inne programy europejskie, konkursy NCN i NCBR oraz współpracę z przemysłem. Mały krajowy fundusz ma pomóc dojść do pozycji pozwalającej skutecznie konkurować o takie środki, a nie tworzyć stały dodatek dla seniorów. Grant powinien przy tym podążać za badaczem, jeżeli przechodzi on do innej polskiej jednostki. Pieniądze mają wzmacniać ludzi, a dopiero za ich pośrednictwem istniejące struktury.

Osiem milionów za najlepsze prace

W uczeniu maszynowym konferencje są pełnoprawnym, recenzowanym obiegiem publikacyjnym. Za jego ścisłą czołówkę uznaję NeurIPS, ICML, ICLR i CVPR. Wszystkie mają w rankingu ICORE najwyższą kategorię A*. Lista jest świadomie krótka. Nie oznacza, że poza nią nie ma znakomitych wyników; oznacza, że reguła ma być prosta, stabilna i odporna na coroczne negocjacje.

Na podstawie publicznych list z 2025 roku szacuję, że na czterech konferencjach łącznie było około 25 prac z pierwszym autorem zatrudnionym w polskiej jednostce. To nieoficjalne dane, mogłem części publikacji nie doliczyć, ale skala jest właśnie tego rzędu. Około 50 prac miało dowolnego autora z polską afiliacją. Program uwzględniałby tylko autorów wiodących, w tym oznaczonych wprost jako równorzędni.

Autor wiodący zakwalifikowanej pracy otrzymywałby automatycznie elastyczny grant na kolejne badania, a jego jednostka dodatkowo 20%. Kwotę wyznaczałby wzór:

$$x = \frac{8\,000\,000}{1{,}2N}$$

gdzie N oznacza liczbę kwalifikujących się udziałów. Przy około 25 udziałach badacz otrzymałby około 267 tys. zł, a jednostka 53 tys. zł. Przy 30–40 udziałach, po uwzględnieniu autorów równorzędnych, byłoby to 167–222 tys. zł dla badacza oraz 33–44 tys. zł dla jednostki. Finansowany byłby najwyżej jeden wynik danej pracy i nie więcej niż dwóch autorów równorzędnych. Uprawniona osoba musiałaby być zatrudniona w pełnym wymiarze albo kształcić się jako doktorant w polskiej uczelni, instytucie PAN lub instytucie badawczym. Pieniądze nie byłyby nagrodą prywatną, lecz grantem na następny eksperyment, współpracownika lub zasoby obliczeniowe.

Instrument	Budżet roczny	Wsparcie	Skala
Doktoranci	4 mln zł	48 tys. zł / rok	83 osoby
Do 4 lat po doktoracie	4 mln zł	200 tys. zł / 2 lata	40 aktywnych
Od 4 do 10 lat po doktoracie	4 mln zł	300 tys. zł / 2 lata	26 aktywnych
Najlepsze prace	8 mln zł	według liczby prac	około 25 prac

Radykalne, ale sprawdzalne

Program świadomie koncentruje środki. Jego celem nie jest podzielenie pieniędzy równo między ośrodki, lecz stworzenie większej liczby grup zdolnych konkurować na światowym poziomie. Stypendia i granty etapowe budują drogę dojścia, a finansowanie publikacji pozwala najlepszym natychmiast wykonać kolejny krok. Instrument nie zastępowałby grantów na ryzykowne pomysły, lecz je uzupełniał.

Najbardziej oczywisty zarzut brzmi: jest to finansowanie „bogatych", czyli zespołów już odnoszących sukcesy. W części publikacyjnej tak, świadomie. Jej celem jest zwiększenie liczby grup konkurujących na najwyższym poziomie, podczas gdy 12 z 20 mln zł buduje drogę dojścia dla młodszych badaczy.

Drugi zarzut jest naukometryczny: jedna publikacja nie może być miarą wartości badacza. Nie powinna decydować o zatrudnieniu ani awansie, może jednak uzasadniać ograniczony grant na kontynuację pracy. Lista konferencji powinna być stabilna i publicznie przeglądana na przykład raz na cztery lata.

Procedura mogłaby zmieścić się na jednej stronie, bez nowej agencji i ponownego recenzowania tych samych wyników. Jawne powinny być osoby, kwoty, jednostki i rezultaty. Po czterech latach można ocenić program i zmienić proporcje.

Po kilku latach łatwo byłoby go ocenić: ilu doktorantów pozostało w nauce, ile powstało samodzielnych młodych grup i ile prac prowadzonych z Polski trafiło do najważniejszego światowego obiegu. To może być użyteczniejszy początek rozmowy niż kolejna dyskusja o podziale środków między istniejące instytucje. Załóżmy, że pieniądze już leżą na stole. Co dokładnie chcemy za nie kupić?

Prof. Jacek Tabor, kierownik Grupy Metod Uczenia Maszynowego (GMUM) na Uniwersytecie Jagiellońskim

Nowi profesorowie

3 lipca 2026 Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Karol Nawrocki wręczył akty nominacyjne nauczycielom akademickim oraz pracownikom nauki i sztuki.

Nauki humanistyczne: Gościwit Jan MALINOWSKI (UWr)

Nauki inżynieryjno-techniczne: Mieczysław BAKUŁA (UWM, LAW), Michał Zbigniew BARTYŚ (PW), Katarzyna Danuta BIZON (PK), Krzysztof Roman CHWASTEK (PCz), Artur Bogusław DĄBROWSKI (PŁ), Agnieszka Beata DOŁHAŃCZUK–ŚRÓDKA (UO), Tadeusz DZIUBAK (WAT), Bożena Elżbieta GAJDZIK (PŚ), Adam Piotr GAŁUSZKA (PŚ), Roland JACHIMOWSKI (PW), Jarosław Jan JANKOWSKI (ZUT), Elżbieta Maria JARZĘBOWSKA (PW), Jan KINDRACKI (PW), Zbigniew KOBUS (UPL), Mariusz KOSTRZEWSKI (PW), Sławomir Jan KUBACKI (PW), Arkadiusz Wojciech LEWICKI (PG), Agnieszka ŁAWRYNOWICZ (PP), Przemysław Grzegorz ŁOPATO (ZUT), Agnieszka Barbara MALINOWSKA (PB), Mariusz MARKOWSKI (PW), Alicja Celina MAZUR (PWr), Izabela Magdalena MICHALAK (PWr), Krzysztof Mariusz MORACZEWSKI (UKW), Marcin NABIAŁEK (PCz), Jacek Marcin PIJANOWSKI (URK), Paweł POPIELSKI (PW), Witold Radosław SKOWROŃSKI (AGH), Wojciech Stanisław SOCHACKI (PCz), Robert Tomasz STALA (AGH), Sławomir Ireneusz STELMACH (ITPiE), Michał Jan STOSIAK (PWr), Bożena SZCZUCKA–LASOTA (PŚ), Tomasz TARCZEWSKI (UMK), Jolanta Barbara TOMASZEWSKA (PB), Tomasz TRAPKO (PWr), Marek WARZECHA (PCz), Iwona Ewa ZAWIEJA (PCz), Marcin ZIÓŁKOWSKI (ZUT)

Nauki medyczne i o zdrowiu: Radosław CHARKIEWICZ (UMB), Robert GAJDA (UHPJD), Bartłomiej GÓRSKI (WUM), Agnieszka Ewa LAUDY (WUM), Iwona Aneta ŁUGOWSKA (NIOMSC-PIB), Wojciech Rafał MAJEWSKI (NIOMSC-PIB), Małgorzata Ewa MARCHELEK–MYŚLIWIEC (PUM), Andrzej Marcin NOWAKOWSKI (NIOMSC-PIB), Jerzy Marcin PRĘGOWSKI (NIK-PIB), Piotr Krzysztof RZYMSKI (UMP), Izabela Dorota TULETA (Albert Einstein College of Medicine, USA)

Nauki o rodzinie: Dorota Joanna KORNAS–BIELA (KUL)

Nauki rolnicze: Ewa Małgorzata DUBAS (IFR PAN), Franklin GREGORY (IGR PAN), Maciej Tadeusz GRZESIAK (IFR PAN), Tomasz Bogdan HURA (IFR PAN), Joanna Małgorzata KAPUSTA–DUCH (URK), Marek Konrad KIELISZEK (SGGW), Ewa Anna OSTROWSKA–LIGĘZA (SGGW), Kamila Sylwia PUPPEL (SGGW), Aleksander Franciszek SIGER (UPP), Barbara SKWARYŁO–BEDNARZ (UPL), Barbara SOKOŁOWSKA (IBPRS-PIB), Monika Ewa SZYMAŃSKA–CHARGOT (IA PAN), Katarzyna TAJCHMAN (UPL), Agnieszka Paulina TOMKOWIAK (UEP), Heliodor Arkadiusz WIERZBICKI (UPWr), Beata Jolanta WIĘCASZEK (ZUT), Agata WITCZAK (ZUT), Zhimin YIN (IHiAR-PIB)

Nauki społeczne: Anna Maria DŁUŻEWSKA (UMCS), Maciej Antoni GÓRECKI (UW), Małgorzata GRUCHOŁA (KUL), Katarzyna Joanna GRZYBCZYK (UŚ), Monika Grażyna JAGIELSKA (UŚ), Witold Antoni KLAUS (INP PAN), Agata Maria KLIBER (UEP), Katarzyna Magdalena KOPCZEWSKA (UW), Łukasz KOZŁOWSKI (ALK), Michał Piotr KRÓLIKOWSKI (UW), Sylwia KULCZYK (UW), Agnieszka LISZEWSKA (UŁ), Mirosław Karol MIKA (UJ), Piotr MISZTAL (URKP), Adrian Marcin NIEWĘGŁOWSKI (UMCS), Agnieszka NIEZGODA (UEP), Juliusz Ireneusz PIWOWARSKI (WSBPiI „Apeiron"), Małgorzata Barbara PORADA–ROCHOŃ (USz), Małgorzata Beata RENIGIER–BIŁOZOR (UWM), Mariusz Paweł SOKOŁOWICZ (UŁ), Marta Małgorzata SONIEWICKA (UJ), Izabella Beata STEINEROWSKA–STREB (UEK), Agata Anna SUDOLSKA (UMK), Krzysztof TRZCIŃSKI (UJ), Joost VAN HOOF (UPWr), Anna Aleksandra WOJCIUK (UW), Przemysław Jan ZBIEROWSKI (UEK)

Nauki ścisłe i przyrodnicze: Grażyna ANTCZAK (UWr), Agnieszka Maria BAGNIEWSKA–ZADWORNA (UAM), Ewa BAJKACZ (PŚ), Michał Stanisław BEJGER (CAMK PAN), Sławomir Artur BERSKI (UWr), Robert Józef BIALIK (IBiB PAN), Łukasz Jakub BINKOWSKI (UKEN), Michał BOGDZIEWICZ (UAM), Maciej Edward BORODZIK (IM PAN, UW), Małgorzata BRINDEL (UJ), Maciej Eugeniusz BUJAK (UO), Filip Krzysztof CIESIELCZYK (PP), Magdalena Anna DUMAŃSKA–SŁOWIK (AGH), Agata FRONCZAK (PW), Edyta Violetta GENDASZEWSKA–DARMACH (PŁ), Sabina Barbara GÓRSKA (IIiTD PAN), Bartłomiej GRACZYKOWSKI (UAM), Jerzy Leszek GRĘBOSZ (IFJ PAN), Urszula Irena GUZIK (UŚ), Joanna JAKUBOWICZ–GIL (UMCS), Anna Elżbieta JAKUBSKA–BUSSE (UWr), Zygmunt Walerian KĄCKI (UWr), Dries Pieter Jan KUIJPER (IBS PAN), Joanna Agnieszka KUJAWA (UMK), Magdalena Monika LIGOR (UMK), Adam Maciej MACIERZANKA (PG), Michał Jerzy MICHAŁOWSKI (UAM), Justyna MOŻEJKO–CIESIELSKA (UWM), Tomasz OLSZEWSKI (PWr), Katarzyna Monika PAWLAK (PW), Małgorzata Hanna PILOT (UG), Jacek Gabriel PIOSIK (UG), Wojciech Mieczysław POKRZYWA (MIBMiK), Maria Jolanta PRZYBYLSKA (UZ), Michał Piotr RACHWALSKI (UŁ), Marcin RUNOWSKI (UAM), Carl Hendrik SMITH (UŁ), Radosław SMOLEC (CAMK PAN), Sylwia Kinga STUDZIŃSKA (UMK), Piotr SUFFCZYŃSKI (UW), Lorenzo VILIZZI (UŁ), Elżbieta Magdalena WILK–WOŹNIAK (IOP PAN), Michał WOJTYLAK (UJ), Sławomir WYBRANIEC (PK), Anna Maria ZATORSKA–GOLDSTEIN (UW), Dominika Kamila ZGID (UW, Uniwersytet w Michigan), Michał ZIEMBOWSKI (PW), Anna Maria ŻYLIŃSKA (UW)

Nauki teologiczne: ks. Marek KLUZ (UPJPII)

Nauki weterynaryjne: Katarzyna DUDEK (PIW-PIB)

Sztuki: Bogusław BACHORCZYK (ASPJM), Grzegorz Adam BEDNARSKI (ASPJM), Marcin BIKOWSKI (ATAZ), Krzysztof Damian BOCZKOWSKI (ASTSW), Lidia Maria CHOCZAJ (ASPWS), Ireneusz CZOP (PWSFTviT), Susi FERFOGLIA (UPJPII), Piotr Maciej HAUSENPLAS (UMFC), Olha PLYSKA–PASICHNYK (UMFC)

AI, uczelnie i cała reszta

Od dłuższego czasu toczy się dyskusja jak poradzić sobie z narzędziami AI, zwłaszcza w relacji do procesu dydaktycznego – nie tylko na uczelniach, ale i w szkołach – oraz w publikacjach czy pracach semestralnych, magisterskich czy doktorskich. Nic nie ujmując wadze przedstawianych tam różnorakich argumentów, pozwalam sobie przedstawić własne stanowisko w tej sprawie. Nie będę odnosił się do kwestii nadużyć, bo jak sądzę, powiedziano na ten temat już dość.

Ze współpracy z tym narzędziem mam własne doświadczenia i pragnę podzielić się spostrzeżeniami, które poczyniłem. Po pierwsze, traktuję to narzędzie użytkowo i to w kilku obszarach. Przede wszystkim jako bardzo pożyteczne, gdy wstępnie pragnę zorientować się w przeglądzie literatury przedmiotu. Traktuję przegląd dokonany przez AI nie jako ostateczne określenie stanu rzeczy, ale jako ogólną informację, jak jakieś zagadnienie jest postrzegane. Przegląd od AI (Review from AI) to tylko sugestia, dotycząca nie tego, jak jakiś problem jest definiowany, ale jedynie jego prezentowania w różnych publikacjach.

Następnie, gdy pragnę szybko uzyskać informację, czy badany przeze mnie problem jest do pozyskania w postaci np. cytatów ze źródeł, których przeglądania „na piechotę" zajęłoby dużo czasu. Jednak dalsza praca z tak pozyskanymi materiałami to już moje zadanie. Wreszcie, taki przegląd od AI daje mi orientację, co zostało pominięte w takim zestawieniu; jednak odpowiedź na pytanie, dlaczego coś zostało pominięte, jest już moim zadaniem. Jedynym problemem, jaki tu dostrzegam, jest forma zapisu bibliograficznego. Czy wystarczy tylko zwięzła informacja w rodzaju „Przegląd od AI" z datą dostępu, czy też powinienem podawać informacje o adresie internetowym takiego przeglądu?

Po drugie, jeśli mam dostęp do narzędzi AI, które mogą dokonać swoistej wstępnej kontroli, wtedy mogę sprawdzić czy mój tekst jest jasny, czy wszystkie problemy, które w nim poruszyłem, są dobrze przedstawione, czy tekst jest zrozumiały itd. Taka kontrola może być potrzebna i przydatna, szczególnie w sytuacji, gdy problem, który omawiam, jest skomplikowany.

A zatem, w pierwszym wypadku narzędzie AI ułatwia wstępną kwerendę bibliograficzną, w drugim jest swoistą wstępną redakcją mojego tekstu, która pozwala na wykrycie niedociągnięć np. w argumentacji, sposobie prezentacji problemów itp. Jeśli wreszcie moje narzędzie AI ma takie możliwości, mogę i powinienem przy jego pomocy skontrolować poprawność tłumaczenia na inne języki bądź z innych języków.

Narzędzia AI są zatem tylko pomocą dla mnie zarówno na etapie zbierania bibliografii, dokonania przeglądu stanu badań (acz nie zwalnia mnie to samodzielnego przejrzenia baz, chyba że może to za mnie zrobić AI), a także wstępnej kontroli poprawności mojego tekstu. W tym ostatnim zadaniu powinienem także podać informację we wstępie do artykułu, że kontrolowałem go przy pomocy narzędzi AI (i ewentualnie podać informację, jakie to było narzędzie; uwaga ta dotyczy także tłumaczeń). Jak sądzę, winniśmy korzystać z tego narzędzia, ale nie wolno nam przerzucać na nie odpowiedzialności za powstający tekst. Ta spoczywa na nas jako autorach.

Jakie to może mieć konsekwencje dla procesu dydaktycznego? Przede wszystkim trzeba pamiętać, że narzędzie czy raczej narzędzia AI to tylko narzędzia, które ułatwiają nam zbieranie materiałów, wstępne określenie stanu badań, wstępną kontrolę redakcyjną tekstu. A zatem powinniśmy uczyć studentów (zapewne także uczniów szkół średnich), jak korzystać z tego narzędzia, (tych narzędzi). Oraz jak podawać informację bibliograficzną o korzystaniu z takich pomocy.

Na zakończenie winienem wytłumaczyć się z formuły tytułowej. Jest to aluzja do cyklu powieściowego Douglasa Adamsa *Autostopem przez galaktykę*, w której pada pytanie: „jaka jest odpowiedź na pytanie o wszechświat, życie i całą resztę". Odpowiedź, jakiej udziela superkomputer, jest szokująca: to 42. Wymaga ona kolejnych badań i kolejnych pytań, które kierują bohaterowie do superkomputera Deep Thought, który poprzedniej odpowiedzi szukał przez siedem i pół miliona lat! Mam nadzieję, że poszukiwanie odpowiedzi na pytanie godne Hamleta: „korzystać czy nie korzystać z narzędzi AI" w procesie dydaktycznym i badaniach naukowych, będzie trwała krócej.

Prof. Jakub Z. Lichański, literaturoznawca, historyk literatury i kultury.

AI, autorstwo i odpowiedzialność

Odkąd koszt generowania treści spadł radykalnie, kilka odrębnych narracji nakłada się na siebie i zlewa w jeden zarzut: wygenerowane. Warto je rozdzielić, bo dotyczą trzech różnych celów, a w każdym pytanie o zastosowanie modelu generatywnego znaczy co innego.

Pierwszy: tam, gdzie ludzki wytwór sam w sobie jest wartością. Literatura, muzyka, sztuka to dziedziny, w których człowiek jest w centrum jako kreator, a „zrobione ludzką ręką" bywa istotą dzieła. Tu pochodzenie jest częścią wartości, więc pytanie o udział modelu ma sens wprost. Niemniej i tu granica jest płynna, a sam zarzut potrafi zlewać różne tryby użycia. Gdy Olga Tokarczuk przyznała, że używa modelu do researchu i rozwijania pomysłów, część odbiorców potraktowała to tak, jakby model generatywny napisał książkę, choć mówiła o czymś znacznie węższym. Jak zobaczymy dalej, ten sam błąd wraca także w przypadku nauki, gdzie pojedyncze „wygenerowane" przykleja się niezależnie od tego, jaką funkcję faktycznie powierzono modelowi. Różnica jest taka, że w sztuce odpowiedzią może być oznaczenie jego udziału. Stąd postuluje się dzisiaj, by współudział modeli sygnalizować czytelnikowi. Natomiast w nauce, chodzi bardziej o jawność metody niż o sam fakt ludzkiego wykonania.

Drugi: nauka i badania. I tu ta sama intuicja co do autorstwa może być błędnie przenoszona. W nauce liczy się wkład do korpusu wiedzy, m.in. rozwiązanie problemu, nowe poznanie. Samo użycie narzędzia lub procedury nie czyni pracy naukową. Jej naukowy charakter nadaje problem, metoda, kontrola błędu, interpretacja i wkład poznawczy. Łatwo pomylić posłużenie się procesem z nauką. Narzędzie to element wspomagający i nie zastępuje wkładu człowieka.

Jeśli zarzut brzmi, że samo użycie modelu usuwa autorstwo albo naukowość pracy, to jest to stanowisko zbyt mocne. Trafniejsza wersja tego zarzutu może przyjąć bardziej realną i trudniejszą do obrony formę. Możemy mianowicie zapytać, czy delegacja nie zaciemnia wkładu człowieka – które funkcje poznawcze powierzono modelowi i czy człowiek zachował kontrolę nad pytaniem, metodą i interpretacją. To jest właściwe pytanie, nie sam fakt, że model był użyty, lecz „jakie funkcje poznawcze zostały oddane i kto odpowiada za końcowe twierdzenia?".

Autorstwa w nauce nie rozstrzyga więc to, kto wykonał poszczególne operacje, aktualnie wiele z nich wykonuje już maszyna. Algorytm potrafi zaprojektować eksperyment, dobrać kolejny pomiar, zasugerować rozwiązanie, natomiast pakiet statystyczny potrafi



Rys. Sławomir Makal

podać interpretację. Te funkcje są wytwórcze i dają się oddzielić od podmiotu i zlecić. Autorstwo opiera się na wzięciu odpowiedzialności za twierdzenie i powiedzeniu „ja to sprawdziłem, rozumiem i za to ręczę". Samo „kierowanie" modelem tego nie gwarantuje, jeśli człowiek nie rozumie i nie ręczy za wynik, ale i delegowanie wielu funkcji wytwórczych autorstwa nie unieważnia, dopóki ktoś rezultat rozumie, kontroluje i bierze za niego odpowiedzialność.

Autor to nie ten, kto wyprodukował najwięcej, lecz ten, kto może za wynik ręczyć. To trochę jak z mikroskopem, nie powiemy, że to on dokonał odkrycia, tylko badacz, który przez niego patrzył i zrozumiał, co widzi. Dotyczy to także trybu poszukiwania, gdzie model generatywny, podobnie jak eksploracyjna analiza danych, od dekad potrafi wydobyć z danych szereg kandydatów na wzorce i hipotezy. To nie odbiera pracy naukowości ze względu na to, że ciężar leży nie w tym, że wzorzec został wygenerowany, lecz w tym, czy zbiega się stabilnie i czy człowiek go uchwycił, zweryfikował i obronił.

Należy tu jednak postawić jedno zastrzeżenie, które tę analogię ogranicza, a mianowicie takie, że model, inaczej niż mikroskop, potrafi uczestniczyć w bardziej poznawczych etapach, m.in. proponować interpretacje, tekst imitujący rozumowanie. Właśnie dlatego wymaga większej jawności i kontroli niż klasyczne narzędzie badawcze. Nadużyciem nie jest tu eksploracja, lecz przebranie znaleziska eksploracyjnego za hipotezę postawioną z góry i „niezależnie potwierdzoną".

Trzeci: formacja człowieka (student, badacz). To inna warstwa. Tu celem nie jest wynik, lecz rozwój prowadzący do samodzielnego działania i podejmowania decyzji, stawiania hipotez, krytycznego myślenia czy rozliczalności. Uzasadniona jest troska, że ktoś przeskoczy etap mocowania się z problemem i nie nabędzie warsztatu badawczego. Wiedzę nabywa się w trakcie doświadczenia i przechodzenia przez trudności, i jeśli pominiemy ten etap i przejdziemy zbyt gładko przez ten proces, to może się okazać, że posiadamy tylko iluzję wiedzy i rozumienia.

Ze względu na to, że model może produkować tekst, który brzmi rozumnie, możemy łatwo tę płynność wziąć za kompetencję. I tutaj możemy dokonać pomyłki, podobnej do tej w stylu: „to brzmi naukowo, więc jest naukowe". Tyle że tym razem dotyczy nie cudzego tekstu, lecz nas samych. Różnica polega na tym, że tu ofiarą złudzenia jest sam uczący się. Dodatkowo to samo złudzenie ma wersję rozciągniętą w czasie: delegując funkcję, której jeszcze się nie wykształciło, można mieć poczucie przyrostu mocy – wynik wychodzi, praca i rozwiązanie problemu idzie szybciej – choć to nie nasza moc urosła, lecz cudza, wpięta w miejsce, gdzie nasza miała dopiero urosnąć. Wzmocnienie bywa więc pozorne od początku, jeśli dotyczy kompetencji, której się nie przeszło. Natomiast oddany etap to ten, na którym kompetencja miała się uformować.

Granica delegacji nie leży jednak w narzędziu, lecz w stanie własnej kompetencji: matematyk, który zna analizę i zrzuca rachunki na solver, nie zaciąga długu z tego względu, że ma do czego wrócić i czym skontrolować wynik. Dług powstaje dopiero wtedy, gdy oddajemy coś, czego nie umiemy jeszcze odtworzyć ani ocenić. Dlatego proces ma wartość, której rezultat nie zastąpi; nie chodzi o to, by wynik istniał, lecz o to, by ktoś naprawdę wiedział. Ale to inny cel i inny sposób użycia i nie należy go mylić z oceną samego badania.

Stąd uściślenie. To, jak odczytujemy użycie modelu generatywnego, zależy od kontekstu. W twórczości model może rodzić nowe normy, np. model jako narzędzie współtworzenia, którego udział może być sygnalizowany oznaczeniem lub opisem. W badaniach zazwyczaj domaga się ujawnienia zakresu i delegacji funkcji jako części metodologii. Natomiast w formacji rządzi się logiką rozwoju.

Na końcu należy postawić jedno zastrzeżenie, które wzmacnia tezę o zależności użycia modelu generatywnego od kontekstu. Kuszące jest powiedzieć „skoro wynik okazał się trafny, metoda nie ma znaczenia", ale to nieprawda. Wartość odkrycia zależy przede wszystkim od tego, czy wynik jest prawdziwy, sprawdzalny i istotny; metoda pozostaje jednak ważna dla wiarygodności, oceny błędu, zakresu uogólnienia, wykrywania konfabulacji i rozliczalności. Model dokłada tu problem innego rodzaju niż kalkulator – nie dlatego, że jest probabilistyczny, bo nauka zna i ceni metody stochastyczne, lecz dlatego, że nieudokumentowaną, interakcyjną rozmowę z modelem trudno odtworzyć. „Model tak podpowiedział" nie jest metodą; metodą staje się dopiero opis tego, jakiego modelu użyto, do jakich funkcji, na jakich danych i zapytaniach (prompty), jak selekcjonowano wyniki i jak je zweryfikowano. Jawność w tym zakresie nie jest więc wstydem, lecz przejawem rzetelności. Powinniśmy zatem wspierać wymóg jawności, a nie zakaz używania modeli generatywnych. Konkludując, niepokój stojący za zarzutem braku autorstwa przy wykorzystaniu modeli generatywnych jest zrozumiały, jednak – jak widać – sama etykietka „wygenerowano" rzadko trafia w jego źródło. Warto najpierw rozróżnić, o który z trzech wyżej wymienionych celów chodzi. W twórczości istotne może być ustalenie pochodzenia dzieła i udziału człowieka, w nauce – ocena wiarygodności metody i odpowiedzialności za twierdzenia, a w kształceniu – ocena samodzielności i rozwoju kompetencji. Samo określenie rezultatu jako „wygenerowanego" nie wystarcza do jego oceny, ponieważ pomija kontekst użycia modelu.

Dr inż. Marcin M. Mirończuk, informatyka techniczna , OPI – PIB

Bezsens (obecnej) matury

Dr Przemysław Piotr Damski, adiunkt w Katedrze Teorii i Historii Stosunków Międzynarodowych na Wydziale Studiów Międzynarodowych i Politologicznych Uniwersytetu Łódzkiego, pełnomocnik dziekana ds. kontaktów z otoczeniem, pisze, dlaczego obecna matura nie spełnia funkcji skutecznej kwalifikacji na studia uniwersyteckie i zastanawia się, jak można to zmienić.

Przy okazji tegorocznych matur pojawiło się wiele głosów krytycznych. Ich autorzy wytykali błędy w arkuszach egzaminacyjnych, zwracali uwagę na zasadność zdawania matematyki i mnóstwo innych kwestii. Głosy te koncentrują się na maturze, jako czymś co decyduje o życiu abiturientów. Tymczasem egzamin maturalny, przynajmniej w obecnej formule, jest zbędny. Wypowiadam się z pozycji nauczyciela akademickiego reprezentującego nauki społeczne i humanistykę. Nie zamierzam wchodzić w obszar nauk przyrodniczych oraz ścisłych i wypowiadać się na temat kompetencji potrzebnych studentom tych dziedzin wiedzy. Jednocześnie nie jestem nieopierzonym belfrem, lecz nauczycielem z trzynastoletnim stażem i doświadczeniem zdobywanym na uczelniach prywatnych i publicznych. Regularnie biorę udział w konferencjach dydaktyki akademickiej i mogę o sobie mówić jako pasjonacie dydaktyki. Nie czyni to mojego poglądu jedynie słusznym, lecz wyrobionym w zderzeniu z realiami i licznymi rozmowami w środowisku akademickim.



Tak zwana „nowa matura" z 2005 r. miała być ramą obiektywnego, ogólnokrajowego systemu sprawdzania i oceny wiedzy oraz umiejętności uczniów. Stała się także głównym kryterium rekrutacji na studia po likwidacji egzaminów wstępnych i w praktyce je zastąpiła. Obiektywizm oceniania miał zapewnić klucz odpowiedzi. W praktyce jest on jednak ograniczający, gdyż zmusza uczniów do przewidywania odpowiedzi, a nie poszukiwania dobrej drogi do rozwiązania zadania. Krytyka klucza nasiliła się, gdy do matury w ramach zabawy przystępowali znani twórcy i badacze (np. Wisława Szymborska czy ostatnio Tomasz Rożek). Podczas egzaminu analizowali oni teksty, których byli autorami, a następnie sprawdzano zgodność ich odpowiedzi z kluczem. W rezultacie często uzyskiwali wyniki przeciętne lub niedostateczne. Egzaminatorzy bronili się przed zarzutami, wskazując, że uznają poprawne odpowiedzi spoza klucza. Nie dysponujemy jednak statystykami, które pozwoliłyby sprawdzić, jak często się tak dzieje bez konieczności odwoływania się od ich decyzji.

Kolejną kwestią jest przygotowywanie egzaminu oraz jego ewaluacja przez nauczycieli szkół średnich, tj. osoby, które nie wiedzą, jakich kompetencji oczekuje się od studentów. Matura sprawdza to w sposób znikomy. Wymaga informacji zbędnych, a umiejętności przydatne na studiach sprawdza nieprawidłowo.

Uczelnie często organizują drzwi otwarte, aby zachęcić uczniów do studiowania w ich murach. Często słyszałem od nich pytanie: „Czy będziemy musieli zawsze zgadzać się z nauczycielem tak jak jest to w szkole? Jaki jest zatem sens aby uczniowie opisywali coś „własnymi słowami", skoro i tak nie mogą zgadzać się z nauczycielem i muszą wpisać się w oczekiwania egzaminatora? W dodatku „własne zdanie" może być wyrobione dopiero, gdy umie się korzystać ze źródeł, powoływać się na nie i argumentować za lub przeciw zawartych w nich tezom. Tego jednak się nie wymaga.

Szkoły średnie stały się maszynami przygotowującymi, i to kiepsko, do zdania egzaminu maturalnego. Jego istnienie zdaje się stanowić uzasadnienie ich bytności, a konkretnie sposobu, w jaki nauczają. Sposobu opartego na konformizmie, obawie przed stosowaniem rozwiązań kreatywnych i niesztampowych. Tym samym szkoły wymagają, aby uczniowie wpisywali się w sztywno określony wzorzec rozwiązywania problemów obecny na maturze, lecz nieprzydatny po ukończeniu szkoły średniej.

Osoby, które przychodzą na studia licencjackie są często przestraszone. Znajdują się w nowej rzeczywistości, wśród nowych ludzi, wśród nauczycieli akademickich, o których często słyszeli w szkołach średnich, że ci ich „przerorają". Często boją się odezwać, zaprezentować własne zdanie, nie wiedzą, jak mają to zrobić. W dodatku studia dają dużą swobodę, która bywa przytłaczająca, zwłaszcza że oceny numeryczne zdobywa się rzadko lub wcale. Pierwsze dwa lata na uniwersytecie polegają zwykle na otwieraniu studentów, wydobywaniu ich potencjału, pozyskiwaniu zaufania. Ich lęki są często powiązane konstatacją, w jak niewielkim stopniu umiejętności i wiedza ze szkoły średniej przydają im się na studiach. Wdrożenie w nową rzeczywistość jest zatem trudniejsze.

Skoro zatem matura nie przygotowuje do studiów i studiowania, to jakie argumenty mamy za jej istnieniem? Często słyszymy, że „przecież bez matury nie będą się uczyć". Strach bywa silnym motywatorem, jednak jeżeli wiedza i umiejętności nie są utrwalane, to sprowadzają się do „zakuć, zdać, zapomnieć". Ponieważ zaś z takim zjawiskiem mamy do czynienia przed i po maturze, argument ten upada. Jak już wspomniałem, matura w niewielkim stopniu przygotowuje do studiów. Poloniści mogą zakrzyknąć, że bez matury uczniowie nie będą umieli pisać. Tylko, że studenci na ogół nie umieją pisać. Mają problemy z przelaniem swoich myśli na papier, z argumentacją czy wspomnianym już korzystaniem ze źródeł. Historycy mogą podnosić argumenty z patriotyzmu, konieczności znajomości „pewnych faktów, dat i nazwisk" oraz umiejętności „krytycznej analizy źródeł". Widząc jak łatwo nasze społeczeństwo ulega dezinformacji w zakresie historii, myślę, że z pierwszego zadania matura wywiązuje się kiepsko. W drugim przypadku informacje można sprawdzić, choć absolwenci szkół średnich często nie wiedzą, gdzie i czym się charakteryzuje rzetelne źródło. To zaś prowadzi do trudności z krytyczną analizą materiału.

Obiecałem, że nie będę podnosił zagadnień związanych z dziedzinami ścisłymi, ale zrobię jeden wyjątek. Nie chciałbym, aby marginalizowano wiedzę i umiejętności matematyczne. Może warto jednak zastanowić się nad nieco innym rozłożeniem akcentów w zakresie podstaw tej dyscypliny. Położyć większy nacisk na logikę, która wespół z podstawami filozofii pozwoliłaby na poprawę umiejętności argumentacji, a z podstawami ekonomii lepiej zrozumieć mechanizmy gospodarcze. Nade wszystko zaś każdemu studentowi humanistyki i nauk społecznych przydałaby się umiejętność pracy z arkuszami kalkulacyjnymi i etycznym wykorzystaniem AI. Dziś na uczelniach musimy wszystkie te kwestie przekazywać studentom od podstaw, gdyż nie przekazano im ich wcześniej.

W tym ujęciu egzamin maturalny jest całkowicie zbędny, a trud – także nauczycieli, którzy nie ulegają presji systemu i starają się rozwijać kreatywność uczniów – idzie na marne. To syzyfowa praca. Nie dziwię się, że wielu z nich nie widzi sensu swoich działań. Zostali postawieni przed zadaniem, które jest zbyt trudne, a czasem niemożliwe do realizacji. Wyzwolone spod ciężaru matury szkoły średnie mogłyby się skoncentrować na dwóch zadaniach. Pierwszym powinno być kształtowanie umiejętności podstawowych, w tym samodzielnego pozyskiwania rzetelnych informacji. Zadanie to powinno być realizowane interdyscyplinarnie, a poszczególne problemy należałoby rozpatrywać na wielu płaszczyznach. Na przykład zagadnienia związane z feudalizmem można analizować pod kątem kultury, historii, gospodarki i ustroju w sposób holistyczny i komplementarny, ukazując ich złożoność, a nawet różne poglądy badaczy odbiegające od podręcznikowych schematów. A takich przypadków można znaleźć zdecydowanie więcej. Podobny model wprowadzono w Finlandii.

Realizacja tego zadania pozwoliłaby także na lepszą identyfikację uczniów szczególnie uzdolnionych. Tutaj przechodzilibyśmy do drugiego zadania, to jest rozwijania pasji i talentów uczniów. Nauczyciele mogliby pracować z nimi indywidualnie lub w grupach, angażować ich w kontakty z uczelniami i innymi instytucjami naukowymi. Wreszcie część zajęć mogłaby być realizowana na poziomie zaawansowanym w ramach opcjonalnych przedmiotów modułowych. Pozwalałoby to stworzyć ścieżkę indywidualnego rozwoju, a uczniowi sprawdzać, który z obszarów jest dla niego najciekawszy, i w którym najlepiej się czuje.

Likwidacja matury spowodowałaby jednak istnienie próżni, którą należałoby czymś wypełnić. Rekrutacja na studia musi odbywać się według wyznaczonych kryteriów. Myślę, że rozwiązania są dwa. Pierwszy to powrót do swobodnego ich określania przez uczelnie. To one powinny samodzielnie decydować, czy chcą przeprowadzać egzaminy pisemne czy rozmowy ustne, oceniać projekty czy stosować metody mieszane. W takim przypadku pojawią się głosy o trudności porównania efektów nauczania poszczególnych szkół oraz braku jednolitych kryteriów. Ciekawym rozwiązaniem byłoby opracowanie przez uczelnie ogólnopolskich kryteriów wstępnych, sprawdzanych egzaminem. Nie byłaby to jednak „matura wyższego rzędu", lecz egzamin obejmujący wiedzę i umiejętności z różnych przedmiotów (np. historia, WOS, język polski w przypadku nauk społecznych i humanistyki). Zakładam, że uwzględniałby obowiązujący konsensus naukowy, co byłoby pewną odpowiedzią na fakt, że wielu nauczycieli zakończyło swoją przygodę z literaturą naukową wraz z ukończeniem studiów.

Egzamin byłby zatem dostosowany do oczekiwań uczelni, dotyczył jedynie osób, które naprawdę chcą iść na studia i był pierwszym etapem rekrutacji. W dalszej kolejności kandydat na studia musiałby spełnić kryteria określone indywidualnie przez poszczególne uczelnie. Dawałoby to uniwersytetom od razu pojęcie o tym, z jaką wiedzą i umiejętnościami przychodzą do nich absolwenci szkół średnich. Obecne procenty maturalne niewiele mówią.

Tego rodzaju podejście stwarza nową rzeczywistość. Przystąpienie do egzaminu wstępnego i spełnienie dodatkowych kryteriów wymagałoby osobnego przygotowania. Dla części osób oznaczałoby to dodatkową naukę w ostatniej klasie szkoły średniej. Inni zdecydowaliby się na popularny w Europie Zachodniej rok przerwy (gap year). Rynek usług maturalnych zastąpiłby rychło rynek usług przygotowujących do egzaminu wstępnego i studiów. Stwarza to problem równości szans. Jednakże w obecnej sytuacji on też istnieje i premiuje osoby, których rodzice mają zasobniejsze portfele (stać ich na opłacenie kosztownych korepetycji). Natomiast w proponowanym przeze mnie rozwiązaniu można się zastanowić nad uruchomieniem funduszy (i ich źródłem) na organizację na samych uczelniach stosownych kursów przygotowawczych, które pozwoliłyby już na tym etapie zwrócić uczniom uwagę, na czym polega studiowanie. Tak, jest to w pewnym sensie powrót do tego, co funkcjonowało przed wprowadzeniem reformy z 2005 r., jednak moim zdaniem zasadne.

Likwidacja matury stwarza też inne wyzwania, jak nakładanie się niżu demograficznego na mniejszą liczbę osób, która po roku przerwy od ukończenia szkoły średniej zechce podjąć studia. Uczelnie na pewno powinny przemyśleć swój pomysł na edukację w nowych realiach. Są to jednak problemy nieco innego rodzaju i nie wiążą się z tym, czy matura jest potrzebna oraz jak poradzić sobie bez niej.

Trudno mi sobie wyobrazić, aby takie zmiany weszły teraz w życie. Nie widzę natomiast przesłanek, które przemawiają za pozostawieniem matury w obecnym kształcie. Być może moje koleżanki i koledzy, w tym nauczyciele szkół średnich, widzą inne rozwiązanie. Chętnie zapoznam się z ich argumentami, co pozwoliłoby mi być może przychylniej spojrzeć na utrzymanie matury, choć na pewno w innej formule.



RZECZPOSPOLITA POLSKA

ŚWIADECTWO DOJRZAŁOŚCI

Tomasz Michał [redacted]

5 czerwca 1989 r. — *data urodzenia*

[redacted] — *miejsce urodzenia*

890605 [redacted] — *numer PESEL*

zdał egzamin maturalny i uzyskał

w części ustnej egzaminu:

język polski ..... - 65% pkt

język angielski ..... - 100% pkt
poziom rozszerzony

w części pisemnej egzaminu:

z przedmiotów obowiązkowych

język polski ..... *poziom podstawowy* - 60% pkt

język angielski ..... *poziom rozszerzony* - 79% pkt

matematyka ..... *poziom rozszerzony* - 80% pkt

Jaworzno, 30 czerwca 2008 r.

Źródło: Wikipedia

Świat tak nie wygląda

W rankingu „Perspektyw" szczególnie interesowało mnie zawsze porównanie publicznych uczelni zawodowych. Znajdowałem bowiem kryteria, według których te szkoły wyższe nie powinny być oceniane, a końcowa ocena dalece odbiegała od mojego oglądu. Chodziło m.in. o kryterium badań naukowych, choć nie tylko. Pisałem o tym kilkakrotnie i zdawało się, że te uwagi zostały zauważone przez twórców rankingu. Jednak sami porównywani przez lata nie byli w stanie pogodzić się ani z metodologią, ani z wynikami zestawienia. W pewnym momencie, w geście protestu, część uczelni nie zgodziła się na udział w rankingu (wtedy tak on działał). Do porównania przystąpiło niewiele ponad połowa istniejących. Z rankingu wyszła karykatura. Twórcy zestawienia mieli kłopot. Poszli jednak po rozum do głowy. Skoro publiczne i niepubliczne uczelnie akademickie mogą być traktowane jednakowo i porównywane wedle takich samych kryteriów, to dlaczego nie można tego zrobić z uczelniami zawodowymi? Na dodatek pojawiły się świetne narzędzia w postaci baz danych RAD-on, POL-on i ELA. I zrobiono to w roku 2025.

Wynik zestawienia był zaskakujący i – tak! – wzbudził protest środowiska zawodowych uczelni publicznych. Jak się okazało, prof. Dariusz Surowik, rektor Akademii Łomżyńskiej, wystosował wtedy list do „Perspektyw", przedstawiając zastrzeżenie co do przyjętej metodologii i kryteriów porównania. Odpowiedzi nie otrzymał. Ostatnio ukazał się kolejny ranking, w którym znów nie wszystko wygląda najlepiej.

D. Surowik odnosi się do poszczególnych kryteriów rankingu uczelni zawodowych 2025. Pierwszym, z wagą 40%, są absolwenci na rynku pracy, a wskaźnikami wysokość wynagrodzeń oraz poziom zatrudnienia. Czy wysokość wynagrodzeń (wg. ELA) świadczy o jakości kształcenia? Zdaniem rektora Surowika – nie. Argumentów jest dużo. Kierunki kształcenia, absolwenci studiów niestacjonarnych, czyli ludzie od wielu lat wypracowujący pozycję zawodową, a tym samym uposażenie, w końcu zaś miejsce kształcenia i późniejszej pracy. Wszystkie publiczne uczelnie zawodowe działają w mniejszych miastach. Jeśli nawet kształcą na kierunkach standaryzowanych, takich jak pielęgniarstwo, to rzetelnie i w liczbach, które gwarantują, że kształcenie jest na odpowiednim poziomie. Kolejnym wskaźnikiem jest poziom zatrudnienia absolwentów. Zdaniem D. Surowika preferuje on uczelnie, w których zdecydowana większość studentów kształci się w trybie niestacjonarnym, czyli już w trakcie studiów jest zatrudniona. „Przy tak ustalonych kryteriach oraz wagach poszczególnych kryteriów nie jest zaskakującym fakt, że zwycięzcą rankingu jest uczelnia, która na około 2000 studentów ma około 1800 studentów pielęgniarstwa studiujących w trybie niestacjonarnym" – napisał w liście do „Perspektyw", który omówił podczas posiedzenia Konferencji Rektorów Publicznych Uczelni Zawodowych w Nowym Targu w maju br.

Drugim kryterium jest jakość dydaktyczna z siłą 30%, na którą składają się: różnorodność oferty dydaktycznej oraz SSR. D. Surowik słusznie zauważa, że „w rankingu nie uwzględniono żadnych bezpośrednich wskaźników jakości nauczania, takich jak wyniki ewaluacji zajęć przez studentów, opinie pracodawców o przygotowaniu absolwentów, jakość praktyk, doświadczenie praktyczne kadry, infrastruktura (…) czy wyniki egzaminów zewnętrznych.(…) ranking uczelni zawodowych nie uwzględnia wyników ocen Polskiej Komisji Akredytacyjnej ani innych miar zgodności kształcenia ze standardami". Podobnie wskaźnik różnorodności kierunków z wagą 15% „może preferować większe uczelnie niepubliczne, które często prowadzą wiele kierunków w różnych dziedzinach". Są to kierunki powoływane ad hoc na jeden czy dwa lata rekrutacji, co nie wymaga tworzenia własnej stabilnej kadry, a kształcenie na takich kierunkach zwykle opiera się na wykładowcach zatrudnianych na zleceniach. I tu znów uczelnie stabilne, rozbudowujące własną infrastrukturę i kadrę, czyli prawdziwe uczelnie, nie mają szans z tymi, które tego nie robią, często nie mają akredytacji PKA, bo ta nie jest w stanie ocenić kierunków, które znikają zanim przyjdzie czas oceny.

Kolejnym kryterium, z wagą 10%, jest kadra dydaktyczna, oceniana poprzez kwalifikacje (odsetek nauczycieli ze stopniem dr. hab. lub tytułem profesora) oraz rozwój (awanse naukowe pracowników: uzyskane doktoraty, habilitacje i tytuły profesora). Teoretycznie wygląda to dobrze. Jednak różnicę robi brak doprecyzowania: czy ci profesorowie i doktorzy habilitowani to nauczyciele akademiccy na pierwszym etacie i rozwijający się w danej uczelni, a nie emeryci z innych ośrodków publicznych; czy awans dotyczy każdego zatrudnionego, czy tylko tego na pierwszym etacie, czyli ścisłej kadry uczelni. Bez tych wymogów kryterium preferuje systemy niestabilne i niepewne, a zatem uczelnie niepubliczne, zatrudniające masowo emerytów.

Czwarte kryterium, z wagą 10%, to umiędzynarodowienie mierzone głównie odsetkiem studentów zagranicznych oraz wielokulturowością środowiska, czyli liczbą krajów, z których pochodzi przynajmniej 5 cudzoziemców. Jak wiemy, w czołówce krajowej pod tym względem są uczelnie niepubliczne, które często żyją wyłącznie dzięki rekrutacji studentów zagranicznych. A przecież nie o to chodzi w umiędzynarodowieniu, co „Perspektywy" wiedzą najlepiej. Rektor Surowik pisze: „W kryterium tym pominięto bardzo ważne aspekty współpracy międzynarodowej". I dalej celnie punktuje, że to „niewłaściwe praktyki w tym zakresie, realizowane przez niektóre uczelnie niepubliczne (…) doprowadziły do zmiany regulacji prawnych" dotyczących uzyskiwania zgody na studiowanie w Polsce. Tymczasem prawdziwe umiędzynarodowienie to także wyjazdy na zagraniczne uczelnie własnych studentów i kadry, w tym w programie Erasmus+, projekty międzynarodowe, relacje z zagranicznymi uczelniami. Gdyby umiędzynarodowienie potraktowane zostało tak, jak robią to same „Perspektywy" w swoich innych projektach, wynik punktacji w tym kryterium byłby zgoła odmienny.

No i wreszcie ostatnie kryterium to obecność w sieci (z wagą 10%), oceniana za pomocą wskaźnika Webometrics, który mierzy widoczność i aktywność uczelni w internecie. Już wspomniałem o miałkości tego kryterium oceny, które nie informuje o jakości instytucji.

W rezultacie tak dobranych kryteriów i wskaźników powstał obraz uczelni zawodowych, który w żadnej mierze nie odpowiada rzeczywistości. Ranking najnowszy powstał na niemal tych samych kryteriach i wskaźnikach – dodano wskaźnik studentów stacjonarnych z wagą 5%, co wzmacnia pozycję uczelni publicznych oraz zmniejszono wagę wskaźnika Webometrics do 5%. Ponieważ nie były to zmiany zasadnicze, to i wyniki rankingu nie są zasadniczo odmienne. Co ciekawe, także wyodrębnione uczelnie publiczne nie są ułożone w kolejności, na jaką wskazywałaby ich wielkość, oferta dydaktyczna, samodzielność kadrowa i zaplecze. Trzeba to w końcu powiedzieć: ranking „Perspektyw" uczelni zawodowych pokazuje świat, który nie istnieje. Na jego podstawie nie uzyskujemy wiedzy o tym, która uczelnia jest lepsza, a która słabsza, która lepiej służy swojemu otoczeniu, a która ma na nie wpływ mniejszy lub nieistotny. Myślę, że gdyby list rektora Surowika dotarł do kapituły rankingu w porę, to tegoroczne zestawienie musiałoby wyglądać inaczej. A może sam system sprawozdawczy naszego szkolnictwa wyższego fałszuje jego obraz?

Piotr Kieraciński

Studenckie sukcesy na światowych arenach

W czerwcu w różnych zakątkach świata rozegrano Akademickie Mistrzostwa Świata w kilku dyscyplinach. W dniach 4-7 czerwca w Szwecji odbyły się zawody w cheerleadingu, w terminie 8-13 czerwca studenci rywalizowali w sportach walki w Brazylii, a w okresie 24-29 czerwca w Chinach ścigali się kolarze. Z tych zawodów Polacy przywieźli 16 medali, w tym 6 złotych, 5 srebrnych i 5 brązowych.

Cheerleading

Cheerleaderki zazwyczaj zagrzewają zawodników do walki i rozpalają kibiców na trybunach. Jednak bywa, że same stają w szranki rywalizacji z innymi zespołami tego rodzaju. Cheerleading to młoda dyscyplina w Akademickich Mistrzostwach Świata. Po raz pierwszy zorganizowano je w 2018 roku w Łodzi. Na rozgrywkach w szwedzkim Göteborgu nasz kraj reprezentowała drużyna złożona ze studentek krakowskich uczelni, które startowały w kategorii pom – widowiskowej dyscyplinie tanecznej, w której zawodniczki i zawodnicy tańczą z użyciem pomponów. Ciekawostką mistrzostw był fakt, że podczas inauguracji mistrzostw oprócz hymnu Szwecji odśpiewano *Gaudeamus igitur*. Polki w ostatnim etapie zawodów zawzięcie rywalizowały z zespołem z Mongolii, który wywalczył złoto z przewagą 0,88 punktu. Nasze zawodniczki zostały akademickimi wicemistrzyniami świata. – To jest bardzo dobry wynik, jeśli wziąć pod uwagę, jak zacięta była walka do samego końca – zaznacza Klaudia Dziadek, trenerka naszego zespołu.

Sporty walki

Z walk rozgrywanych w Brasílii, stolicy Brazylii, polscy zawodnicy przywieźli 9 medali: trzy złote, dwa srebrne i cztery brązowe. Biało-czerwona reprezentacja na Akademickich Mistrzostwach Świata w sportach walki liczyła 21 zawodników, którzy rywalizowali w zapasach, karate i muay thai.

Zdecydowaną faworytką do złota była Martyna Domińczak, studentka Uczelni Biznesu i Nauk Stosowanych „VARSOVIA", która startowała w muay thai do 54 kilogramów. Na co dzień walczy zawodowo i ma na swoim koncie szereg sukcesów nie tylko w boksie tajskim, ale również w K-1 czy kickboxingu. W Brazylii Domińczak potwierdziła swoją klasę. W półfinale pokonała Brazylijkę Andriezę Silvę Santos, a w finale zwyciężyła reprezentantkę Tajlandii Nirawan Tanghio, sięgając po tytuł akademickiej mistrzyni świata. – Zawody w Brazylii jasno pokazały, że obecnie to ja jestem numerem jeden w kategorii do 54 kilogramów – mówi Martyna Domińczak, akademicka mistrzyni świata w muay thai.

Polskie zapaśniczki wywalczyły aż pięć medali i zajęły trzecie miejsce w klasyfikacji drużynowej kobiet. Złoty krążek w kategorii do 72 kg zdobyła Daniela Tkachuk z Państwowej Akademii Nauk Stosowanych w Chełmie. W decydującym pojedynku pokonała Kanadyjkę Cassie Corbett i stanęła na najwyższym stopniu podium. – Zdobycie złotego medalu Akademickich Mistrzostw Świata to dla mnie ogromna radość i bardzo ważne wyróżnienie. Moja droga do tego sukcesu rozpoczęła się od Akademickich Mistrzostw Polski, gdzie również zdobyłam złoty medal – mówi D. Tkachuk.

Po srebro sięgnęła Alicja Wojewódzka z Akademii Wychowania Fizycznego Józefa Piłsudskiego w Warszawie – Filii w Białej Podlaskiej. W półfinale kategorii do 65 kg wygrała z Węgierką Yasmine Soliman, jednak w finale musiała uznać wyższość Mołdawianki Iriny Ringaci. Brązowe medale zdobyły Olga Padoshyk (62 kg), Julia Nowicka (57 kg) oraz Wiktoria Krawczyk (68 kg). Padoshyk po porażce w ćwierćfinale z Kanadyjką Anniką Fines wygrała walkę o trzecie miejsce ze Słowaczką Viktorią Foldesiovą. Nowicka uległa w półfinale Brazylijce Danieli Assírii Mauricio da Silva, a Krawczyk po zaciętych pojedynkach z reprezentantkami Turcji, Brazylii i Kanady również zakończyła zawody na najniższym stopniu podium.

Bardzo dobrze zaprezentowali się reprezentanci Polski w zapasach w stylu klasycznym. Akademickim mistrzem świata w kategorii do 63 kg został Olivier Skrzypczak. Mimo porażki grupowej z Irańczykiem Rezą Bahmanim wygrał cztery kolejne walki i dzięki lepszemu bilansowi punktowemu zdobył złoty medal. Na podium stanął także Grzegorz Kunkel (67 kg), który wywalczył brązowy medal. Polak przegrał z Irańczykiem Mohammadem Kamalim i Turkiem Sergim Arvatem, ale zwycięstwa w dwóch pozostałych pojedynkach zapewniły mu miejsce na podium. – Jestem bardzo szczęśliwy, że mogłem przeżyć te emocje w otoczeniu znajomych, trenerów oraz wszystkich osób, które wspierały mnie na każdym etapie przygotowań. Ten medal jest również ich zasługą, a mnie daje dodatkową motywację do dalszej pracy, bo wiem, że to dopiero początek mojej drogi – mówi Grzegorz Kunkel.

Medalowy dorobek Polski powiększyli również karatecy. Brązowy medal w konkurencji kumite +68 kg wywalczyła Julia Daniszewska z Uniwersytetu Gdańskiego. Po wyjściu z grupy pokonała w ćwierćfinale Hiszpankę Irene Fernández Pérez, a w półfinale uległa Atenie Iri Mahboob Bashari.

Kolarstwo

Z sześcioma medalami wróciła Akademicka Reprezentacja Polski z Akademickich Mistrzostw Świata w kolarstwie, które odbyły się w chińskim Chongli.

Pierwszego dnia rozegrano jazdę indywidualną na czas. Akademicką wicemistrzynią świata została Natalia Krześlak z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, a brązowy medal wywalczyła Antonina Jackowiak. – Trasa była falista, z wiatrem, a wszystko odbywało się na wysokości 1300 metrów. Dało się odczuć trudy tej trasy, a wiatr mocno rzutował na przebieg rywalizacji. Świetnie sobie poradziłyśmy – mówi N. Krześlak.

Drugiego dnia rozegrano kryterium uliczne, które biało-czerwoni zakończyli na pozycjach tuż za podium. Czwarte miejsce zajęli Szymon Pomian (Politechnika Białostocka) i Natalia Krześlak. Największy sukces szosowej części mistrzostw przyniósł wyścig ze startu wspólnego kobiet. Od początku było wiadomo, że liderką Akademickiej Reprezentacji Polski będzie Krześlak, zatem pozostałe zawodniczki wspierały liderkę, kontrolując przebieg wyścigu. Plan został wykonany perfekcyjnie. Natalia zdobyła złoty medal i tytuł akademickiej mistrzyni świata.

Wielkim sukcesem Polaków zakończył się też eliminator MTB. Maciej Jarosławski z Uniwersytetu Łódzkiego został akademickim mistrzem świata. Ostatniego dnia zawodów rozegrano wyścig cross country, który polscy studenci zakończyli z dwoma medalami. Srebro wywalczył Jarosławski, a Joanna Głowacka z Akademii Górniczo-Hutniczej została nową akademicką mistrzynią świata!

Łącznie biało-czerwoni wywalczyli w Chinach aż sześć medali – 3 złote, 2 srebrne i 1 brązowy – i zajęli drugie miejsce w klasyfikacji medalowej tuż za Niemcami.

(oprac. PK, źródło pasja.azs.pl)

Fotoreportaż na IV stronie okładki

Rozmowa z dr. Wojciechem Karczewskim, dyrektorem Narodowej Agencji Wymiany Akademickiej

Kapitał intelektualny jest podstawą rozwoju państwa

Warto poważnie rozważyć skoncentrowanie w jednej agencji wszystkich funduszy przeznaczonych na współpracę międzynarodową, w tym programu Erasmus, dotyczących szkolnictwa wyższego. Pozwoliłoby to znacząco zwiększyć efektywność wspierania współpracy międzynarodowej w szkolnictwie wyższym i nauce oraz zapewnić spójną koordynację działań w tym obszarze.

Co należy rozumieć pod pojęciem umiędzynarodowienia?

Przede wszystkim rozwój współpracy międzynarodowej, która powinna odpowiadać na potrzeby gospodarki i rynku pracy. Po pierwsze, przyciąganie talentów z całego świata, co pozwoli na wykorzystanie ich potencjału w polskiej gospodarce. Po drugie, stwarzanie warunków, by najlepsi absolwenci szkół średnich zostawali w Polsce, a krajowe uczelnie dawały im dokładnie takie same możliwości rozwoju, które dostaliby, gdyby wyjechali poza granicę kraju. I po trzecie, zwiększanie wykorzystywania globalnych możliwości i komercjalizacji wyników badań przez polskich badaczy. Współpraca międzynarodowa skutkuje też podnoszeniem jakości instytucji nauki i szkolnictwa wyższego poprzez takie działania jak wspieranie rozwoju i profesjonalizacja kadr akademickich: zarządczych, badawczych, dydaktycznych, administracyjnych czy technicznych. Budując i wzmacniając sieci współpracy międzynarodowej, przygotowujemy polskie instytucje do pełnienia roli liderów w nauce, edukacji i oddziaływaniu społecznym. Cel ten realizujemy dzięki zwiększaniu rozpoznawalności polskich instytucji nauki i szkolnictwa wyższego za granicą, wprowadzaniu dwujęzyczności w tych instytucjach oraz wzmacnianiu ich potencjału w pozyskiwaniu europejskich środków na finansowanie badań i rozwoju. A w końcu, ta współpraca międzynarodowa ma wzmacniać postawy obywatelskie i odporność społeczeństwa na globalny kryzys. To jest dobrze rozumiane umiędzynarodowienie i współpraca międzynarodowa.

Nawet nie wspomniał pan o pozyskiwaniu studentów zagranicznych, co dotychczas było uważane za podstawowy wymiar umiędzynarodowienia.

Dokładnie. Do tej pory umiędzynarodowienie kojarzyło się ze studentami zagranicznymi w Polsce. Ich napływ do Polski powinien być jednak rezultatem umiędzynarodowienia instytucji nauki, a nie celem samym w sobie. Studenci oczywiście są ważni, bo ich obecność wpływa na nasze instytucje, na polskich studentów. Ważny jest też udział polskich instytucji szkolnictwa wyższego i nauki w grantach europejskich, w programach badawczych Unii Europejskiej, co na razie nie wychodzi nam najlepiej. Powinniśmy patrzeć na takie kwestie jak procent publikacji, które są w pierwszym decylu najczęściej publikowanych prac, choćby według bazy Scopus. Powinniśmy patrzeć na procent absolwentów z doświadczeniem mobilności zagranicznej, również na procent kadry akademickiej czy administracyjnej uczestniczącej w mobilności międzynarodowej. Jeżeli spojrzymy na mobilność studentów, należy przede wszystkim brać pod uwagę Erasmusa czy CEEPUS, które powodują, że te mobilności są bardzo liczne, choć to zwykle krótkoterminowe wyjazdy. Kolejna sprawa to anglojęzyczne programy kształcenia zarówno dla zagranicznych, jak i polskich studentów. Dochodzimy wreszcie do wskaźników, które wzbudzają największe emocje, a mianowicie: odsetek studentów zagranicznych na polskich uczelniach, odsetek nauczycieli akademickich z zagranicy oraz udział cudzoziemców wśród pracowników wszystkich instytucji naukowych. Jednak nie powinniśmy patrzeć jedynie na odsetki i liczby, a przede wszystkim brać pod uwagę jakość tych studentów i jakość nauczycieli akademickich z zagranicy. Powinni oni reprezentować dziedziny nauki, na których nam zależy, branże, które chcemy rozwijać. Na tym należy się skupiać, mówiąc o umiędzynarodowianiu. Póki co niestety skupiamy się głównie na ilości.

Powinniśmy się przygotowywać do roli przynajmniej regionalnego lidera, bo jesteśmy największą gospodarką w regionie. Ale żeby być faktycznym liderem, potrzebne są wyspecjalizowane kadry: zarządcze, badawcze, dydaktyczne,

administracyjne, techniczne. Trzeba przygotowywać polskie instytucje do tej roli w nauce, edukacji, działaniu społecznym. Żeby to się udało, musimy wzmacniać sieci współpracy międzynarodowej.

Mamy najwięcej studentów z Ukrainy i Białorusi, co jest naturalne, zapewne też potrzebne z powodów politycznych i społecznych. Czy to jest jednak dla nas najlepsze, czy nie staracie się wpływać na to, skąd do nas trafią studenci?

Zaletą tej sytuacji jest to, że studenci z Ukrainy i Białorusi rozumieją lepiej naszą kulturę niż studenci np. z Ameryki Południowej czy Afryki. Szybciej się integrują i zdecydowanie szybciej uczą się języka polskiego.

Odnośnie do drugiej części pytania, kreując politykę umiędzynarodawiania studiów, musimy brać pod uwagę np. kwestie bezpieczeństwa. To się odbywa we współpracy m.in. z Ministerstwem Spraw Zagranicznych, które określa, jakie kraje i kierunki są bezpieczne i pożądane, tak aby zapraszanie studentów z konkretnych regionów nie budziło wątpliwości z tego punktu widzenia. Jest też kwestia wyznaczania kierunków priorytetowych, czyli państw i regionów świata, z którymi chcemy współpracować z racji na nasze interesy. Ostatnio została ogłoszona przez ministra nauki i szkolnictwa wyższego lista państw priorytetowych, na których będziemy się skupiać. To przede wszystkim Wietnam, Uzbekistan, Turcja i Korea Południowa. W Korei Południowej nakłady na szkolnictwo wyższe są pięciokrotnie wyższe w relacji do PKB niż w Polsce. Szkolnictwo wyższe i nauka są bardzo mocno połączone z armią; duża część środków na naukę idzie na badania związane z obronnością. Obecnie również Polska jest krajem przyfrontowym. I podobnie jak inne państwa o wysokich nakładach na naukę i szkolnictwo wyższe musi kłaść silny nacisk na rozwój własnych rozwiązań technologicznych i badawczych. Co stoi na przeszkodzie, aby działać w tej kwestii w podobny sposób? Ostatnio byłem na forum polsko-tureckim, gdzie rektorzy kilku uczelni technicznych z Turcji i Polski zawarli porozumienie i już planują współpracę w badaniach nad dronami. Turcy są dosyć zaawansowani w tym zakresie.

W ubiegłym roku uruchomiliśmy pilotaż programu Top 200 im. Weigla, który polegał na tym, żeby naukowcy z 200 najlepszych światowych uczelni wg trzech kluczowych rankingów mogli przyjechać na polskie uczelnie. Oferujemy im bardzo dobre warunki, trochę na wzór innego programu NAWA, Polskie Powroty, gdzie do kraju sprowadziliśmy ponad setkę znakomitych badaczy, Polaków pracujących w najlepszych ośrodkach zagranicznych. Wracając do Weigla: mamy ponad trzy osoby na jedno miejsce. Pilotaż programu cieszy się więc dużym powodzeniem, co już traktujemy jako sukces, bo to znaczy, że zagraniczni dobrzy badacze chcą przyjeżdżać do Polski, na nasze uczelnie. Za kilka lat będziemy mogli ocenić ten program, zobaczyć, jaką wartość dodaną ci naukowcy stanowią dla polskiej nauki.

Po co tworzyć strategię umiędzynarodowienia odrębną od strategii rozwoju szkolnictwa wyższego?

Współpraca międzynarodowa w nauce i szkolnictwie wyższym jest specyficznym obszarem, który wymaga oddzielnej strategii. Ona wychodzi daleko poza kompetencje Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego, na przykład w kwestii wiz dla studentów zagranicznych i naukowców, a dla tych drugich także pozwoleń na pracę. Chodzi o specjalne, szybkie ścieżki dla tych osób, zwłaszcza dla stypendystów czy to rządowych, czy choćby naszych. Na współpracę międzynarodową mają duży wpływ ministerstwa zajmujące się sprawami zagranicznymi, sprawami wewnętrznymi, cyfryzacją, zdrowiem, pracą czy obronnością.



Dr **Wojciech Karczewski** (ur. w 1984 r.) jest absolwentem Wydziału Zarządzania Uniwersytetu Warszawskiego. Na Uniwersytecie SWPS wykłada zarządzanie organizacją, zarządzanie projektami, zachowania organizacyjne, kompetencje przywódcze. Jest autorem książki *Predyspozycje do wykonywania pracy wysoko zrutynizowanej w organizacji* oraz współautorem pracy *International Leadership and Management: Emerging, Contemporary, and Unorthodox Perspectives*. Od dwudziestu lat zajmuje się zarządzaniem projektami międzynarodowymi, realizując inicjatywy na styku nauki i biznesu. W latach 2014–2020 realizował kluczowe projekty międzynarodowe dla Ernst & Young. W latach 2020–2023 pełnił funkcję dyrektora Biura Współpracy Międzynarodowej i pełnomocnika rektora ds. współpracy międzynarodowej na Uniwersytecie SWPS. W latach 2022–2024 był członkiem zarządu European Union of Private Higher Education. W latach 2023–2024 realizował strategiczne projekty dla PricewaterhouseCoopers na rynku Wielkiej Brytanii oraz na Bliskim Wschodzie.
Od 1 października 2024 roku jest dyrektorem Narodowej Agencji Wymiany Akademickiej. W 2025 roku minister nauki i szkolnictwa wyższego powierzył mu funkcję przewodniczącego krajowego zespołu ds. strategii umiędzynarodowienia polskiego szkolnictwa wyższego i nauki.

Strategie umiędzynarodowienia, patrząc na kraje rozwinięte w Europie, stanowią integralną część polityki państwa i konkurencyjności gospodarki. Mają je choćby Francja, Wielka Brytania, Finlandia, ale także Czechy czy Estonia. Doświadczenia tych krajów wyraźnie pokazują, że kwestie współpracy międzynarodowej i umiędzynarodowienia potrzebują długofalowego podejścia na poziomie państwa i ścisłej współpracy pomiędzy uczelniami, instytucjami, gospodarką i administracją.

Co dzięki tej strategii mamy zyskać w Polsce?

Kapitał intelektualny jest podstawą rozwoju państwa, konkurencyjności gospodarki, a współpraca międzynarodowa, jakby nie patrzeć, jest jednym z kluczowych elementów jego budowania i wzmacniania. Strategia to praktyczne narzędzie wspierające rozwój polskich instytucji nauki i szkolnictwa wyższego. Nie tyle chodzi o samych studentów zagranicznych czy o więcej projektów badawczych, ale o miejsce Polski w globalnym systemie nauki i gospodarki opartej na wiedzy. Strate-

gia została stworzona właśnie po to, żeby uporządkować kwestie związane z tym obszarem. Umiędzynarodowienie rozwijało się dotychczas z różną dynamiką. Jednak każdy robił je po swojemu. Różne instytucje czy nawet ministerstwa prowadziły działania w tym zakresie, ale czasami nie były one powiązane ze sobą. Ta strategia będzie obowiązywała wszystkie instytucje szkolnictwa wyższego. Ma ona być taką mapą drogową i drogowskazem dla wszystkich. Nie będzie obowiązującym przepisem, ale raczej pokazaniem celów państwa, czego my dokładnie chcemy, w którym kierunku chcemy iść i co będzie wspierane przez państwo.

Po pierwsze, mimo że strategia obejmuje obszary pozostające w kompetencjach bardzo wielu ministerstw, w pierwszej kolejności powinna zostać zaakceptowana przez Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego. Aby jednak mogła realnie przynieść korzyści państwu i gospodarce, powinna zostać przyjęta jako dokument rządowy. I będziemy do tego dążyć. Tylko wówczas będzie mogła ona stać się skutecznym narzędziem wzmacniania konkurencyjności polskiego szkolnictwa wyższego i nauki oraz zwiększania ich wpływu na rozwój gospodarczy kraju. Dlatego tak istotne jest, aby nie pozostała wyłącznie dokumentem jednego ministerstwa, lecz została przyjęta przez cały rząd.

Co proponuje sama strategia?

Prace nad strategią zainicjowano praktycznie rok temu, kiedy minister nauki Marcin Kulasek powołał zespół, który koordynował tworzenie tego dokumentu. Przewodnictwo objęła NAWA, a w jego skład weszli reprezentanci Konferencji Rektorów Akademickich Szkół Polskich, Rady Głównej Nauki i Szkolnictwa Wyższego, Konferencji Rektorów Akademickich Uczelni Niepublicznych, Konferencji Rektorów Publicznych Uczelni Zawodowych oraz Polskiej Akademii Nauk. W NAWA przeprowadziliśmy dogłębne analizy problematyki umiędzynarodowienia szkolnictwa wyższego i nauki na świecie, by następnie wykorzystać wyniki tych analiz w pracy zespołu. Strategia uwzględnia wyniki przeglądu najlepszych praktyk zarówno w kraju, jak i za granicą. W pewnym etapie do prac nad strategią aktywnie włączyło się Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego, aby wspólnie z powołanym zespołem doprecyzować jej założenia, opracować realny harmonogram wdrażania i wskazać instytucje odpowiedzialne za realizację poszczególnych działań. Efektem tych prac jest gotowy dokument, który wyznacza cztery podstawowe cele strategiczne, obejmuje 32 działania strategiczne oraz 128 rekomendowanych działań. Zawiera również 10 wskaźników, które mierzą postęp realizacji strategii.

Cele to, po pierwsze, umiędzynarodowienie badań naukowych i przestrzeni badawczej. Po drugie, upowszechnienie doświadczenia międzynarodowego wśród wszystkich członków społeczności akademickiej. Po trzecie, umiędzynarodowienie procesu i treści kształcenia oraz rozwój innowacyjnych cyfrowych form edukacji i mobilności. I po czwarte, wzmacnianie potencjału widzialności oraz atrakcyjności polskich instytucji nauki i szkolnictwa wyższego w świecie i umiędzynarodowienie społeczności akademickiej, czyli uczących się i kadry. Wymienię tylko przykładowe działania, chociażby: uruchomienie programów grantowych na tworzenie sieci współpracy naukowej z udziałem Polaków czy opracowanie jednolitej identyfikacji wizualnej i strategii komunikacyjnej dla polskiej nauki i szkolnictwa wyższego pod hasłem Study & Research in Poland.

Mamy obecnie program Study in Poland. Co z nim będzie w kontekście strategii umiędzynarodowienia?

Trwają rozmowy i działania, aby hasła zostały ujednolicone i nie dublowały się. Wszystko jest na dobrej drodze.

Kolejne działanie, do którego wrócę w odniesieniu do naszego dokumentu, to jest budowanie marki języka polskiego. Chodzi o promocję języka polskiego i kultury polskiej za granicą jako elementu miękkiej siły. Obserwujemy wzrost zainteresowania językiem polskim. To jest ogromny skok. Kilka razy do roku organizujemy egzamin z języka polskiego jako obcego. Za każdym razem przystępuje do niego średnio 9 tysięcy osób. Rocznie jest to około 40 tysięcy osób, a szacujemy, że w najbliższych latach zwiększy się do 80 tysięcy. To ogromna liczba. Wcześniej nie mieliśmy do czynienia z takim zainteresowaniem. To jest między innymi efekt programu Lektorzy NAWA, w ramach którego w blisko 50 krajach na wszystkich kontynentach nasi lektorzy corocznie uczą języka polskiego jako obcego około 3-4 tysiące osób. Jednym z istotnych działań jest zapewnienie, żeby w ambasadach RP, w krajach o priorytetowym znaczeniu dla Polski i polskiej nauki, byli attaché do spraw nauki i technologii. No i oczywiście prowadzenie spójnej polityki podtrzymywania i wzmacniania relacji z zagranicznymi absolwentami polskich uczelni. Uruchomienie inicjatywy „Polskie partnerstwa dla wielkich wyzwań", żeby tworzyć oraz rozwijać sieci i projekty badawcze w obecnie najważniejszych obszarach i wyzwaniach w świecie nauki. W mojej opinii, priorytety w zakresie umiędzynarodowienia powinny zostać zapisane w „Polityce naukowej państwa".

Strategia przewiduje, że zostanie powołany międzyresortowy zespół do spraw jej realizacji i działań na rzecz umiędzynarodowienia nauki i szkolnictwa wyższego. Tworzyliby go przedstawiciele wszystkich resortów, które mają wpływ na współpracę międzynarodową oraz agencji grantodawczych. NAWA będzie koordynować działalność tego zespołu. Miałby on na bieżąco lub cyklicznie określać kierunki współpracy oraz obszary i branże, w których współpraca międzynarodowa powinna zostać zintensyfikowana, w tym te, w których potrzebujemy studentów i naukowców spoza kraju. Sytuacja międzynarodowa jest dosyć dynamiczna. Dlatego ten zespół będzie na bieżąco oceniać, czy kierunki, które wskazano wśród priorytetów rzeczywiście nadal są najważniejsze.

W strategii określono odpowiedzialność za poszczególne działania?

Za każde działanie odpowiadają określone, wpisane do dokumentu instytucje. Jest też określony termin realizacji każdego działania. W oddzielnym dokumencie określone są też niezbędne zmiany ustawowe i skutki finansowe. W kontekście planowanego regularnego wzrostu nakładów na polską naukę i szkolnictwo wyższe możliwe jest wyodrębnienie dodatkowej kwoty na współpracę międzynarodową. Warto wspomnieć, że obecnie środki z budżetu państwa na współpracę międzynarodową w obszarze nauki i szkolnictwa wyższego znajdują się w kilku miejscach, głównie w subwencjach dla uczelni, ale również w NAWA, w NCBR i w NCN.

Mówimy o wzroście środków w przyszłości, jednak już teraz skupiłbym się przede wszystkim na efektywnym wydawaniu pieniędzy, którymi już dysponujemy oraz na wspieraniu tych obszarów nauki, gdzie rzeczywiście możemy stać się najlepsi. Priorytetyzacja jest ważna, bo dofinansowując wszystko po trochu nigdy nie staniemy się w niczym naprawdę dobrzy. Równie istotne jest skuteczniejsze pozyskiwanie środków unijnych. Mamy tu sporo do nadrobienia nie tylko w stosunku do krajów zachodniej Europy, ale także naszych sąsiadów, Czechów czy Węgrów. Gdyby tylko te dwie rzeczy udało się zrealizować, to sytuacja byłaby zdecydowanie lepsza.

NAWA była koordynatorem tworzenia tej strategii umiędzynarodowienia, a jaka jest jej rola w realizacji strategii?

NAWA została powołana jako główna instytucja odpowiedzialna za umiędzynarodowienie polskiego szkolnictwa wyż-

szego i nauki, współpracę międzynarodową, promocję polskiej nauki i polskiej kultury, a nawet działania w obszarze dyplomacji naukowej. Na początku jej budżet wynosił kilkadziesiąt milionów złotych, a ponieważ sprawdziliśmy się w działaniu, to i sama agencja i jej budżet rosną. Na nasz budżet składają się różne ministerstwa, gdyż wykonujemy zadania dla różnych resortów. Intensywnie działamy też na rzecz zwiększenia finansowania naszych programów ze środków unijnych. W 2025 roku nasz budżet wyniósł już 325 milionów złotych. Dostajemy też coraz to nowe zadania. Przykładowo, w ubiegłym roku, zgodnie z nową tzw. ustawą wizową, rozpoczęliśmy weryfikowanie dokumentacji uprawniającej do studiowania w Polsce. Dotyczy to osób, które ukończyły szkoły średnie poza UE, OECD i EFTA. Warto wspomnieć, że ten obowiązek nie dotyczy Ukrainy, z którą podpisana jest specjalna międzyrządowa umowa bilateralna. Na tej podstawie wystawiane są zaświadczenia, dzięki którym kandydat może ubiegać się o wizę i możliwość studiowania na polskich uczelniach.

Docelowo chcemy, aby w pełni cyfrowy proces weryfikacji dokumentacji został skrócony do 30 dni. Zdarza się jednak, że niektóre wnioski są rozpatrywane dłużej. Wynika to z konieczności przeprowadzenia szczegółowej i bardziej czasochłonnej weryfikacji dokumentów, co do których są wątpliwości. Tylko w ostatnim czasie zostało wykrytych prawie tysiąc wniosków, do których dołączono fałszywe dokumenty. Wszystkie te przypadki są zgłaszane do odpowiednich służb. Pokazuje to, że ustawa działa i system jest szczelny. Dzięki temu do Polski nie dostają się osoby, które na podstawie sfałszowanych dyplomów chciały uzyskać możliwość studiowania i pobytu w naszym kraju. Wraz z nowymi obowiązkami przybywa nowych etatów i nowych środków.

To ile macie łącznie programów i zadań?

W NAWA mamy już 30 własnych programów. Wraz z zadaniami zleconymi jest to 61 działań, którymi zajmuje się agencja. Jeżeli chodzi o programy dla naukowców, z jednej strony mamy właśnie możliwość wyjazdów na długoterminowe pobyty, a z drugiej sprowadzenia do nas wyróżniających się naukowców z zagranicy. Przykładowo, program Bekker NAWA polega na umożliwieniu badaczom polskim pracy przez dwa lata w najlepszych ośrodkach naukowych świata, by po powrocie do Polski mogli wykorzystać zdobyte doświadczenia i przenieść najlepsze praktyki do krajowych instytucji. W każdym konkursie przyznajemy około stu takich stypendiów. Oferta agencji obejmuje również różnorodne formy krótkoterminowej mobilności, intensywne programy nauczania, możliwość dofinansowania podwójnych dyplomów czy wspólnych dyplomów we współpracy z uczelniami z całego świata. Istotnym elementem naszej działalności są także programy dla studentów, w tym dla studentów z Polonii, na co kładziemy bardzo duży nacisk. Ponadto realizujemy programy związane z promocją języka polskiego. Regularnie zwiększamy ich finansowanie, ponieważ przynoszą one bardzo dobre rezultaty. Obecnie w NAWA mamy blisko 160 pełnych etatów. Jestem zadowolony z tempa rozwoju agencji.

A przyszłość agencji?

Będziemy kontynuować nasze programy dla naukowców, studentów, instytucji naukowych. W najbliższym czasie planujemy otworzyć biuro NAWA w Brukseli. Obecność w bliskim sąsiedztwie europejskich instytucji, gdzie zapadają ważne decyzje, może przełożyć się na lepsze reprezentowanie polskich interesów. Równocześnie zostanie uruchomiony polski hub na Uniwersytecie Oxfordzkim. To jest inicjatywa, która ma łączyć polskie środowisko akademickie ze środowiskiem Oxfordu, czyli czołowego uniwersytetu europejskiego. Warto może dodać, że z inicjatywą wyszli sami naukowcy z Oxfordu. Jesteśmy już na końcowym etapie jej uruchomienia. Jednocześnie NAWA stoi przed koniecznością dalszego rozwoju. Jest to związane z nowymi zadaniami dotyczącymi certyfikacji znajomości języka polskiego dla obcokrajowców. Właśnie została przyjęta ustawa o języku polskim, którą podpisał prezydent. Dzięki temu będzie możliwość zwiększenia liczby przeprowadzanych egzaminów certyfikatowych, na które obserwujemy bardzo duże zapotrzebowanie Będziemy wzmacniać współpracę z Polonią, co wynika z założeń samej strategii. Będziemy uruchamiać w najbliższym czasie dedykowany program współpracy ze strategicznymi kierunkami dla polskiej nauki. To będzie narzędzie współpracy, o której mówiliśmy wcześniej. Ponadto w planach jest przekształcenie pilotażowego programu Weigla, służącego pozyskiwaniu wybitnych naukowców z zagranicy, w stały program NAWA.

Czy na swoje 10-lecie agencja osiągnie pół miliarda budżetu?

Trudno to przewidzieć. NAWA odpowiada za umiędzynarodowienie i współpracę międzynarodową w obszarze nauki i szkolnictwa wyższego, za dyplomację naukową, ale obok nas funkcjonuje kilka innych organizacji, które realizują zadania związane ze współpracą międzynarodową. Ściśle współpracujemy z NCBR i NCN. Przykładowo, w programie Polskie Powroty czy w programie Weigla finansujemy wynagrodzenia naukowców i ich zespołów badawczych oraz wszelkie koszty związane z mobilnością, natomiast pieniądze na badania zapewniają NCN i NCBR. Istotnym partnerem jest Fundacja Rozwoju Systemu Edukacji, która pełni funkcję agencji krajowej programu Erasmus, w tym zajmuje się mobilnościami w szkolnictwie wyższym. Choć FRSE pozostaje pod nadzorem ministra edukacji, jej działalność ma bezpośredni wpływ na funkcjonowanie szkolnictwa wyższego i nauki, a w Radzie FRSE zasiada przedstawiciel ministra nauki. Tymczasem np. niemieckie DAAD czy odpowiednia agencja czeska odpowiadają za realizację całego umiędzynarodowienia w szkolnictwie wyższym i nauce w swoich państwach. Instytucje te są operatorami środków pochodzących zarówno z budżetu krajowego, jak i unijnego, w tym z programu Erasmus w części dotyczącej szkolnictwa wyższego. Budżet agencji czeskiej jest większy niż nasz, mimo wyraźnych różnic w wielkości krajów. Uważam, że docelowo, w bliskiej perspektywie warto poważnie rozważyć skoncentrowanie wszystkich funduszy przeznaczonych na współpracę międzynarodową dotyczących szkolnictwa wyższego, w tym programu Erasmus, w jednej agencji. Pozwoliłoby to znacząco zwiększyć efektywność wspierania współpracy międzynarodowej w szkolnictwie wyższym i nauce oraz zapewnić spójną koordynację działań w tym obszarze. Na zakończenie warto zwrócić uwagę na punkt odniesienia: DAAD funkcjonuje od ponad 100 lat. NAWA będzie obchodzić swoje dziesięciolecie dopiero w przyszłym roku.

Rozmawiał Piotr Kieraciński

NAWA NARODOWA AGENCJA WYMIANY AKADEMICKIEJ

Jacek Moroz

Dlaczego nauka „potrzebuje” prawdy

Czy prawdę powinniśmy traktować jako podstawową wartość epistemiczną?

Jeśli słabnie zaufanie do prawdy jako wartości poznawczej, słabnie także autorytet nauki, zwłaszcza wtedy, gdy zaciera się różnica między wiedzą, opinią, narracją i społeczną użytecznością. Taka sytuacja tworzy „szczelinę”, w której zakorzenia się zjawisko tzw. postprawdy (post-truth).

O prawdzie napisano już niezwykle dużo, być może nawet zbyt wiele, jeśli mierzyć rzecz liczbą sporów, definicji, rozróżnień i subtelności, które potrafią skutecznie zniechęcić czytelnika oczekującego prostych odpowiedzi. Z pojęciem „prawdy” stykamy się właściwie na co dzień, mówiąc o prawdziwych wydarzeniach, prawdach absolutnych czy prawdzie naukowej. Ma owo pojęcie w sobie jakąś mistyczną moc bycia zarazem czymś oczywistym i realnym a jednocześnie metafizycznym i nieuchwytnym. Ta ostatnia cecha prawdy ucieleśnia się zazwyczaj w momentach prób jej precyzyjnego uchwycenia, albowiem doskonale wiemy, czym prawda jest dopóty, dopóki nie spocznie na nas obowiązek jej zdefiniowania (podobnie jak z pojęciem „czasu” u św. Augustyna, por. *Wyznania*). W takich właśnie momentach pozorna jej oczywistość zaczyna się kruszyć, problemy się piętrzą, zaś świadomość staje w obliczu potencjalnej niepoznawalności. Co zatem uczynić, by stroniąc od zdroworozsądkowego, naiwnego w swej podstawie realizmu, nie popaść jednocześnie w paraliżującą niemoc skrajnego myślenia sceptycznego?

Z pomocą przychodzi filozofia, pozostająca przestrzenią szczególnego namysłu nad skomplikowanym zagadnieniem prawdy. Trudno bowiem wskazać inny obszar refleksji, który – z choćby porównywalną uporczywością, precyzją i skłonnością do komplikowania rzeczy pozornie oczywistych – pytałby o to, czym jest prawda (definicja prawdziwości), komu lub czemu ją przypisujemy (nośnik prawdziwości), w jaki sposób ją rozpoznajemy (kryterium prawdziwości) i dlaczego w ogóle miałaby nas zobowiązywać (normatywny aspekt prawdy/prawdziwości). Chociaż miejsce prawdy jest specjalne w hierarchii rozważań filozoficznych, to jednak zasadnie wciąż pytać można, czy tylko filozof na temat prawdy może się wypowiadać i, co ważniejsze, czy dysponuje on jakimiś szczególnymi narzędziami, z użyciem których ów „trudny problem” prawdy rozwiązać może? Jeśli istnieje obszar refleksji, na którym pytanie o prawdę może zostać postawione z należytą powagą, ale też z konieczną podejrzliwością wobec zbyt łatwych odpowiedzi, to jest nim właśnie filozofia. Co zaś do samego filozofa, to odpowiedź musi być ostrożna. Filozof niestety nie posiada specjalnego „organu poznawczego” do wykrywania prawdy i dobrze, bo lista ludzkich złudzeń jest już wystarczająco długa, niemniej filozof przypomina odrobinę niewygodnego rozmówcę – nie pozwala zbyt łatwo przejść od „potocznej oczywistości” do naukowej deklaracji, lecz pyta o założenia, konsekwencje i granice naszych pojęć. Dzięki temu problem prawdy przestaje być jedynie ozdobnym tematem akademickich sporów, a staje się pytaniem o warunki odpowiedzialnego myślenia „na co dzień”, ale co ważniejsze przede wszystkim w nauce. W niniejszym artykule będę bronił tezy, że prawda (rozumiana epistemologicznie) stanowi fundament naszego myślenia i nauki.

O rozumieniu prawdy i jej roli w nauce

Ignorowanie złożoności epistemologicznej pojęcia prawdy, jej zdroworozsądkowe (filozoficznie naiwne), intuicyjne rozumienie, głównie na polu nauki, prowadzi do spłycania własnej perspektywy teoretycznej, skutkując niebezpieczną, radykalną i bezrefleksyjną chęcią narzucania jej innym. Problemem jest brak rozumienia podstawowych kategorii epistemologicznych, z jednej strony nieumiejętność rozumienia kluczowych pojęć epistemologicznych, z drugiej brak świadomości, że te pojęcia są ściśle powiązane z teorią i praktyką naukową. To prowadzi do uproszczeń i błędnych założeń w działalności naukowej. Ponadto pojęcie „prawdy”, często silnie skorelowane z kategorią „rzeczywistości”, jest przypadkiem szczególnym, ponieważ jako niedowodliwe w sensie fundamentalnym stanowi jedno

z pryncypiów naszego myślenia. Zatem nawet z pozoru niewinne posługiwanie się przez naukowca kategorią „prawdy" (a nawet jej świadome unikanie) jest swego rodzaju deklaracją przynależności do filozoficznie zorientowanego obozu.

Jak zatem rozumieć prawdę? „Prawda" stanowi szczególną postać wartości epistemicznej, ponieważ określa relację między naszymi sądami a tym, do czego sądy te się odnoszą. Ową relację Arystoteles ujął następująco: „twierdzić o bycie, że nie istnieje, albo o nie-bycie, że istnieje, jest fałszem; natomiast twierdzić, że byt istnieje, a nie-byt nie istnieje, jest prawdą", inaczej „prawdą jest powiedzieć, że jest to, co jest, a że nie ma tego, czego nie ma" (*Metafizyka*, 1011b, 1983). Wersję tę spopularyzował (nieco „upraszczając") św. Tomasza z Akwinu, nadając jej następującą formułę: „Veritas est adaequatio rei et intellectus" („prawda to zgodność rzeczy i intelektu"; *Dysputy problemowe o prawdzie*, 1999). To klasyczne ujęcie prawdziwości zawiera szereg milczących założeń, które stawiają wysokie wymagania w zakresie kompetencji analitycznych tym wszystkim, którzy chcą skutecznie bronić jej słuszności. Z uwagi na objętość i popularnonaukowy charakter niniejszego tekstu nie będę przytaczał rozmaitych definicji prawdy, poddawał ich analizie czy ocenie (można je bowiem znaleźć w literaturze filozoficznej). Chodzi mi raczej o zrozumienie epistemologicznej natury – obecnego i niezwykle istotnego zarówno w „codziennej komunikacji", jak i w nauce – tego pojęcia. Świadomie bądź nie, w nauce nadajemy prawdzie przede wszystkim sens epistemologiczny. Można go wyrazić za pomocą prostej formuły: „x jest prawdziwe", gdzie za x podstawiamy określone twierdzenie, na przykład: „Warszawa jest stolicą Polski". Prawda oznacza tu więc pewną własność – prawdziwość – przypisywaną zdaniom, sądom, myślom, a niekiedy także teoriom. Na tym właśnie tle będę rozważał prawdę jako wartość nauki. Przyjmuję przy tym, że prawda może stanowić istotną wartość dla naukowców wtedy, gdy jest rozumiana jako wartość poznawcza oraz gdy jej pojęcie wpisuje się w klasyczną, korespondencyjną intuicję prawdy.

Prawda jako wartość poznawcza wyznacza standardy odpowiedzialnego postępowania badawczego, pozwalając odróżniać twierdzenia lepiej uzasadnione od słabiej uzasadnionych, „rzeczywistą" korektę błędu od arbitralnej zmiany stanowiska, a poznanie od skutecznej perswazji. Można jednak pytać o to, dlaczego klasyczna (oparta na relacji korespondencji) koncepcja prawdy miałaby właśnie stanowić istotną wartość dla naukowców. W dosyć lakonicznej formie odpowiem, iż prawda może być celem nauki tylko wtedy, gdy nauka zachowuje ambicję poznawczego odnoszenia się do rzeczywistości. Nie musi to oznaczać naiwnego przekonania, że świat po prostu „odbija się" w języku teorii. Oznacza jednak, że rzeczywistość nie jest wyłącznie konstruktem językowym ani też efektem społecznej umowy. Jeśli nauka ma mieć sens poznawczy, musi zakładać, że jej modele, teorie, twierdzenia odnoszą się do czegoś, co jest niezależne od naszych aktów poznawczych – do rzeczywistości, która w pewien sposób „stawia opór" naszym opisom, koryguje je i pozwala odróżniać ujęcia trafniejsze od mniej trafnych. Nie oznacza to jednak powrotu do naiwnego przekonania, że poznanie polega na prostym odbijaniu rzeczywistości przez umysł lub język. Jeżeli przyjmujemy, że narzędzia językowe organizują i strukturalizują nasze doświadczenie, to tym bardziej musimy uznać, że poznanie dokonuje się zawsze w ramach pewnych konwencji, modeli i założeń pojęciowych. W obu przypadkach – zarówno w naukach przyrodniczych, jak i humanistycznych – nie istnieje „nagie poznanie", wolne od kontekstu i pojęciowych uwarunkowań. Nie wynika z tego jednak, że poznanie jest dowolne, lecz raczej, że prawda naukowa wymaga pojęciowej dyscypliny, jawności założeń oraz gotowości do krytycznej korekty przyjmowanych modeli. A zatem poznanie jest zawsze zapośredniczone przez język, modele i schematy pojęciowe, ale z tego nie wynika, że jest dowolne. Świat stawia naszym teoriom opór, a sukces nauki wskazuje, że niektóre modele są poznawczo lepsze od innych. Zakładam umiarkowany sceptycyzm wobec ludzkiego poznania. Nie mamy bowiem dostępu do rzeczywistości „samej w sobie", niejako „surowej", pozbawionej językowego i pojęciowego zapośredniczenia. Poznajemy zawsze w ramach określonych schematów, modeli, kategorii i praktyk językowych. W tym sensie nasz obraz świata jest konstruowany, a nie po prostu biernie odtwarzany. Nie oznacza to jednak, że poznanie jest wyłącznie grą języka ani że wszystkie modele świata są poznawczo równoważne. Wiedza poza kontekstem rzeczywiście traci sens, ale równie ryzykowne byłoby twierdzenie, że kontekst wyczerpuje całość poznania. Gdyby język nie był w żaden sposób zakorzeniony w czymś pozajęzykowym, trudno byłoby wyjaśnić nie tylko codzienną komunikację, lecz także sukces nauki: jej zdolność przewidywania, korygowania błędów, budowania skutecznych modeli i technologicznego oddziaływania na świat. Możemy więc mówić o kontekstowości poznania, ale nie musimy z tego powodu rezygnować z przekonania, że istnieją lepsze i gorsze sposoby ujmowania rzeczywistości.

W tym właśnie miejscu ujawnia się zasadnicza rola prawdy. Nie musi ona oznaczać dostępu do absolutnego, pozbawionego perspektywy obrazu świata. Może jednak pełnić funkcję regulatywną. Pozwala rozumieć, dlaczego jedne teorie okazują się bardziej płodne, spójne, wyjaśniające i posiadające moc predykcyjną aniżeli inne. Nauka bez wątpienia obejdzie się bez 'naiwnego realizmu', potrzebuje jednak przekonania, że między naszymi teoriami a światem zachodzi relacja, która nie jest czysto arbitralna. Bez tego nie sposób wyjaśnić, dlaczego pewne modele działają lepiej, trafniej organizują doświadczenie i skuteczniej poddają się krytycznej kontroli.

Czy postprawda oznacza kryzys nauki?

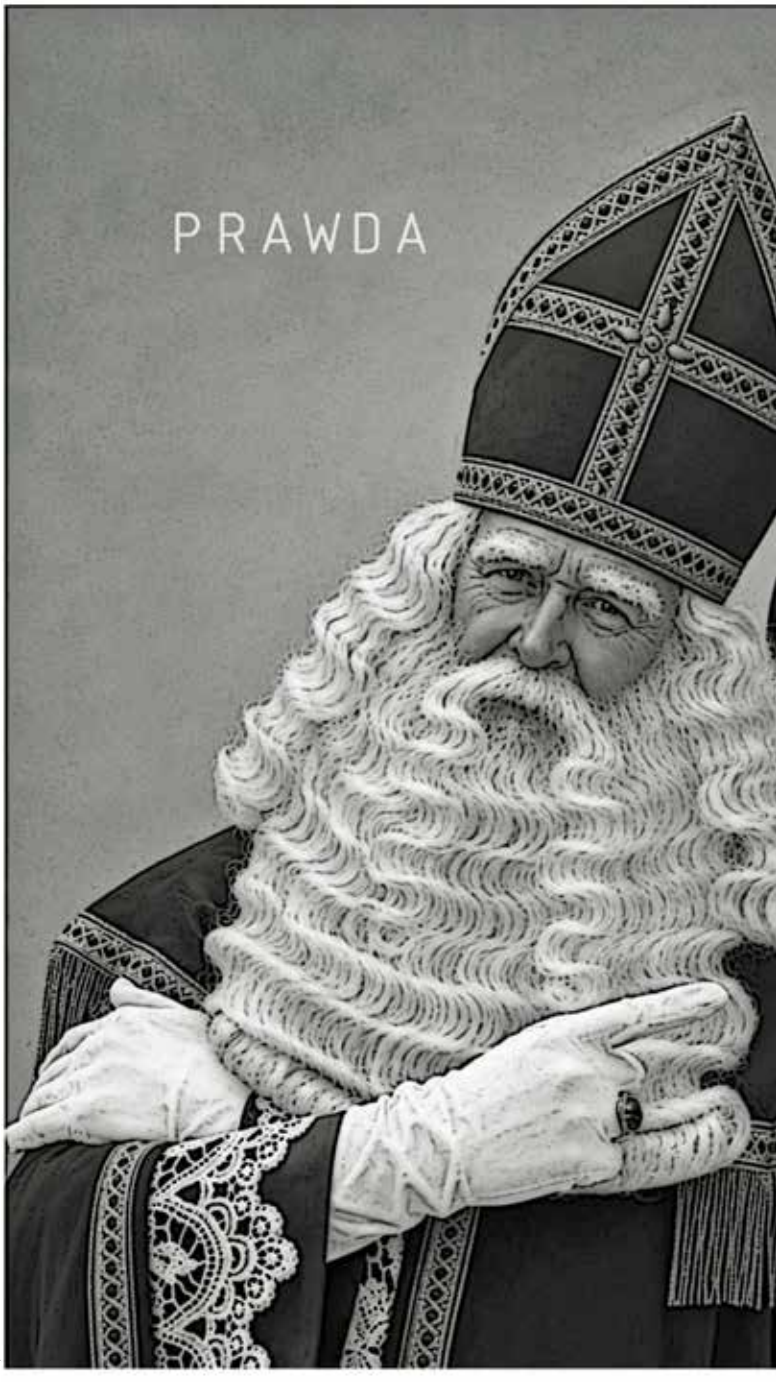
Prawda nie oznacza nieomylności! Zdanie to pełni w niniejszym artykule funkcję istotnego zastrzeżenia, a zarazem postulatu porządkującego dalszy wywód. Obrona prawdy jako wartości epistemicznej nie zakłada bowiem powrotu do naiwnego obrazu nauki jako prostego, liniowego i kumulatywnego przyrostu wiedzy. Obraz ten został w drugiej połowie XX wieku zakwestionowany, między innymi przez Thomasa Kuhna, który w swych pracach wykazywał historyczny, paradygmatyczny i nie w pełni neutralny charakter praktyki naukowej. Granice krytyki nauki jeszcze dalej przesunął Paul Feyerabend (*Krytyka naukowego rozumu,* 1992), prowokacyjnie pytając: dlaczego współczesną naukę mielibyśmy cenić bardziej niż naukę Arystotelesa czy wierzenia plemienia Azande? Pytanie to jest kłopotliwe nie dlatego, że każe nam porzucić naukę na rzecz magii (byłby to wniosek dość osobliwy, choć wcale nie niemożliwy), lecz dlatego, że zmusza do wskazania kryteriów, dzięki którym jedne sposoby poznawczego porządkowania świata uznajemy za lepsze od innych. Jeśli takich kryteriów nie potrafimy sformułować, wówczas nauka traci nie tylko pewność siebie, ale również zdolność racjonalnej obrony własnego autorytetu.

Wobec powyższego można zapytać, czy sama konieczność ponownego stawiania pytania o status nauki – i to w obliczu takich „zagadek" – nie świadczy o tym, że przeżywa ona kryzys własnej racjonalności? Odpowiedź może być twierdząca, wymaga jednak doprecyzowania. Nie chodzi o to, że nauka utraciła zdolność poznawania świata, lecz o to, że od wielu dziesięcioleci musi mierzyć się z pytaniem o własne kryteria: co odróżnia wiedzę naukową od opinii, dobrze uzasadnioną teorię od przekonującej narracji, a krytyczną korektę błędu od zwykłej zmiany języka. Uważam, że w tym sensie „kryzys nauki" oka-

zuje się zarazem kryzysem prawdy, a kryzys prawdy – kryzysem nauki. Jeśli bowiem słabnie zaufanie do prawdy jako wartości poznawczej, słabnie także autorytet nauki, zwłaszcza wtedy, gdy zaciera się różnica między wiedzą, opinią, narracją i społeczną użytecznością. Taka sytuacja tworzy „szczelinę", w której zakorzenia się zjawisko tzw. postprawdy (post-truth). Nie tworzy ona swego rodzaju „epoki po prawdzie", jest raczej stanem kultury publicznej, w którym prawda przestaje być istotną wartością, przestając jednocześnie pełnić funkcję „kryterium" rozstrzygającego spory.

W *Oxford Dictionaries* (2016) termin post-truth definiuje się jako odnoszący się do sytuacji, w której obiektywne fakty mają mniejszy wpływ na kształtowanie opinii publicznej niż odwołania do emocji i osobistych przekonań. Postprawda nie usuwa więc prawdy, czyni ją jednak mniej potrzebną (niekiedy wręcz zbędną) w praktyce społecznego wyjaśniania i przekonywania. Dlatego jest zjawiskiem szczególnie groźnym nie tylko dla nauki, lecz także dla życia społecznego. Tam, gdzie prawda staje się zbędna, spór publiczny przestaje być wymianą argumentów, a zaczyna przypominać rywalizację skuteczniejszych narracji. Wydaje się, iż postprawda nie jest ani przypadkowym, ani też wyłącznie medialnym zjawiskiem. Wyrasta ona z głębszych przemian kultury publicznej, spadku zaufania do instytucji, wzrostu znaczenia emocji w debacie oraz coraz silniejszego przekonania, że „fakty" same przez się nie rozstrzygają już sporów społecznych. Lewandowsky, Ecker i Cook wskazują, że współczesna postprawda wiąże się między innymi z erozją zaufania do instytucji poznawczych (m.in. uniwersytetów) i z bardzo emocjonalnym podejściem do komunikacji publicznej (Lewandowsky, Ecker, & Cook, 2017). Co istotne, jej korzenie tkwią w odrzuceniu obiektywnych faktów i szeroko zakrojonej relatywizacji, nierzadko „napędzanej" przez różne odmiany myślenia postmodernistycznego (McIntyre, 2018). Trwale obecny w naukach humanistycznych postmodernizm – wraz ze swoimi najróżniejszymi inkarnacjami – przyczynił się do swoistego „rozmiękczania" pojęcia nauki. Jego istotę dobrze oddaje pogląd, zgodnie z którym absolutnie wszystko należy traktować jako „tekst", zaś u podstaw samego tekstu (czyli właściwie wszystkiego) leży znaczenie, które należy rozszyfrowywać lub dekonstruować. Takiemu podejściu towarzyszy podejrzliwość wobec samego pojęcia obiektywnej rzeczywistości (Gellner, 1997). Postmodernizm nie stworzył postprawdy, jednak dostarczył jej części słownika, z którego wynika nieufność wobec faktów i skłonność do traktowania wiedzy jako jednej z wielu narracji. Problem zaczyna się wówczas, gdy „taki słownik" opuszcza seminaria filozoficzne i zaczyna funkcjonować jako formuła publicznego unieważniania wiedzy. Wówczas uzasadniona teza o historyczności, kontekstowości i modelowym charakterze nauki zostaje przekształcona w sugestię, że nauka jest tylko jedną z wielu opowieści o świecie.

Postprawda (a raczej jej orędownicy) zdecydowanie działa na niekorzyść nauki, albowiem jeśli nauka zmienia niekiedy swój język, rewiduje własne założenia, tworzy „jedynie" modele, nie zaś opisy stanów rzeczy, to na pewno wymaga mechanizmów krytyki, testowania i publicznej kontroli. Zdarzają się naukowcy – orędownicy postprawdy – zwłaszcza w niektórych nurtach nauk humanistycznych i społecznych podkopujący sens nauki, wskazujący na jej kontekstowość, historyczność, relatywizujący ją, niekiedy zaś podważający sens istnienia samej nauki. W takich narracjach, pasożytując na języku demokracji, pluralizmu i krytycznego myślenia, unieważnia się różnicę między opinią a wiedzą, pod pozorem sceptycyzmu zastępuje się krytykę nieufnością, pozornie demaskując autorytety, fabrykuje się na ich miejsce inne, nowe autorytety, tyle że mniej odpowiedzialne poznawczo. W takim środowisku problemem nie jest wyłącznie brak informacji, lecz rozpad kryteriów, wedle których informacje można oceniać. Dlatego postprawda nie jest tylko problemem komunikacji społecznej. Jest problemem epistemologicznym i aksjologicznym. Uderza w samą możliwość uznania prawdy za wartość poznawczą, a tym samym w społeczne funkcjonowanie nauki, która w tej nierównej walce zepchnięta zostaje do roli jednej z wielu narracji. W takiej perspektywie właściwie każdy (a szczególnie ten, kto potrafi sprawnie operować językiem, lecz już niekoniecznie spójnie i racjonalnie) może „mieć swoją prawdę". Jest to być może efektowne i medialne, tylko dla kogo? Dla nauki z pewnością nie. Naukowiec nie powinien szukać rozgłosu w samej



Rys. Sławomir Makal

sprawności unieważniania kryteriów, lecz w rzetelności poznania. Nie chodzi przecież o to, by mieć rację, lecz o to, by poznawać świat, nawet jeśli „tylko" fragmentarycznie i kontekstowo.

Absolutyzm prawdy jako mit?

Pojęcie prawdy jest nauce niezbędne, ale nie jako gwarancja nieomylności. Jest raczej warunkiem sensownego odróżniania krytyki naukowej od arbitralnej zmiany perspektywy. Będę więc uparcie twierdził, że prawda pozostaje dla nauki jednocześnie punktem odniesienia i punktem dojścia, albowiem bez niej nie wiadomo, wedle czego oceniać twierdzenia, ani ku czemu miałoby zmierzać samo poznanie.

Współczesne dyskusje o prawdzie często przesuwają problem jej definicji w stronę poszukiwania tzw. kryterium prawdziwości. Jest to posunięcie tyleż interesujące, co ryzykowne, ponieważ zrównując prawdę z możliwością jej rozpoznania, dokonujemy istotnej redukcji: utożsamiamy to, czym prawda jest, z tym, po czym możemy ją poznać. Nie poszukujemy już wówczas definicji prawdy, lecz redukujemy ją do warunków jej rozpoznania: stwierdzalności, uzasadnialności czy weryfikowalności, a więc do kategorii właściwych epistemicznym koncepcjom prawdy. Można więc zasadnie pytać, czy prawdziwość rozumiana w kategoriach antyrealistycznych, konstruktywistycznych lub pragmatycznych nadal może pełnić funkcję istotnej wartości nauki? Jeśli bowiem kryteria prawdziwości zależą od przyjętego modelu poznania, wspólnoty badawczej lub praktycznego kontekstu użycia, wówczas trudno oczekiwać, że zapewnią one trwałą zgodę poznawczą. To, co jedna grupa uzna za użyteczne, uzasadnione lub koherentne, inna może odrzucić jako poznawczo słabe, nieprzydatne albo wręcz szkodliwe. Problem polega więc na tym, że takie kategorie jak „stwierdzalność", „uzasadnialność" czy „koherencja" same wymagają dalszego doprecyzowania i nie zawsze dostarczają jednoznacznych kryteriów oceny twierdzeń, wymagają interpretacji, a więc nie usuwają problemu prawdy, lecz przesuwają go na inny poziom (Moroz, 2015). W ogólnym rozrachunku można stwierdzić, iż pomimo rosnącej świadomości trudności związanych z klasyczną koncepcją prawdy niestrudzenie trwamy (jako kultura) na stanowisku, że istnieje coś, co nie jest znaczeniem (nie jest tekstem), a jednocześnie stanowi pozajęzykowy punkt odniesienia dla naszych sądów, teorii i sporów o to, jak rzeczy się mają. W *Obecności mitu* (2003) Leszek Kołakowski pisał: „Pytania i przeświadczenia metafizyczne są jałowe technologicznie, nie stanowią tedy części analitycznego wysiłku ani składnika nauki. Jako organ kultury są przedłużeniem jej mitycznego pnia. Dotyczą sytuacji bezwzględnie początkowej świata doświadczenia; dotyczą jakości bytu jako całości (w odróżnieniu od przedmiotu); dotyczą konieczności zdarzeń" (s. 13). Mimo, iż świat doświadczenia jawi się jako przygodny i chwilowy, mamy głęboko zakorzenioną potrzebę tego, co nieuwarunkowane, absolutne, potrzebujemy tego, co by mogło stanowić uzasadnienie, a zarazem usensownić „realność postrzeganą" (Kołakowski, 2003). Platońskie odróżnienie doxa od episteme stanowi klucz do zrozumienia podstaw naszej kulturowej spuścizny poszukiwania tego, co absolutne, a przeto niezmienne i uniwersalne. Edmund Husserl poświęcił całe życie na poszukiwanie doskonale trwałego gruntu w poznaniu, jednocześnie odpierając argumenty sceptyków i relatywistów i chroniąc kulturę przed korozją psychologizmu i historyzmu. Poszukiwania te były dla Husserla konstytutywnym elementem kultury europejskiej; bez nich bowiem przestałaby ona istnieć, straciłaby swój duchowy sens jako formacja kulturowa (Husserl, 1999). I chociaż ten nadludzki wysiłek filozofów spełzł był na niczym, trudno jest wyobrazić sobie kulturę nie osadzoną w wartościach. To co uniwersalne, tworzy trzon naszego trwania.



„Mit rozumu – jak pisze Kołakowski – potrzebny jest, aby obecna była wiara, iż logika nasza nie jest tylko *savoir-vivre'em* zbiorowości współpracujących w myśleniu, ani tylko faktyczną jakością naszego cielesnego ustroju lub naszego sposobu mówienia. Mit rozumu nie jest prawdziwy ani fałszywy, ponieważ żaden mit nie podlega dychotomii prawdy i fałszu. ale coś może być prawdziwe tylko dzięki mitowi rozumu" (2003, s. 67). Powyższe słowa doskonale oddają istotę ważności, a zarazem nieuchwytności epistemicznej wartości rozumu, w którym rodzi się metafizyczny mit prawdy. Jeśli więc szukamy definicji prawdy całkowicie neutralnej, nieuwikłanej w żaden język, model poznania ani

dyskurs naukowy, zapewne jej nie znajdziemy. Tęsknota za prawdą bezwzględną jest niezwykle silna i zrozumiała, jednak przypomina raczej metafizyczne pragnienie absolutnego punktu oparcia niż realny program epistemologiczny. Jeśli jednak zgodzimy się, że poznanie zawsze dokonuje się w określonych ramach pojęciowych, nie musimy rezygnować z prawdy. Możemy przyjąć, że spośród różnych koncepcji prawdziwości tylko ujęcie zachowujące związek z rzeczywistością pozwala nauce utrzymać jej sens poznawczy. Prawdziwość bowiem (rozumiana jako własność sądów/twierdzeń naukowych) musi wskazywać kierunek badań i uzasadniać potrzebę krytyki, ale przede wszystkim powinna przypominać, że nauka nie istnieje po to, by mnożyć równouprawnione opowieści, lecz by – chociaż fragmentarycznie i z ryzykiem błędu – poznawać świat. Wobec powyższego będę twierdził, narażając się zapewne na zarzut epistemologicznej naiwności, że prawdziwość jest bezwzględną cechą zdań „referencjalnie wyróżnionych" przez rzeczywistość (pozajęzykową). Takie stanowisko pozwala zachować rozumienie prawdy jako wartości autotelicznej, jednocześnie nie czyniąc z niej wygodnej metafizycznej dekoracji dla nauki. Prawdę traktujemy jako wartość regulatywną, bowiem nie gwarantuje nieomylności, ale wyznacza kierunek poznawczego wysiłku.

O konsekwencjach relatywizmu prawdy

.O tym, że prawda jest trwale związana z myśleniem naukowym – a przynajmniej, że tak powinniśmy o niej myśleć – pisałem już w poprzednich częściach artykułu. Twierdziłem również, że nie każda koncepcja prawdy równie dobrze nadaje się do opisania sensu nauki. Szczególne znaczenie zachowuje tu prawdziwość w klasycznym ujęciu, rozumiana jako własność sądów, twierdzeń lub zdań, których wartość poznawcza zależy od tego, czy trafnie odnoszą się do rzeczywistości. W tym miejscu czytelnikowi należy się jednak wyjaśnienie, dlaczego własność ta nie może mieć charakteru czysto lokalnego, okazjonalnego albo zależnego wyłącznie od przyjętej perspektywy. Dlaczego prawdziwość sądów, twierdzeń czy zdań nie może być jedynie incydentalna? I jak pogodzić tę tezę z faktem, że teorie naukowe same nie są ostateczne ani wolne od historycznych i pojęciowych uwarunkowań? Odpowiedź wymaga rozróżnienia dwóch porządków. Czym innym jest prawdziwość sądu, a czym innym nasza zdolność rozpoznania tej prawdziwości. Owa zdolność zdecydowanie zależna jest od dostępnych narzędzi poznawczych (jest zatem biologicznie i kulturowo uwarunkowana). Możemy mylić się w sprawie prawdy, możemy dochodzić do niej przez modele i przybliżenia, ale również możemy jej w ogóle nie rozpoznać. Nie mamy bowiem do niej ani bezpośredniego, ani absolutnego dostępu, nie wynika z tego, że sama prawdziwość staje się względna, jakoś ograniczona lub podatna na korektę. W klasycznym ujęciu prawdziwość przysługuje sądom lub nie przysługuje. Nic ponadto…

Zagadnienie absolutyzmu prawdy (absolutyzm aletyczny) może dziś wzbudzać kontrowersje, zwłaszcza na gruncie nauk humanistycznych. Obrona stanowiska przeciwnego relatywizacji prawdy bywa niekiedy uznawana za gest anachroniczny, niedostosowany do współczesnych dyskusji o historyczności poznania, językowym zapośredniczeniu doświadczenia czy pluralizmie form racjonalności. Obronę stanowiska absolutyzmu prawdy niekiedy kojarzy się z dogmatycznym podejściem do samej nauki, która miałaby – wraz z przyjęciem wspomnianej odmiany absolutyzmu – stać się antydemokratyczna w sensie metodologicznym. Oznacza to, iż odrzuciłaby „dobre" praktyki testowania różnych hipotez, na rzecz uznania i niepodważalnego już przyjęcia jedynego rozwiązania określonego problemu. Absolutyzm prawdy kojarzy się wówczas z dogmatycznym obrazem nauki, mianowicie z przekonaniem, że przyjęcie nierelatywnego rozumienia prawdziwości musi prowadzić do zamknięcia sporu, odrzucenia alternatywnych hipotez i uznania jednego rozwiązania za ostateczne. W takim ujęciu absolutyzm aletyczny miałby wspierać totalizującą, antyinterpretacyjną i antydeliberatywną wizję nauki. Taka ocena jest jednak zbyt pospieszna. W sytuacji, w której coraz częściej zaciera się różnica między wiedzą a opinią, powrót do pytania o nierelatywizowalny sens prawdy nie jest intelektualną nostalgią, lecz warunkiem obrony samego sensu nauki.

Problem „z prawdą" ujawnia się głównie w naukach humanistycznych i społecznych, zwłaszcza tam, gdzie w ostatnich dekadach silnie zaznaczyły się wpływy szeroko rozumianych teorii krytycznych, postmodernistycznych teorii dyskursu oraz tradycji wywodzących się z marksizmu i szkoły frankfurckiej. W wielu tego typu ujęciach pojęcie prawdy absolutnej zostaje potraktowane z głęboką podejrzliwością, a niekiedy wprost odrzucone jako element opresyjnego, uniwersalizującego języka nauki. W jego miejsce pojawia się prawda rozumiana społecznie – jako rezultat praktyk dyskursywnych, układów władzy, historycznych form uznania albo kulturowo wytworzonych sposobów interpretowania świata. Nie chodzi tu już o prawdę jako własność sądu odnoszącego się do rzeczywistości, lecz o prawdę jako efekt społecznej produkcji znaczeń. Taka perspektywa staje się szczególnie problematyczna wówczas, gdy z krytyki roszczeń do absolutności wyprowadza wniosek, że prawda jako wartość poznawcza jest zbędna i można ją zastąpić analizą dyskursu, interesu i społecznej konstrukcji znaczeń. W konsekwencji prawda traktowana jest jako kategoria relatywna, będąca wynikiem praktyk społecznych, układów znaczeń i kulturowych sposobów konstruowania świata. W konsekwencji prawda traktowana jest jako kategoria relatywna.

Czym jednak jest relatywizm prawdy? Najogólniej można powiedzieć, iż relatywizm jest to pogląd głoszący, iż wartości logiczno-poznawcze, etyczne, estetyczne itd., a wraz z nimi normy i oceny, mają charakter względny. Relatywizm prawdy jest zatem stanowiskiem, zgodnie z którym prawdziwość sądu, twierdzenia lub teorii nie jest bezwzględna, lecz zależy od określonego punktu odniesienia (kontekstu), np. języka, kultury, wspólnoty (naukowej), paradygmatu albo przyjętego systemu pojęciowego. Nie chodzi zatem o to, że „różnie rozpoznajemy" prawdę, lecz o tezę zdecydowanie mocniejszą, mianowicie, że sama prawdziwość (prawda) jest względna wobec kontekstu. Precyzyjniej mówiąc: prawdziwość sądu zależna jest od czasu, miejsca lub podmiotu sądzącego. Dwa sądy sprzeczne mogą być zarazem prawdziwe (np. dla różnych podmiotów) (Stępień, 1995).

Relatywizm intuicyjnie i zdroworozsądkowo wydaje się dobrze uzasadniony, jednak wynika to głównie z pomieszania dwóch poziomów: epistemologicznego i ontologicznego. Pierwszy odnosi się do naszego poznania, drugi dotyczy tego, jak rzeczy się mają, a nie tego, jak je postrzegamy – w najszerszym możliwym sensie. Z relatywizmem prawdy można jednak polemizować skutecznie i dobitnie na innym jeszcze nieco poziomie – na poziomie logiki. Dobrym punktem odniesienia niezmiennie od ponad stu lat pozostaje tu praca *O tak zwanych prawdach względnych* (1900) Kazimierza Twardowskiego (twórcy Szkoły Lwowsko-Warszawskiej). Lwowski filozof pokazuje w niej, że najmocniejszy argument przeciwko relatywizacji prawdy wyrasta nie z dogmatycznego przywiązania do tradycji, lecz z podstawowych zasad logiki klasycznej. W tzw. argumencie logicznym Twardowski wykorzystał jedno z podstawowych praw logicznych: „zasadę niesprzeczności" (nie mogą być zarazem prawdziwe dwa sądy sprzeczne ($p \wedge \neg p$)). Ów argument

można streścić następująco: twierdzenie, zgodnie z którym dla pewnej tylko osoby (lub osób) dany sąd jest prawdziwy, można sprowadzić do dwóch znaczeń: (1) osoba, wydająca dany sąd, jest o jego prawdziwości przekonana, ale niesłusznie; (2)osoba wydająca dany sąd, jest słusznie przekonana o jego prawdziwości, lecz tylko ona może być o jego prawdziwości słusznie przekonana, podczas gdy inne osoby mogą, w najlepszym razie, być tylko niesłusznie o niej przekonane.

A zatem osoba wydająca sąd prawdziwy zawsze jest przekonana o prawdziwości tego sądu, jednak przekonanie to może być słuszne bądź niesłuszne. Wobec tego otrzymujemy alternatywę: (i) bycie słusznie przekonanym o prawdziwości sądu lub (ii) bycie niesłusznie przekonanym o prawdziwości sądu (Twardowski, 1900). Jeśli więc akceptujemy zasadę niesprzeczności, musimy uznać, że dwa sądy sprzeczne nie mogą być zarazem prawdziwe w tym samym sensie. Nie chodzi tu o to, że różni ludzie nie mogą mieć odmiennych przekonań, różnych języków opisu czy odmiennych perspektyw interpretacyjnych. Mogą i faktycznie mają je. Chodzi o coś bardziej podstawowego, jeśli jeden sąd głosi, że „p", a drugi, że „nie-p", to nie mogą one być jednocześnie prawdziwe tylko dlatego, że zostały wypowiedziane w różnych kontekstach, dyskursach lub wspólnotach interpretacyjnych. Innymi słowy nie może być tak, że „p i nie-p", bo to byłoby wewnętrznie sprzeczne i przeczyłoby logice (a właściwie zasadzie niesprzeczności). Relatywizacja prawdy próbuje niekiedy ominąć ten problem, mówiąc, że coś jest „prawdziwe dla nas", „prawdziwe w tym języku", „prawdziwe w tej praktyce" albo „prawdziwe w tej narracji". Jednak z punktu widzenia logiki klasycznej nie jest to już spór o samą prawdziwość sądu, lecz o warunki jego uznawania. Właśnie dlatego argument ten ma zasadnicze znaczenie w dyskusji z radykalnymi odmianami myślenia postmodernistycznego itp. Prawdziwość (w rozumieniu, które jej nadaliśmy) nie jest i nie może być względna wobec dyskursu, interesu, wspólnoty albo układu władzy. Prawdziwość sądów jest relacyjna, bo odnosi się do rzeczywistości, o której coś orzeka, ale nie relatywna.

„Argument z logiki" pełni bardzo ważną rolę w krytyce stanowiska relatywistycznego, w ogóle nie dopuszczając do sytuacji, w której prawdziwość mogłaby być własnością względną sądów. Na koniec swojego wywodu Twardowski sformułował również tzw. argument pragmatyczny. Argument ten odwołuje się do dwóch zasad: niesprzeczności i wyłączonego środka, ale podkreśla się w nim niemożliwość prowadzenia racjonalnej dyskusji (Moroz, 2013). Zgodnie z zasadą wyłączonego środka albo coś jest albo nie jest ($p \wedge \neg p$), nie może być inaczej, nie ma trzeciej opcji („Śnieg jest biały" albo „śnieg nie jest biały"). Obie wspomniane, elementarne zasady logiki klasycznej, uznawane zostały przez Twardowskiego za podstawowe kryterium zdrowego rozsądku. Stwierdzał on bowiem, że: „Kto nie chce uznać tej alternatywy, wedle której każdy sąd albo niesłusznie, albo słusznie jest uważany za prawdziwy, więc albo nie jest prawdziwy, albo jest prawdziwy, ten nie może też uznawać zasady sprzeczności i wyłączonego środka" (Twardowski, 1900). Odrzucenie tych zasad byłoby równoznaczne z porzuceniem praw rządzących zarówno naszym myśleniem, jak i otaczającą rzeczywistością (jak się zakłada). W konsekwencji negacja lub zawieszenie obowiązywania elementarnych praw klasycznej logiki prowadziłyby do akceptacji wszelkich, nawet najbardziej absurdalnych twierdzeń i teorii. Odrzucenie tych praw stwarzałoby realne zagrożenie dla tego, co określa się mianem racjonalnego myślenia. Jako że przekonywać można kogoś jedynie za pomocą dowodzenia, to zaś, jak zauważa Twardowski, opiera się na wspomnianych zasadach logicznych, zatem kto „nie uznaje owych zasadniczych praw myślenia, nie może wymagać, by starano się go przekonać". Stanowisko relatywizmu nie może więc być zaakceptowane ze względów pragmatycznych, ponieważ jego konsekwencją byłoby najpierw pogwałcenie elementarnej zasady logiki klasycznej, a następnie uniemożliwienie dalszej dyskusji. Jeśli zatem chcemy toczyć dalsze racjonalne dociekania i poszukiwać prawdy, nie możemy zaakceptować relatywizmu.

Konkluzja jest taka, że jeśli akceptujemy prawdę jako wartość w nauce, to musi mieć ona bezwzględny charakter. Uznanie prawdy za centralną kategorię nauki nie oznacza tym samym powrotu do „obrazu" wiedzy absolutnej, ostatecznej i odpornej na rewizję. Oznacza raczej, że błędy można rozpoznawać jako błędy, a korekty jako poznawczo znaczące tylko wtedy, gdy zakładamy różnicę między twierdzeniem trafniejszym i mniej trafnym. W tym sensie nowoczesna nauka jest z natury fallibilistyczna. Dopuszcza możliwość błędu nawet tam, gdzie dysponuje silnym uzasadnieniem, nie osłabia to jednak jej racjonalności i nie musi oznaczać rezygnacji z prawdy bezwzględnej. Nauka nie polega na gromadzeniu ostatecznych uzasadnień, lecz na formułowaniu śmiałych hipotez i wystawianiu ich na możliwie surową krytykę. O wartości teorii decyduje to właśnie, że można ją testować, porównywać z konkurencyjnymi ujęciami i odrzucać wtedy, gdy nie wytrzymuje próby (Popper, 1992). „Naukowa omylność" nie prowadzi jednak do skrajnego sceptycyzmu, a jeżeli nauka może błądzić, to właśnie dlatego potrzebuje prawdy jako punktu odniesienia. Teorie naukowe mogą być prawdziwe, choć prawdopodobnie nigdy nie będziemy dysponować „ostatecznym dowodem" ich prawdziwości.

Prawda pozostaje konieczną kategorią nauki, ponieważ bez odwołania do niej nie da się sensownie odróżnić wiedzy naukowej od opinii, trafnego opisu rzeczywistości od interpretacji jedynie użytecznej oraz postępu poznawczego od samej zmiany języka lub perspektywy. Nauka nie dysponuje prawdą w sposób absolutny, lecz rozwija procedury jej coraz lepszego rozpoznawania, testowania i intersubiektywnej kontroli.

Dlaczego nauka potrzebuje prawdy?

Nauka nie potrzebuje pojęcia prawdy dlatego, że miałaby dysponować wiedzą absolutną, nieomylną i ostateczną. Przeciwnie, potrzebuje jej właśnie dlatego, że jest omylna, potrzebuje pojęcia prawdy jako miary, wobec której możliwe stają się krytyka, korekta błędu i rozróżnienie między twierdzeniami lepiej oraz gorzej uzasadnionymi. Bez pojęcia prawdy nauka traci swój sens poznawczy, o ile oczywiście uznajemy, że jej podstawowa ambicja ma stricte poznawczy charakter, zaś jej twierdzenia i teorie mogą być oceniane ze względu na to, czy trafnie ujmują badany fragment rzeczywistości. W tym sensie prawda nie jest luksusowym dodatkiem do nauki, lecz warunkiem zrozumienia jej własnej racjonalności. Jeżeli rezygnujemy z prawdy, osłabiamy także sens uzasadniania, testowania, krytyki i sporu naukowego. Po co bowiem testować teorię, jeśli nie zakładamy, że wynik testu może powiedzieć coś o jej trafności? Po co krytykować hipotezę, jeśli wszystkie stanowiska są jedynie równoważnymi narracjami? Po co poprawiać błędne twierdzenia, jeśli nie istnieje różnica między błędem a lepszym rozpoznaniem rzeczy? Właśnie dlatego obrona prawdy w nauce nie musi oznaczać dogmatyzmu. Nauka zachowuje sens tylko wtedy, gdy pozostaje ukierunkowana na prawdę. Nauka jest kontekstowa, ale nie dowolna, jest omylna, ale nie relatywna, operuje modelami, ale wciąż ukierunkowana jest na to, co pozajęzykowe. Prawda pełni tu funkcję idei regulatywnej: nie jest czymś, co nauka posiada raz na zawsze, lecz czymś, ku czemu zmierza.

Dr hab. Jacek Moroz, prof. USz, filozof, pedagog, Instytut Pedagogiki, Wydział Nauk Społecznych, Uniwersytet Szczeciński

Sebastian Adamkiewicz

Mikroskop z opcją wehikułu czasu

Sposoby docierania do prawdy w historii

Podważenie narracji jako głównego celu historycznej opowieści, sprawiło, że historia stała się nauką, której celem było stworzenie metodologii audytu przeszłości i wyjaśniania, jak ona naprawdę wyglądała.

Paweł Edelman opowiadał niegdyś anegdotę o Andrzeju Wajdzie. Reżyser zamiłowany w pejzażach i scenach plenerowych, dostrzegający w przyrodzie wielką tajemnicę świata i wdzięczny obiekt do fotografowania, mniej przepadał za pracą z aktorami. Gdy zbliżały się sceny wymagające obecności grających, mawiał: „Widzisz Pawełku, a teraz przyjdą aktorzy i wszystko nam zepsują". Historyk może być w tej anegdocie właśnie takim niechętnie widzianym aktorem, który wchodząc na scenę dysput i sporów, wszystko wszystkim psuje nieustanną tęsknotą za prawdą. Ta zaś nie zawsze jest efektowna, ucieka wyobrażeniom, archetypom i oczekiwaniom, jest kamieniem w bucie, za małą marynarką dla rozbuchanego ego.

Gdyby bowiem próbować zdefiniować pojęcie historyka, to jest to badacz, którego celem jest ustalenie, jaki był przebieg przeszłości. Odwołując się do klasycznej definicji prawdy, dziejopis winien dokonywać możliwie dokładnej rekonstrukcji przeszłej rzeczywistości. Nie jest to zadanie łatwe, bo o ile arystotelesowska koncepcja wydaje się adekwatna do oceny teraźniejszości, o ile stwierdzenie co jest rzeczywistością, kiedy nie możemy jej obejrzeć i przeżyć, jest już dużo trudniejsze, a czasem wręcz awykonalne.

Problem źródeł

Historyk działa na ograniczonym zasobie materiału, jego sukces badawczy uzależniony jest w dużej mierze od tego, na ile czas i zdarzenia pozwoliły przetrwać materiałom, które służyć mogą do złożenia skomplikowanej układanki dziejów. Swoje badania dziejopis opiera w dużej mierze na źródłach pisanych. Są to nie tylko dokumenty, akty urzędowe, ale też wspomnienia czy korespondencja prywatna. Oczywiście każde z tych źródeł naznaczone jest subiektywizmem. Nawet dokument nie zawsze może odzwierciedlać rzeczywistość. Już od czasów tzw. donacji Konstantyna, która rzekomo miała być dowodem na nadanie przez cesarza licznych przywilejów Kościołowi Rzymskiemu i samemu papieżowi, a po latach okazała się fałszerstwem, wiadomo że do oceny wiarygodności dokumentu potrzebna jest analiza krytyczna, która pozwala sprawdzić, na ile może być on podstawą do stwierdzenia zaistnienia faktów. Historyk musi zatem sprawdzić wszystkie cechy zewnętrze dokumentu: materiały z jakich jest wykonany, pismo, język czy znaki specjalne. Ważna jest także zawarta treść, np. czy zgadza się z przyjętymi w danym czasie formami, czy nie była kwestionowana już w czasie powstania itp.

Problem tkwi jednak nie tylko w samym dokumencie, ale także dostępie i zachowaniu źródeł. Wojny, konflikty, czasem przypadek czy zwyczajna ignorancja ludzka, sprawiają, że potencjalne materiały badawcze znikają z powierzchni ziemi. Czasem bezpowrotnie, jak chociażby w wyniku pożaru w Archiwum Głównym Akt Dawnych w czasie powstania warszawskiego, a czasem odnajdywane są cudem, jak chociażby akt renowacyjny miasta Łodzi z 1433 roku, który znalazł się w… prywatnych papierach jednej z rodzin. Akt wyniesiony został w latach 20. ubiegłego wieku z Archiwum Diecezjalnego we Włocławku, później trafił najpewniej do ks. Jana Dzioby, a następnie „odziedziczony" został przez jego najbliższych. Być może nigdy by go nie odnaleziono, gdyby nie przypadek i dociekliwość Krzysztofa Laszkiewicza, regionalisty z Głowna, który przeglądając papiery rodzinne znalazł ów łaciński pergamin. Przykładów dokumentów znajdowanych jako zakładki w książkach, owiniętych w niewłaściwe obwoluty, będących fragmentami większej całości, jest więcej. Najsłynniejszym „cudownym" znaleziskiem pozostają np. słynne zwoje z Qumran, odkryte dzięki temu, że pewien beduiński pasterz, chcąc odnaleźć swoją kozę, wrzucił do szczeliny skalnej kamień. Dźwięk tłuczonego glinianego tworzywa zaciekawił go. Okazało się, że w dzbanach zachowanych było blisko 900 zwojów zawierających teksty biblijne gromadzone przez sektę esseńczyków. Dzięki temu odkryciu prześledzić można było, na ile późniejsze kopie były zmieniane i modyfikowane.

Historyk musi pogodzić się jednak z faktem, że do wielu źródeł dostępu nie ma albo są one fragmentaryczne. Dużo łatwiej jest np. zbadać przeszłość z perspektywy elity, która pozostawiła

po sobie świadectwa, niż przeciętnego człowieka. Z kolei poznawanie świata za pomocą np. ksiąg sądowych lub kronik kryminalnych w gazetach, może budować wypaczoną i sensacyjną jego wizję. Czy ktoś wyobraża sobie na przykład, żeby opinię o latach 20. XXI wieku budować wyłącznie na podstawie okładek brukowców albo nawet najpopularniejszych serwisów informacyjnych? Przecież zarówno ich forma, jak i dynamika z góry skazują na dobór wiadomości wzbudzający sensację czy emocje. Pokazują zaledwie starannie dobrany wycinek rzeczywistości. Przestrogę o tym, że dobór źródeł może budować mylne przekonanie o rzeczywistości, zawarł Władysław Łoziński w swojej niezwykle popularnej książce *Prawem i lewem*. Oparta na staropolskich aktach sądowych z Rusi Czerwonej, bywa do dziś traktowana przez niektórych jak papierek lakmusowy obyczajowości dawnej Rzeczpospolitej, podczas gdy sam autor upominał we wstępie, by być ostrożnym przy wyciąganiu zbyt daleko idących wniosków.

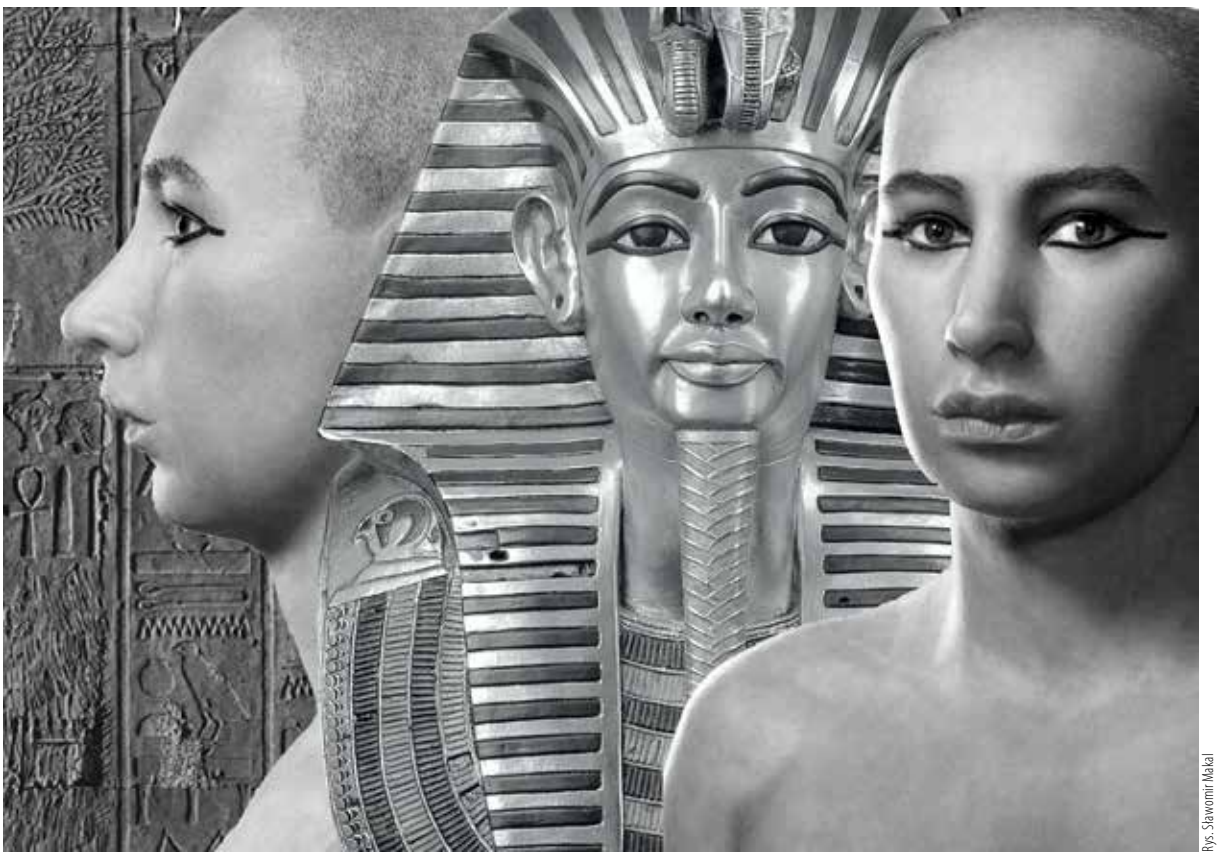
Apoteoza i świadectwo

Problemy ze źródłami powodują, że w historii wiele jest białych plam i wydarzeń, o których albo niczego się nie dowiemy, albo trudno będzie powiedzieć o nich cokolwiek nowego. Na pomoc historykom przychodzą oczywiście inne dziedziny nauki: badania genetyczne, chemia, biologia, archeologia, medycyna czy nawet osiągnięcia w rozwoju sztucznej inteligencji, ale nadal dziejopis musi bazować na tym, co ci, o których chce pisać, mu pozostawili. Ludzie i los bywają krnąbrni i bezwzględni, czyniąc często z pracy dziejopisa syzyfowe zajęcie.

Zanim odpowiem na pytanie, po co historyk chce dociec do prawdy, trzeba by było postawić inne: czy historia u swych początków w ogóle była narzędziem prawdy albo w jakim stopniu? Jaki był motyw tego, że ludzkość czuła potrzebę dowiadywania się, co było w przeszłości? Żeby spróbować odpowiedzieć na te pytania, warto sięgnąć do pierwszej książki uznawanej przez historiografię za symboliczny początek historii – *Dziejów* Herodota. We wstępie autor wyjaśnia nam motywy, dla których podjął się jej napisania. W pierwszym zdaniu grecki pisarz stwierdza, że czyni to, żeby dzieła Greków i Persów (określonych mianem barbarzyńców) nie zostały zapomniane. Dziejopis dostrzega, że ludzka pamięć jest zawodna, że szybko wyrzuca to, co uznaje za zbędne. Istniało zatem w Herodocie usilne pragnienie, by zgromadzić w jednym miejscu wszystko to, co w jego opinii wymagało utrwalenia. U źródła tej potrzeby stał nieskrywany podziw dla ludzkości jako takiej. Dzieła ludzkości, które Herodot uznaje za warte zapisania, są chwalebne i godne podziwu. Wydaje się zatem, że w *Dziejach* zawarte jest pragnienie apoteozy człowieczeństwa. W przeciwieństwie do dawniejszych opowieści i mitów człowiek nie jest w jego opowieści wyłącznie narzędziem w rękach bogów, ale istotą twórczą, której dzieło należy utrwalić.

Jak twierdzą historycy, Herodot materiały do swojego dzieła zbierać zaczął w 450 r. p.n.e. Nie jest to informacja bez znaczenia. Ukrywa motyw, który mógł wzbudzić potrzebę spisania wyżej wspomnianych „wielkich dzieł". Był to przecież czas końca wojen perskich. Ich zakończenie mogło generować poczucie niezwykłości, przełomowego momentu historii. Grecki świat triumfował nad imperium ze Wschodu, które jeszcze na początku stulecia zdawało się być niezwyciężone. Dodatkowo żyli jeszcze bohaterowie spod Maratonu, Salaminy czy Platejów. Atmosfera tryumfu mogła zatem sprzyjać potrzebie podsumowań, zarejestrowania świata. Wpływ wojen jest zresztą przez samego Herodota odnotowany. Wśród motywów spisania *Dziejów* wymienia przecież także chęć analizy przyczyn tych konfliktów.

Autor zatem chce napisać *Dzieje*, bo jest pod wpływem emocji każącej mu myśleć, że jest oto świadkiem przełomu historii. Tym co wprowadza go w ten nastrój, jest zakończenie wojen perskich, które były zdarzeniem tak istotnym dla greckiej wspólnoty, że z jednej strony Herodot ma potrzebę odnotowania wydarzeń, a z drugiej wyjaśnienia przyczyn tego, co się wydarzyło. Jest natomiast jeden element, który spaja wszystkie te przyczyny. To ciekawość. Ona skłania autora do dalekich podróży, gromadze-



Rys. Sławomir Makal

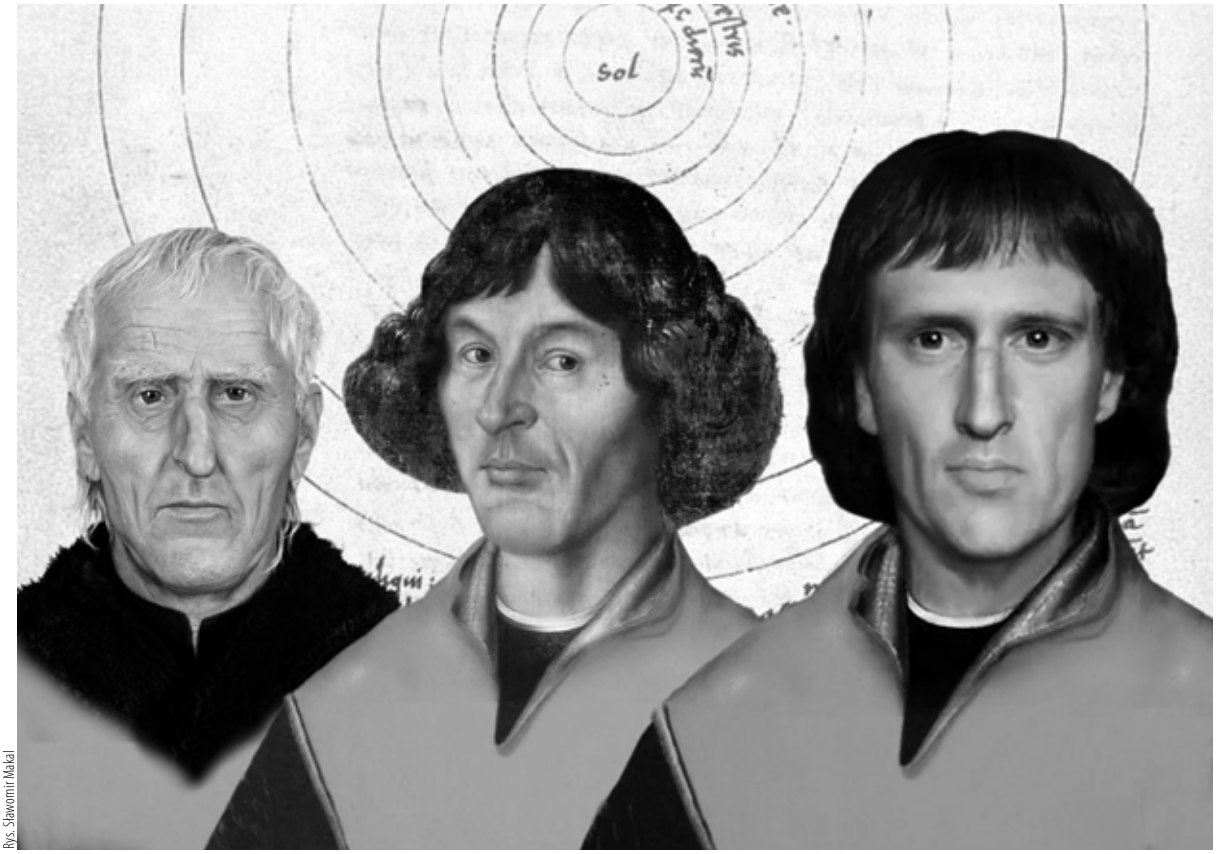
nia materiałów, notowania wysłuchanych opowiadań. Właśnie to zbieranie z ciekawości określone jest przez Herodota słowami „historíēs apódexis", które dosłownie przetłumaczyć można jako „przedstawienie dociekań" lub bardziej współcześnie „ogłoszenie wyników śledztwa". Samo „histor" oznaczało zaś świadka, tego, który widział. Nie było to zatem śledztwo przypadkowe, lecz polegające na wysłuchaniu świadków. Sprowadza się do roli odnotowującego wypowiedzi innych. *Dzieje* tym samym stają się przykładem wielogłosu pragnącego opowiedzieć otaczający świat. Metoda ta skutkuje tym, że choć Herodot nie chce opowiadać bajek, to w gruncie rzeczy część z legend przekazuje. Taką jest np. opowieść o poselstwie perskim do króla Amyntasa wytraconym przez Aleksandra Macedońskiego. Obok wymiaru dydaktycznego (Persowie mieli stracić życie za próbę gwałtu na greckich kobietach), opowieść miała charakter tożsamościowy. Podkreślała, że Macedończycy – wbrew opinii niektórych – są związani z kulturą grecką i mają do niej prawo. Z jednej więc strony Herodot miał zatem ambicje stworzenia dzieła w oparciu o świadectwa, ale nie uniknął umieszczania w historii opowieści bardziej przypominających literacki wymysł. Czasem zaznaczał co prawda, że nie we wszystkie wierzy, ale nie dokonywał ich krytycznego rozbioru.

Dziadek przy ognisku

Widoczny jest w tym pierwotny cel historii rozumianej przede wszystkim jako opowieść o przeszłości. Opowieść ta nie musi być prawdziwa w pełni, lecz na ogół zawiera w sobie elementy prawdy lub opowiada o jakieś prawdzie, którą zdefiniować można jako mądrość, pokazanie świata, jakim jest. Traktuje ona przeszłość jako czas świata doskonałego, w którym osadzone są – jak w platońskiej jaskini – zdarzenia i rzeczywistości idealne. Doskonale pasuje do tego użyta kiedyś przez Konstantego Geberta alegoria ogniska i dziadka. Polski reportażysta stwierdził w rozmowie ze mną, że początek wszelkiej historii wziął się od ogniska, przy którym siadali przedstawiciele plemienia i wysłuchiwali się w opowieść najstarszego, który snuł narrację o tym, jak to bywało za czasów jego młodości. Ten przykład był konstytutywny dla słuchających, pokazywał, jaki ma być świat. Dawał fundament obyczajom i pierwotnym prawom, zwłaszcza w strukturach niemonarchicznych. Tam zaś, gdzie monarchia się ukształtowała, dawał jej przyrodzone prawo do władzy.

Myśl Geberta była oczywiście próbą zamienienia realnego procesu w sielski obrazek, być może wcale nie odbiegający od rzeczywistości. Jej odzwierciedlenie widać jednak w historii. Tożsamościowotwórcze są np. historyczne księgi tzw. Starego Testamentu, których główny kanon – jak twierdzi prof. Niesiołowski-Spanò – kształtować miał się w okresie niewoli babilońskiej, czyli czasie silnego budowania odrębności żydowskiej, zarówno religijnej, jak i czerpiącej z rzekomego doświadczenia historycznego. Nawet jeśli odrzucilibyśmy tezę warszawskiego historyka, to nie można zaprzeczyć, że w kulturze żydowskiej księgi ukazujące prawdziwą lub koloryzowaną historię Izraela służyły konstruowaniu własnej wyjątkowości. Nazwać można to narracyjną funkcją historii. Historia nie jest w niej badaniem tego, co było, ale opowieścią, która ma praktyczny wymiar scalania wspólnoty. Zespalać może co prawda wspólny cel, ale przeszłość, którą trudno jest zweryfikować, może być dodatkowym spoiwem.

Funkcjonują zatem jakoby dwie historie: ta, która jest badaniem i dociekaniem jak było, oraz ta, która jest opowieścią korzystającą z przeszłości jako instrumentu do sankcjonowania teraźniejszości. One ścierają się u Herodota, który z jednej strony deklaruje ciekawość i chęć stawiania pytań i szukania odpowiedzi, z drugiej zaś wiele historyjek tożsamościowych powtarza. Ten sposób uprawiania historii utrwalił się w kolejnych epokach. Doskonałym przykładem jest chociażby nasza rodzima kronika Galla Anonima, która z jednej strony próbuje być zbiorem spisanych faktów, z drugiej zaś jest konstruktem literackim niosącym klarowny cel zbudowania mitu Bolesława Krzywoustego jako historycznego dziedzica dwóch wiel-



Rys. Sławomir Makal

kich Bolesławów na polskim tronie. Opowieść autora nie stroni od legend dydaktycznych, takich jak chociażby ta o Popielu, choć niewykluczone, że jest one także echem zbiorowej pamięci o jakimś dziejącym się przed latami buncie, który splótł się w dramatyczną bajkę o złym władcy pozbawionym życia przez myszy. Taką rolę pełniły też zamawiane przez rodziny możnowładcze panegiryki czy herbarze. Jasne, częściowo próbowały rekonstruować prawdę, ale jeśli jakaś narracja zdawała się atrakcyjna, to bezwiednie ją powtarzały. Ciekawym przykładem są teksty powstające ku czci rodu Firlejów. Bogaty ród małopolski, odgrywający niezwykle ważną role w Królestwie Polskim w XVI stuleciu, stworzył rękoma swoich panegirystów interesującą legendę rodzinną opartą na kulcie trzech mężczyzn: Mikołaja, Piotra i Jana Firlejów. Mikołaj był wzorem wojownika, Piotr gospodarza, a Jan polityka. Opisywano tym samym cnoty kardynalne, którymi winni odznaczać się synowie magnaccy. Czy opowieść ta była całkowicie zmyślona? Nie, ale z pewnością twórczo dobierała fakty, odpowiednio je przedstawiała, a niektóre sprawnie napełniała znaczeniem i doniosłością. Utworami na pograniczu literatury i dzieła prenaukowego są też kroniki Kadłubka czy Jana Długosza, a także wiele innych dzieł mających ambicję przedstawienia dziejów Polski, ale z jasno określonym przesłaniem.

Konfrontacja źródeł

W XIX wieku ukształtował się w historiografii nurt krytyczny, który tym różnił się od dotychczasowego uprawiania historii, że poszedł krok dalej niż Herodot. Już nie tylko powątpiewał w prawdziwość niektórych opowieści, ale pokusił się o to, aby wyjaśnić, dlaczego wątpi, biorąc oczywiście pod uwagę to, że próba falsyfikacji nie zawsze zakończy się sukcesem. To podważenie narracji jako głównego celu historycznej opowieści, sprawiło, że historia stała się nauką, której celem było stworzenie metodologii audytu przeszłości i wyjaśniania, jak ona naprawdę wyglądała. Można wręcz powiedzieć, że historiografia krytyczna wypracowała metody rozbrajania narracji poprzez ich skrupulatne sprawdzanie i podważanie.

Nie oznacza to, że przestały one istnieć. Historycy – nawet ci, którym nie można zarzucić tendencji bajkopisarskich oraz docenić należy ich wkład w naukę – wpadali w pułapkę nadmiernego „zawierzania świadkom". Władysław Konopczyński, doskonały dziejopis, autor kilkudziesięciu książek i biogramów w Polskim Słowniku Biograficznym, opisując panowanie Michała Korybuta Wiśniowieckiego stworzył zdanie, które na trwale przylgnęło do tego władcy i trafiło nie tylko do obiegu naukowego, ale także pod strzechy. Niemal każdy wie przecież, że król był człowiekiem znającym siedem języków, ale w żadnym z nich nie miał nic do powiedzenia. Dopiero po latach na twardą polemikę z tym określeniem zdobyła się prof. Ilona Czamańska, która w książce *Wiśniowieccy. Monografia rodu* wskazuje, że oskarżenia tego typu miały charakter czarnego PR, tworzonego przez niechętną monarsze grupę malkontentów, a zarzut o brakach intelektualnych pomimo obfitego wykształcenia językowego pojawiał się w ich paszkwilach. Konopczyński zawierzyć mógł zatem nie tyle swej intuicji badacza, co językowi źródeł, z których korzystał. Uwierzył tej narracji i puścił ją dalej, nadając jej stosowny rozgłos.

Innym ciekawym przykładem walki z narracjami jest sprawa łódzkiego prezydenta okresu międzywojennego, Aleksego Rżewskiego. Przez lata historycy próbujący opisać jego życie korzystali głównie ze spisanych przez niego wspomnień, traktując je często jako wyrocznię. Rżewski opisuje swoje barwne życie, działalność w PPS, udział w walkach rewolucyjnych, aresztowania, podróże. Sęk w tym, że nie zawsze trzyma się faktów lub… ma do nich bardzo swobodne podejście. Tak wynika przynajmniej z najnowszych badań historyków, w tym łódzkiego regionalisty Wojciecha Źródlaka i prof. Jarosława Kity, którym udało się podważyć szereg opowieści spisanych w autobiografiach, m.in. dotyczących rzekomej podróży na zachód Europy. Te badania pozwoliły spojrzeć na pamiętniki Rżewskiego nie jako na życiorys, ale formę literacką, która obok przekazania niektórych faktów miała także zadania autokreacyjne i mitotwórcze w odrodzonej II RP.

Kluczem do analizy krytycznej narracji jest przede wszystkim konfrontowanie możliwe dużej ilości źródeł i stawianie im pytań. Historyk nie może zatem poprzestać na jednym źródle, lecz znaleźć możliwie dużą ich ilość, tak aby kontrolować pozyskanie treści. Doskonałym przykładem takiej analizy jest książka Mariana Plezi *Sprawa św. Stanisława*, fascynujące śledztwo, w którym autor dokonuje skrupulatnej i koronkowej analizy różnego rodzaju źródeł. Sięga do wiedzy medycznej, językowej, archeologicznej. Rozkłada teksty na czynniki pierwsze, próbując oddzielić prawdę od mitu. Lektura przypomina wzorowe prokuratorskie śledztwo, w którym każda poszlaka może być brakującym elementem układanki.

Oczywiście dekonstruowanie narracji nie służy wyłącznie ośmieszaniu czy deprecjonowaniu ich autorów czy wyznawców. Służyć winno przede wszystkim lepszemu poznaniu człowieka, jego marzeń, pragnień, sposobów budowania prestiżu, autokreacji czy uprawiania polityki. Wrócić należy tym samym do Herodota, który swoje *Dzieje* pisał z fascynacji nad człowieczeństwem. Każde poszukiwanie prawdy winno się zaczynać od takiego zachwytu, który następnie rodzi pytanie, dlaczego jest tak, a nie inaczej. Tym samym, tak jak biolog bada człowieka pod kątem działania jego organizmu, tak historyk pod lupę bierze jego zachowania, przyglądając mu się przez mikroskop z wbudowaną opcją wehikułu czasu.

Rzecz jasna dochodzenie do prawdy nie jest tylko funkcją zachwytu, ciekawości czy dekonstrukcji. Ma także wymiar czysto utylitarny. Od jesieni 2025 roku zasiadam w Niezależnej Komisji Historycznej ds. Nadużyć Seksualnych w Archidiecezji Łódzkiej. Jej cele są czysto praktyczne: określenie skali przestępstw i odnalezienie ewentualnych pokrzywdzonych. Już na obecnym etapie badań można stwierdzić, że przyszły raport będzie zawierał szereg porad praktycznych dotyczących funkcjonowania instytucji, prowadzenia działalności formacyjnej czy narzędzi kontroli. Docieranie do prawdy może budować także elementarne poczucie sprawiedliwości czy pomagać w kształtowaniu wiarygodności.

W analogiczny sposób misje historyków rozumieją ofiary drugowojennych represji lub ich rodziny. Gdy w moich rodzinnych Pabianicach odsłaniano pomnik ofiar likwidacji tamtejszego getta, uświadomiłem sobie, że przywracając imiona pomordowanych, działamy wbrew reżimowi, który chciał ich pozbawić życia. Zagłada przewidywała przecież nie tylko fizyczny mord, ale też pozbawienie człowieczeństwa i pogrążenie w zapomnieniu. Praca historyka może mieć w tym wymiarze znaczenie doniosłe, bo służące odwróceniu zła, jakie dokonało się ludzkimi rękoma.

Ostatecznie jednak warto wrócić do wspomnianej alegorii dziadka i ogniska. Zadaniem naczelnym historyka jest opowieść. Od potrzeby słuchania wszystko się przecież zaczęło. Wtórnym jest już wszystko to, co z przyjętą informacją robiono. A jeśli istotą dobrej opowieści jest to, aby była ciekawa, to przecież prawda o człowieku bywa najciekawsza, choć czasem tak trudno do niej dotrzeć.

Dr Sebastian Adamkiewicz, kustosz Muzeum Tradycji Niepodległościowych w Łodzi, członek Niezależnej Komisji Historycznej ds. Zbadania Nadużyć Seksualnych w Archidiecezji Łódzkiej

Adam Krzyż

Nauka jako produkcja

O tym, co AI ujawnia w akademii. Część III: Rewizja. Kiedy maszyna naprawdę odkrywa i co z tego wynika

Akademia, która produkuje wyłącznie specjalistów bez filozoficznego i humanistycznego zaplecza, produkuje ludzi niezdolnych do oceny własnej pracy w szerszym kontekście. Wąska biegłość bez formacji to nie wiedza – to sprawność techniczna.

Dotychczasowy wywód dotyczył AI jako narzędzia symulacji – maszyny, która pomaga brzmieć jak naukowiec bez bycia nim. Obraz ten jest jednak niekompletny. Istnieje bowiem drugi, bardziej niepokojący wymiar tego zjawiska: przypadki, w których sztuczna inteligencja dokonuje prawdziwych odkryć naukowych, i to odkryć, do których ludzie sami by nie doszli.

Najbardziej spektakularnym przykładem jest AlphaFold, system DeepMind, który w 2020 roku rozwiązał problem fałdowania białek. Przez pięćdziesiąt lat był to jeden z najtrudniejszych otwartych problemów biologii strukturalnej: jak przewidzieć trójwymiarową strukturę białka na podstawie sekwencji aminokwasów? Tradycyjne metody eksperymentalne pozwoliły przez sześć dekad opisać strukturę około 170 tysięcy białek. AlphaFold w ciągu kilku miesięcy przewidział struktury ponad 200 milionów, praktycznie wszystkich znanych. W 2024 roku jego twórcy, Demis Hassabis i John Jumper, otrzymali Nagrodę Nobla z chemii. Jest to prawdopodobnie pierwszy Nobel bezpośrednio związany z odkryciem dokonanym przez algorytm.

Podobny charakter mają osiągnięcia systemu AlphaTensor, który w 2022 roku odkrył szybszy algorytm mnożenia macierzy, bijąc pięćdziesięcioletni rekord ustanowiony przez Volkera Strassena w 1969 roku. Rok później FunSearch, łącząc duży model językowy z programowaniem ewolucyjnym, znalazł nowe rozwiązanie problemu cap set w kombinatoryce dyskretnej, problemu, który Terence Tao, zdobywca Medalu Fieldsa, nazwał swoim ulubionym otwartym pytaniem matematycznym. Wyniki były weryfikowalne, poprawne i nowe: żaden człowiek ich wcześniej nie znał.

Być może najbardziej osobistym i dlatego najbardziej wymownym przykładem jest jednak historia prof. Donalda Knutha. Ten legendarny informatyk ze Stanforda, laureat Nagrody Turinga z 1974 roku i autor monumentalnego, wielotomowego dzieła *The Art of Computer Programming*, jest jednym z ojców założycieli informatyki jako dyscypliny naukowej. Ma osiemdziesiąt osiem lat i wciąż pisze kolejne tomy. W lutym 2026 roku opublikował krótką pracę zatytułowaną *Claude's Cycles*, która zaczyna się od słów wyrażających niekłamane zaskoczenie, co jak na kogoś o tak powściągliwym stylu jest naprawdę wyjątkowe.

Chodziło o problem dekompozycji grafów skierowanych na cykle Hamiltona, zagadnienie, nad którym prof. Knuth pracował od tygodni z myślą o kolejnym tomie książki. Rozwiązał przypadek bazowy (siatka 3×3×3), jego przyjaciel Filip Stappers empirycznie potwierdził rozwiązania dla siatek do 16×16×16, ale ogólna konstrukcja – formuła działająca dla dowolnego nieparzystego m – nie istniała. Stappers podał ten sam problem modelowi Claude Opus 4.6. W ciągu godziny, na przestrzeni trzydziestu jeden prób, model przetestował podejścia algebraiczne, przeszukiwanie siłowe, wzorce serpentynowe, symulowane wyżarzanie. Trafiał w ślepe zaułki i zmieniał kierunek, w sposób, który prof. Knuth porównał do pracy doktoranta. Przełom nastąpił, gdy model samodzielnie rozpoznał strukturę matematyczną problemu jako digraf Cayleya i przeformułował podejście. Końcowa konstrukcja – zwięzły zestaw reguł wyrażalny jako krótki program w języku C – okazała się poprawna dla wszystkich testowanych nieparzystych wymiarów od 3 do 101.

Prof. Knuth sam napisał ścisły dowód matematyczny, model znalazł konstrukcję, ale formalizacja i weryfikacja pozostały dziełem człowieka. Proces wymagał też ludzkiego prowadzenia: Stappers wielokrotnie naprowadzał model, przypominał o dokumentowaniu wyników, restartował sesję po błędach. Nie była to praca autonomiczna, ale nie była też trywialna. Prof. Knuth odkrył następnie, że rozwiązanie znalezione przez model jest jednym z 760 poprawnych podejść tego samego typu. Co więcej, w ciągu dwóch tygodni od publikacji inni badacze, korzystając z różnych modeli AI, rozwiązali także przypadek parzysty, zamykając problem całkowicie. Prof. Knuth, który jeszcze trzy lata wcześniej nazywał modele językowe maszynami do symulowania wiedzy, zakończył pracę słowami: „Chyba będę musiał zrewidować swoje poglądy na temat generatywnej AI".

Co to oznacza w języku Kuhna? W *Strukturze rewolucji naukowych* Kuhn rozróżniał naukę normalną: żmudne rozwią-

zywanie zagadek w ramach istniejącego paradygmatu, od rewolucji naukowych, które paradygmat obalają. Przełomy takie następowały, gdy narastały anomalie, których paradygmat nie potrafił wyjaśnić, aż wspólnota naukowa dochodziła do kryzysu i zmiany perspektywy. Był to proces głęboko ludzki: wymagał rozpoznania anomalii, frustracji, intuicji, odwagi odrzucenia dotychczasowych założeń.

Tymczasem AlphaFold nie przeszedł przez żaden z tych etapów. Nie rozpoznał anomalii, nie przeżył kryzysu, nie zrewidował przekonań. Rozwiązał problem przez masową optymalizację w przestrzeni, która dla człowieka jest niedostępna ze względu na jej rozmiar. Odkrycie nastąpiło poza procesem, który Kuhn opisywał, i to odkrycie autentyczne, nagradzane najwyższym wyróżnieniem w nauce.

Stajemy tym samym wobec pytania, którego filozofia nauki jeszcze dobrze nie przetworzyła: czy rozumienie jest warunkiem koniecznym odkrycia? Dotychczas odpowiedź była oczywista. Dziś niekoniecznie.

Fabryka artykułów: Project APE

AlphaFold i FunSearch to przypadki, w których AI rozwiązuje konkretne, dobrze zdefiniowane problemy badawcze z wynikami weryfikowalnymi i jednoznacznymi. Istnieje jednak przedsięwzięcie, które testuje coś znacznie bardziej prowokacyjnego: czy sztuczna inteligencja potrafi prowadzić badania empiryczne od początku do końca – samodzielnie formułować pytanie, dobierać dane, przeprowadzać analizę i pisać artykuł – na masową skalę i w dyscyplinie, w której interpretacja i osąd mają fundamentalne znaczenie?

Project APE (Autonomous Policy Evaluation), prowadzony przez Social Catalyst Lab na Uniwersytecie Zuryskim, jest właśnie takim eksperymentem. System autonomicznie generuje prace z zakresu ekonomii polityki publicznej, korzystając z publicznie dostępnych danych. Do kwietnia 2026 roku wyprodukował ponad 940 artykułów roboczych i produkuje kolejne w tempie niewyobrażalnym dla żadnego zespołu ludzkiego: prawie dwieście nowych prac w ciągu jednego tygodnia.

Liczby te, same w sobie, stanowią już ilustrację problemu opisanego w poprzednich częściach tego tekstu. Dziewięćset artykułów w kilka miesięcy to output w najczystszej postaci. Pytanie brzmi: czy to jest nauka?

Twórcy projektu podchodzą do tego pytania z godną uznania otwartością. Każdy wygenerowany artykuł, wraz z kodem, danymi i historią błędów, jest publicznie dostępny. Co więcej, prace oceniane są w systemie turniejowym: każdy artykuł APE rywalizuje w bezpośrednich porównaniach z artykułami opublikowanymi w najlepszych czasopismach ekonomicznych, takich jak „American Economic Review" czy „American Economic Journal: Policy". Porównań dokonuje model AI w roli redaktora, z kontrolą pozycyjną eliminującą stronniczość kolejności.

Wyniki są wymowne i dwuznaczne. Średnia ocena Elo artykułów APE (około 1275) jest znacząco niższa od średniej artykułów z AER (1846) i AEJ: Policy (1724). Ogólny wskaźnik wygranych APE w porównaniach z ludzkimi benchmarkami wynosi zaledwie 4%. Większość wygenerowanych prac to – jak sami autorzy projektu przyznają – potencjalny odpad, pełen błędów, halucynacji, pozornych korelacji.

A jednak kilka artykułów APE przebiło się do pierwszej trzydziestki ogólnego rankingu, rywalizując z recenzowanymi pracami z czołowych czasopism. Najwyżej oceniony – analiza wpływu regionalnych limitów dopłat na ceny nieruchomości w Wielkiej Brytanii – zajmuje dwudzieste czwarte miejsce wśród niemal tysiąca prac, wyprzedzając część artykułów z AEJ: Policy. To wynik, który trudno zlekceważyć.

Project APE jest fascynujący nie dlatego, że rozstrzyga spór o rolę AI w nauce, lecz dlatego, że go inscenizuje z bezwzględną przejrzystością. Widać w nim jednocześnie obie strony medalu: masową produkcję pseudonauki i sporadyczne wytwarzanie czegoś, co przynajmniej formalnie spełnia standardy dyscypliny. Widać skalę i widać śmietnik, który ta skala za sobą zostawia. Na stronie projektu czerwonym drukiem widnieje ostrzeżenie: żadna z wygenerowanych prac nie przeszła recenzji i nie powinna służyć za podstawę decyzji politycznych.

Ale to ostrzeżenie jest jednocześnie wyznaniem pewnej bezradności. Jeśli system potrafi, choćby w nielicznych przypadkach, wyprodukować artykuł, który w ślepej ocenie rywalizuje z ludzką pracą opublikowaną w AER, to granica między nauką a jej symulacją zaczyna przebiegać w miejscu, którego nie da się łatwo wskazać. Projekt APE nie odpowiada na pytanie, czy automatyzacja badań jest możliwa. On pokazuje, że odpowiedź będzie długa, bolesna i pełna wyjątków z obu stron.

Dla niniejszego wywodu APE jest szczególnie istotny, bo stanowi idealną realizację metafory „nauki jako produkcji". Dziewięćset czterdzieści artykułów w kilka miesięcy to nie jest patologia systemu parametrycznego. To jest jego logiczna doskonałość, osiągnięta za pomocą maszyny, której nie ogranicza ani zmęczenie, ani wątpliwości, ani konieczność rozumienia tego, co pisze.

Spór o granice: polska debata

Pytania te nie są abstrakcją, toczą się już w polskim środowisku naukowym, choć jeszcze bez pełnej intensywności. Centralną postacią tej dyskusji jest prof. Piotr Sankowski z Uniwersytetu Warszawskiego, laureat czterech grantów Europejskiej Rady ds. Badań Naukowych i dyrektor Instytutu Badawczego IDEAS, powołany w 2026 roku, jako jedyny Polak, do czterdziestoosobowego Niezależnego Międzynarodowego Panelu Naukowego ONZ ds. AI.

Prof. Sankowski od kilku lat konsekwentnie stawia tezę, która w środowisku matematycznym wciąż budzi opór. Jego zdaniem matematyka będzie pierwszą dziedziną nauki, w której AI osiągnie możliwości nadludzkie, wyprzedzając w tym nawet zawody kojarzone z pracą powtarzalną. Twierdzi też wprost: naukowcy używający sztucznej inteligencji zastąpią tych, którzy jej nie używają. W rozmowach publicznych przyznaje, że słyszał sugestie, by o tym nie mówił, że środowisko matematyczne podchodzi do jego tez „bardzo sceptycznie". Sam ocenia tę postawę jako romantyczną i nieprzygotowaną na to, co nadchodzi.

W debacie zorganizowanej w marcu 2026 roku na Uniwersytecie Warszawskim prof. Sankowski precyzował jednak swoje stanowisko: sztuczna inteligencja zastępuje proste czynności, lecz wymaga od operatora większej wiedzy i doświadczenia niż dotychczas. Jako przykład podał programowanie: AI dobrze pisze kod, ale nadzór nad błędami i architekturą systemu wymaga kompetencji wyższych niż przeciętne. Prof. Alojzy Nowak, rektor UW, zaznaczył w tej samej dyskusji granicę, której przekroczyć się nie spodziewał: „sztuczna inteligencja nie może zastąpić człowieka, bo nie ma marzeń". Dr Marcin Trepczyński z Wydziału Filozofii UW dodawał, że uniwersytet nadal potrzebuje autorytetów, ludzi, którzy potrafią wiedzę głęboko przemyśleć i zrozumieć, a nie tylko przetworzyć.

Inny głos przynosi badanie, przy którym pracował dr Bartosz Naskręcki, prodziekan Wydziału Matematyki i Informatyki UAM w Poznaniu, jedyny Polak w trzydziestoosobowym międzynarodowym zespole, który w ramach projektu FrontierMath (koordynowanego przez Epoch AI) stworzył zestaw zadań matematycznych, których rozwiązanie przekracza możliwości obecnych modeli AI. Dr Naskręcki włożył w jedno zadanie wie-

dzę z piętnastu lat badań; rozwiązanie zajęło trzynaście stron gęstego tekstu matematycznego. Czołowe modele AI rozwiązują zaledwie kilka spośród pięćdziesięciu problemów na najtrudniejszym poziomie testu. Znaczący jest komentarz prof. Tymothy'ego Gowersa, zdobywcy Medalu Fieldsa. Ocenił on, że problemy FrontierMath stanowią „zupełnie inny poziom trudności niż wszystko, co AI potrafiła dotychczas rozwiązać", a prof. Igor Pak z UCLA przewiduje, że niektóre z nich mogą pozostać poza zasięgiem AI przez następne pięćdziesiąt lat.

Co ważne, dr Naskręcki nie formułuje z tego optymistycznego wniosku dla status quo: odcinanie kuponów i dopisywanie drobiazgów do istniejących teorii – dotychczasowy chleb powszedni nauki normalnej w sensie Kuhna – przestanie mieć sens. „Matematyka wróci do korzeni, będzie polegać na stawianiu odważnych pytań i proponowaniu nieoczywistych rozwiązań". Naszą przewagą nad AI mają być unikalne doświadczenia: spacer, przeczytana książka, obejrzana sztuka. Połączenia między odległymi dziedzinami, których algorytm nie doświadcza.

Jest w tym sporze widoczna zbieżność, choć wyrażona w różnym języku. Zarówno prof. Sankowski, jak i dr Naskręcki zgadzają się, że zmiana jest nieuchronna i głęboka. Różnią się natomiast co do tego, co po niej pozostanie. Prof. Sankowski kładzie nacisk na asymetrię: ci, którzy opanują pracę z AI, będą efektywniejszymi naukowcami. Dr Naskręcki wskazuje na coś trudniej mierzalnego: na szczególną wartość ludzkiego doświadczenia w generowaniu pytań, których maszyna nie potrafi sformułować, bo nie potrafi przeżyć.

Jeśli AI potrafi zarówno udawać naukę (produkować artykuły bez rozumienia), jak i uprawiać naukę (rozwiązywać problemy poza zasięgiem człowieka), konsekwencje dla instytucji akademickiej są wielorakie i trudne do przeszacowania.

Dla karier naukowych sytuacja jest szczególnie nieprzejrzysta. Doktorant, który przez lata doskonali metodę eksperymentalną lub technikę obliczeniową, może odkryć, że AI opanowała tę samą technikę w czasie, gdy on kończył pracę. Nie jest to abstrakcja, w naukach o życiu AlphaFold zdezaktualizował całe obszary badań strukturalnych w ciągu jednego roku. Kariery naukowe budowane są na założeniu, że kompetencja zdobyta przez lata ma trwałą wartość. To założenie przestało być oczywiste.

Dla przewidywalności pracy naukowej analogiczne zagrożenie dotyczy obszarów, które jeszcze nie zostały dotknięte, ale mogą zostać. Wybór specjalizacji, tematu doktoratu, metody badawczej staje się zakładem na przyszłość, w której nie wiadomo, jakie obszary pozostaną domeną ludzką. Komfort płynący z posiadania unikalnej, trudno zastępowalnej ekspertyzy – jeden z podstawowych psychologicznych fundamentów akademickiego powołania – ulega erozji.

Dla uczciwości i plagiatów tradycyjne ramy normatywne po prostu przestają przystawać do rzeczywistości. Plagiat zakładał, że ktoś przywłaszcza sobie cudze słowa lub idee. Tymczasem tekst wygenerowany przez model językowy nie należy do nikogo, a zarazem pochodzi skądinąd w sensie głębszym niż klasyczne zapożyczenie. Systemy antyplagiatowe wykrywają podobieństwo do istniejących tekstów; nie potrafią wykryć myśli, której nie było. Zarazem zbyt rygorystyczne regulacje mogą penalizować każde użycie AI, w tym użycie, które ma charakter pomocniczy i jest w pełni intelektualnie transparentne. Granica między pomocą a zastąpieniem jest cienka i przebiega przez ludzką intencję, której z zewnątrz nie widać.

Dla strategii instytucjonalnej uczelnie i wydziały stają wobec dylematów, na które nie ma gotowych odpowiedzi. Instytucja, która zakaże korzystania z AI, ryzykuje marginalizację w wyścigu badawczym. Instytucja, która nie ustali żadnych reguł, ryzykuje zalanie swoich czasopism i postępowań awansowych pracami bez intelektualnej substancji. Między tymi biegunami przestrzeń polityki akademickiej jest wciąż niemal pusta.

Być może najbardziej przeoczaną konsekwencją jest ta dotycząca samej logiki awansu. Jeśli AI może wykonać pracę, za którą przyznaje się stopnie i stanowiska, to co właściwie akademia nagradza? Jeśli odpowiedzią jest zdolność do pracy z AI i interpretacji jej wyników, to jest to odpowiedź zasługująca na uczciwe sformułowanie, nie ukrywanie pod dotychczasową nomenklaturą. A jeśli odpowiedzią jest nadal głęboka, autonomiczna wiedza ekspercka, to trzeba zbudować procedury, które sprawdzają tę właśnie wiedzę, a nie jej symulację.

W stronę odmiennej kultury akademickiej

Nie brakuje propozycji technicznych: narzędzia wykrywania AI, obowiązkowe deklaracje o sposobie korzystania z modeli, wymagania dotyczące otwartych danych i kodu. Są potrzebne, ale jednak niewystarczające i łatwe do obejścia przez kogoś zdeterminowanego. Trwalsza odpowiedź musi być kulturowa i instytucjonalna. Kilka kierunków wydaje się szczególnie wartych rozważenia.

Po pierwsze, przywrócenie znaczenia formacji ogólnej. Akademia, która produkuje wyłącznie specjalistów bez filozoficznego i humanistycznego zaplecza, produkuje ludzi niezdolnych do oceny własnej pracy w szerszym kontekście. Ortega miał rację: wąska biegłość bez formacji to nie wiedza, to sprawność techniczna.

Po drugie, zmiana metryki oceny. Kilka rzetelnych, głęboko przemyślanych artykułów powinno być warte więcej niż dzie-



Rys. Sławomir Makal

siątki papierów-odpadów. Systemy, które to umożliwiają, istnieją i są stosowane w różnych krajach z różnym skutkiem.

Po trzecie, kultura rozmowy, nie tylko publikacji. Seminaria, gdzie trzeba bronić tez; recenzje, gdzie oczekuje się merytorycznego dialogu; granty oceniane rozmową, nie tylko listą pozycji – to przestrzenie, gdzie symulacja kompetencji jest trudniejsza.

Uczciwość wymaga jednak, by w tym miejscu postawić pytanie przeciwko sobie samemu. Cały dotychczasowy wywód zakładał, jawnie lub niejawnie, że nauka jest czymś więcej niż pracą, że wymaga powołania, formacji, dojrzewania, kontaktu z tradycją myślenia. Ale co wtedy, jeśli właśnie owo romantyzowanie nauki jest częścią problemu? Co, jeśli język „powołania" i „głębi" pełni funkcję nie tyle opisową, ile obronną – chroni pewną wizję akademii, która w rzeczywistości nigdy nie była tak powszechna, jak jej obrońcy chcieliby wierzyć?

Nie brakuje bowiem ludzi, którzy odcięli ów romantyczny balast i są po prostu produktywniejsi. Traktują naukę jak pracę, rzetelną, metodyczną, ale pozbawioną aureoli. Piszą artykuły regularnie, bo taka jest struktura ich dnia, nie dlatego, że nawiedziała ich namiętność wobec problemu. Nie czytają Kuhna, bo nie muszą, ich wyniki mówią same za siebie. I gdy pojawia się AI, korzystają z niej bez egzystencjalnego kryzysu jako z kolejnego narzędzia w warsztacie, tak jak kiedyś przyjęli arkusz kalkulacyjny czy oprogramowanie statystyczne. Dla nich pytanie o „drugie dno" tekstu jest pytaniem z innej epoki, w której naukę stać było na luksus powolności.

Jest w tej postawie coś, czego nie można łatwo odrzucić. Proza akademickiego życia – pisanie grantów, zarządzanie zespołami, dotrzymywanie terminów recenzji – to właśnie jest nauka w jej codziennej formie. Większość przełomów dokonuje się nie w chwilach olśnienia, lecz w żmudnej pracy, która nie wymaga filozoficznej refleksji nad własnym sensem. Romantyzacja nauki może w istocie utrudniać zniesienie tej prozy: kto wierzy, że powinien być powołany, ten cierpi bardziej, gdy musi wypełniać formularze. Kto traktuje to jako pracę, po prostu je wypełnia i idzie dalej.



Można pójść jeszcze dalej i postawić zarzut ostrzejszy, że romantyk naukowy bywa faryzeuszem. Że powołuje się na „głębię", „formację", „tradycję myślenia" właśnie dlatego, iż są to pojęcia mętne i niemierzalne, a więc niemożliwe do zweryfikowania. Kto mówi o „dojrzewaniu intelektualnym", ten nie musi pokazywać wyników. Kto przywołuje Straussa i Ortegę, ten może ukryć za nimi własną przeciętność techniczną. Retoryka powołania staje się wówczas tarczą chroniącą przed rozliczeniem i to tarczą szczególnie wygodną, bo każda próba rozliczenia może zostać odrzucona jako „redukcjonizm" i „pogarda dla humanistyki". W tej optyce obrońca pięknoduchowskiej wizji nauki i obrońca parametrów mówią do siebie z pozycji wzajemnie nieprzenikliwych: jeden nie potrafi zmierzyć tego, co ważne, drugi nie potrafi nazwać tego, co mierzy. Obaj podejrzewają drugiego o ukrywanie słabości i obaj mogą mieć rację.

Ale i druga strona ma swoich faryzeuszy, tyle że nieświadomych. Można bowiem odwrócić zarzut i powiedzieć, że technokrata wchodzący w akademię z wynikiem i punktacją bywa nuworyszem, który nie rozumie salonów, na które próbuje wejść. Prof. Pierre Bourdieu nazwałby to nieznajomością habitusu, ukrytego zbioru reguł, gustów, odruchów i hierarchii, które w każdym polu społecznym decydują o tym, kto jest „swój", a kto jedynie udaje. Akademia, jak każda stara instytucja, posiada warstwy znaczeń, których nie da się odczytać z listy publikacji. Są seminaria, na których liczy się nie to, co powiedziano, lecz jak, jakim tonem, z jakim nawiązaniem, z jakim stopniem ironii wobec konwencji. Są hierarchie cytowań, w których powołanie się na jedno nazwisko otwiera drzwi, a na inne je zamyka. Są reguły milczenia: rzeczy, o których się wie, ale nie mówi wprost.

Człowiek z technicznym wynikiem, który przychodzi i mówi: „oto mój artykuł, mam osiemdziesiąt punktów, jestem jednym z was", może nie rozumieć, że „bycie jednym z nas" nigdy nie było kwestią punktów. Prof. Peter Sloterdijk pisał o tym, co można nazwać kontekstem psychospołecznym każdej praktyki wiedzy: o atmosferach, napięciach, niepisanych paktach, które otaczają formalne struktury jak powietrze, którego nikt nie zauważa, dopóki go nie zabraknie. Technik, który wchodzi do akademii z zewnątrz lub z jej technicznego marginesu i oczekuje, że wynik wystarczy, popełnia błąd symetryczny do błędu romantyka: romantyk nie widzi, że musi pokazać wynik; technik nie widzi, że wynik to dopiero początek. Jest to w gruncie rzeczy ten sam problem, widziany z dwóch stron: obie grupy nie rozumieją, czego nie rozumieją i obie są o tym przekonane.

Być może najcelniej ujął ten dylemat prof. Strzelecki, który w rozmowie z Wojciechem Zarembą, współzałożycielem OpenAI, zapytał: „Czy jesteś rzemieślnikiem, czy artystą?". Zaremba odpowiedział: „Myślę, że artystą". Prof. Strzelecki dopytał: „A mógłbyś być artystą, nie będąc ani trochę rzemieślnikiem?". Na co Zaremba: „Myślę, że nie. Potrzeba dwóch umiejętności, ale w sercu jestem artystą".

Ta krótka wymiana mówi więcej niż niejeden traktat o istocie pracy naukowej. Bo akademia, przynajmniej w swoim własnym micie założycielskim, chciałaby być domeną artystów, ludzi, których praca wykracza poza wykonanie, w stronę wizji, intuicji, twórczego ryzyka. Artystą nauki byłby ktoś, kto stawia pytanie, którego nikt nie stawiał, kto widzi połączenie tam, gdzie inni widzą

przepaść. To jest ten romantyczny ideał, o którym mówi się na inauguracjach i w preambułach ustaw.

Ale artysta, który nie jest rzemieślnikiem, to w najlepszym razie wizjoner, a w najgorszym fantasta. Rzemiosło w nauce to dyscyplina, umiejętność prowadzenia dowodu, projektowania eksperymentu, pisania kodu, który działa, czytania danych bez halucynacji. To odpowiedzialność za wynik, za powtarzalność, za to, że tekst nie jest konfabulacją. Artystyczne dusze mają z tą odpowiedzialnością kłopot, bo dyscyplina pachnie im biurokracją, a powtarzalność nudą. Wzniosłe pytanie o sens świata kłóci się ze żmudnym sprawdzaniem, czy kolumna w arkuszu się zgadza.

Rzemieślnik bez artyzmu produkuje poprawne, ale jałowe prace i to jego AI zastąpi najłatwiej, bo rzemiosło jest tym, co maszyna opanowuje najszybciej. Artysta bez rzemiosła produkuje wizje, których nie da się zweryfikować i to jego system parametryczny słusznie traktuje z podejrzliwością, bo piękna intuicja bez dowodu jest w nauce bezwartościowa. Zaremba, który stoi na przecięciu obu światów, odpowiedział instynktownie tak, jak odpowiedziałaby pewnie większość twórczych naukowców: potrzeba obu, ale serce jest po stronie artyzmu. Problem w tym, że system akademicki nie potrafi mierzyć serca. Mierzy rzemiosło i nagradza tych, którzy je opanowali, niezależnie od tego, czy mają w sobie cokolwiek z artysty. Produkuje zatem albo rzemieślników bez wizji, albo – gdy romantyk znajdzie sposób na przetrwanie – wizjonerów bez dyscypliny. Oba typy, z różnych powodów, są dziś łatwiejsze do zastąpienia niż kiedykolwiek.

Jest jednak jeszcze głębszy problem, którego nie widać z perspektywy sporu między romantykami a technokratami. Nastawienie technokratyczne nie tylko faworyzuje rzemieślników kosztem artystów, ono wychowuje ludzi, którzy nie podejmują ryzyka. System, w którym liczy się punktacja, grant i wskaźnik, produkuje racjonalnych aktorów optymalizujących swoje szanse. A racjonalna optymalizacja w środowisku mierzonym liczbami prowadzi zawsze w tym samym kierunku: ku bezpieczeństwu.

Mechanizm ten widać już na poziomie studenckim. Uczeń, który wie, że o przyjęciu na studia decyduje średnia ocen, nie wybiera przedmiotów trudnych i formacyjnych, wybiera przedmioty łatwe, w których dostanie piątkę. Nie dlatego, że jest leniwy, dlatego, że jest racjonalny. System nauczył go, że ryzyko porażki nie jest wliczone w nagrodę. Doktorant, który wie, że o dalszej karierze decyduje lista publikacji, nie podejmuje tematu ryzykownego, który może nie dać wyniku przez trzy lata. Wybiera temat bezpieczny, przyrostowy, metodycznie jasny, z gwarantowanym outputem. Nie dlatego, że brakuje mu odwagi, dlatego, że system karze odwagę i nagradza przewidywalność. Naukowiec piszący wniosek grantowy wie, że recenzent oczekuje wstępnych wyników potwierdzających wykonalność, a więc de facto oczekuje, że badanie zostanie w znacznej mierze przeprowadzone przed uzyskaniem finansowania. Wniosek musi obiecywać sukces. Projekty, które mogą się nie udać – a właśnie takie prowadzą do przełomów – są systemowo dyskryminowane, bo nikt nie chce finansować niepewności.

To jest darwinizm akademicki w najczystszej postaci i jego najgroźniejsze oblicze. Nie chodzi już o to, że system promuje słabych kosztem silnych ani że mierzy nie to, co powinien. Chodzi o to, że zmienia zachowanie tych, którzy w nim funkcjonują. Najzdolniejsi młodzi ludzie uczą się, że mądrze jest nie ryzykować. Że bezpieczny artykuł wart jest więcej niż ambitna porażka. Że „aplikowalność" i „przewidywany wpływ" to magiczne słowa wniosku grantowego, a „nie wiem, co z tego wyjdzie, ale pytanie jest fascynujące" – to zdanie samobójcze.

Ale najgłębsza szkoda jest może najtrudniejsza do zmierzenia: w takim systemie nie opłaca się robić tego, co człowieka naprawdę interesuje. Zainteresowanie, autentyczna, osobista fascynacja problemem jest w logice grantowej irrelewantna, a czasem wręcz podejrzana, bo sugeruje emocjonalność tam, gdzie oczekuje się chłodnej kalkulacji wpływu. Młody naukowiec uczy się nie pytać: „co mnie ciekawi?", lecz: „co jest teraz finansowane? jaki temat da się wpisać w priorytet strategiczny? jaki problem ma już wstępne wyniki, które mogę rozwinąć w bezpieczny artykuł?". Zamiast podążać za intuicją, wpasowuje się w kontekst. Zamiast budować własny program badawczy, adaptuje się do cudzego. Zamiast ryzykować oryginalność, reprodukuje warianty tego, co już zostało nagrodzone. Jest to rodzaj akademickiego mimetyzmu, naśladowania zachowań, które system rozpoznaje jako sukces. Doktorant patrzy na habilitanta, habilitant na profesora, profesor na laureata grantu ERC i każdy z nich powiela strategie, które działają, to znaczy przynoszą punkty, awanse, finansowanie. Strategia, która działa, to z reguły strategia bezpieczna: znana metodologia, modny temat, rozsądny zakres, realistyczny harmonogram. Nikt nie jest winny, każdy jest racjonalny. Ale suma tych racjonalnych wyborów tworzy środowisko, w którym oryginalność jest kosztem, nie aktywem, i w którym pytanie „dlaczego to mnie fascynuje?" zostaje zastąpione pytaniem „czy to się zmieści w formularzu?".

Weber pisał, że powołanie naukowe zaczyna się od namiętności wobec problemu, który nie daje spokoju. System parametryczny nie zabrania tej namiętności, ale systematycznie ją wygasza, zastępując ją czymś znacznie mniej wymagającym: umiejętnością dopasowania się do tego, co mierzalne. I tu pojawia się ostateczna ironia: AI jest doskonałym narzędziem właśnie dla tak ukształtowanego naukowca, bo dopasowywanie się do kontekstu, reprodukcja wariantów, bezpieczne rozwinięcie cudzego pomysłu to dokładnie to, do czego modele językowe zostały wytrenowane.

Efekt jest kumulatywny i samowzmacniający. System wychowuje pokolenie naukowców unikających ryzyka. Ci naukowcy zasiadają następnie w komisjach grantowych i recenzenckich, gdzie kierując się własnym doświadczeniem, nagradzają projekty bezpieczne i karzą ryzykowne. Koło się zamyka. Akademia staje się maszyną do produkcji przyrostowej wiedzy, która nie potrzebuje ani artystów, ani wizjonerów, i która, nawiasem mówiąc, jest idealnym środowiskiem dla AI, bo przyrostowa, bezpieczna, metodycznie przewidywalna praca to dokładnie to, co modele językowe robią najlepiej.

Ryzyko jest jednak takie, że pragmatyzm pozbawiony refleksji sam nie rozpozna momentu, w którym przestaje być efektywny, a staje się jałowy. Człowiek, który pisze artykuły regularnie i sprawnie, ale nigdy nie pyta, po co, jest dokładnie tą postacią, którą Ortega opisał jako barbarzyńcę specjalistę, a AI zastępuje jako pierwszą. Paradoks romantyzmu naukowego polega na tym, że jest on jednocześnie luksusem, na który akademia nie może sobie pozwolić, i koniecznością, bez której nie wiadomo, czym akademia różni się od biura.

Weber pisał, że nauka jako powołanie wymaga czegoś więcej niż metodycznej sprawności: wymaga namiętności wobec problemu i gotowości do poświęcenia lat na pytanie, które może nie przynieść odpowiedzi. Ta postawa jest dziś rzadka nie dlatego, że ludzie stali się gorsi, lecz dlatego, że system jej nie nagradza.

Sztuczna inteligencja stawia przed akademią pytanie, które i tak trzeba było postawić: czym właściwie jest wiedza naukowa i co akademia powinna wytwarzać? Produkcję tekstów? Czy formację myślących ludzi? Odpowiedź na to pytanie nie leży w regulacjach dotyczących AI. Leży w tym, jak akademia rozumie swoje własne powołanie.

(Za życzliwą lekturę, dyskusję i uwagi dziękuję Jakubowi Ryłowowi. A. Krzyż)

Zbigniew Drozdowicz

Talenty w nauce

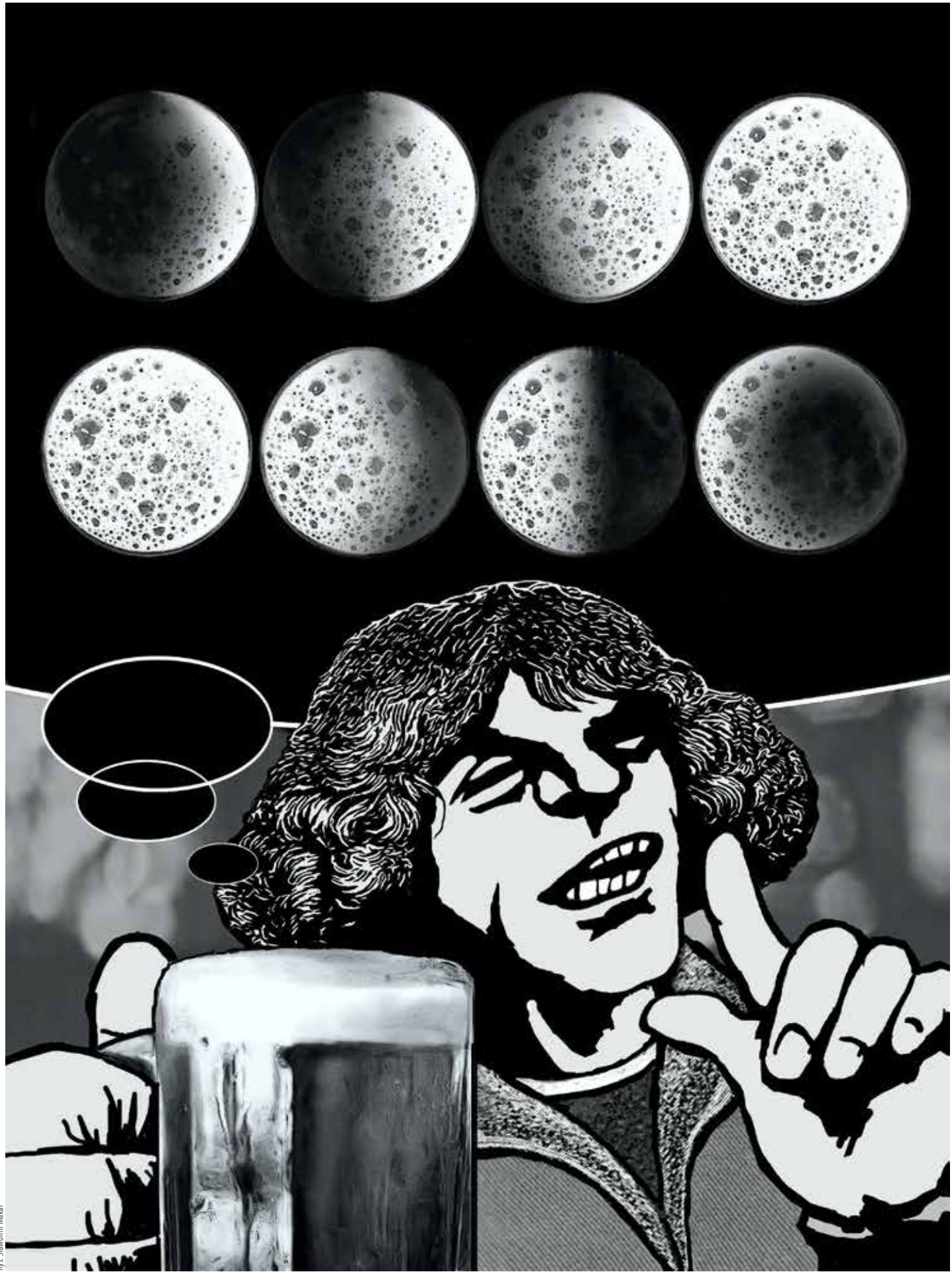
Są obszary ludzkiej aktywności, w których do osiągnięcia życiowych i zawodowych sukcesów potrzebna jest przede wszystkim pracowitość i doświadczenie. Takim obszarem są badania naukowe. Jednak te zalety nie wystarczają, aby dokonać w nauce znaczącego ustalenia. Tym, co stanowi warunek konieczny sukcesu, jest posiadanie wyjątkowego talentu. Ma on istotnie różniące się formy wyrazu w różnych naukach i na różnych etapach intelektualnego rozwoju uczonych.

Talenty z urodzenia

O tym, czy ktoś ma odpowiedni talent do prowadzenia badań naukowych, można z dużym przekonaniem powiedzieć wówczas, gdy dokona on przełomowego odkrycia. Takich uczonych jest stosunkowo niewielu. Historia nauki jednak dowodzi, że wielkie talenty z urodzenia się zdarzały i pozwalały osiągnąć naukowy sukces często na przekór najbliższemu otoczeniu. Za taki talent można uznać Galileusza. Lista jego naukowych osiągnięć jest zróżnicowana, obejmuje zarówno astronomię i fizykę, jak też mechanikę i jej praktyczne zastosowania. Tym co je łączy, jest matematyka stosowana do m.in. obserwacji, które dla innych uczonych nie warte były zainteresowania. Przykładem może być określenie właściwości ruchu wahadłowego na podstawie obserwacji wahań żyrandola w katedrze w Pizie. Do rozwijania zdolności łączenia matematyki z mechaniką nie zachęcały Galileusza ani najbliższa rodzina (jego ojciec uważał, że nie zapewni to mu godziwych warunków życia), ani akademickie otoczenie (był wykładowcą tzw. czystej matematyki najpierw na uniwersytecie w Pizie, a później we Florencji). Natomiast do łączenia jej z „mechaniką sfer niebieskich" wręcz zniechęcały go ówczesne władze kościelne, a nawet wymogły na nim uznanie naukowej teorii heliocentrycznej Kopernika za całkowicie fałszywą.

Talentem z urodzenia był również Izaak Newton. Urodził się w rodzinie w miarę zamożnego, ale niepiśmiennego chłopa. Podstawowe wykształcenie otrzymał w wiejskiej szkole w rodzinnym Colsterworth, a później w grammar scholl w Grantham. Już wtedy wyróżniał się uzdolnieniami do konstruowania urządzeń mechanicznych, jak np. zegar wodny. Na podjętych w 1661 roku studiach w Kolegium Świętej Trójcy Uniwersytetu Cambridge wykazał się m.in. talentem w zakresie matematyki, optyki, astronomii. Wprawdzie uczelnia miała stosunkowo długą akademicką tradycję, jednak zarówno poziom prowadzonych w niej badań, jak i kształcenia studentów był wówczas daleki od doskonałości. Nie przeszkodziło to Newtonowi w uzyskaniu kwalifikacji, które pozwoliły mu w 1668 roku otrzymać kierownictwo prestiżowej Katedry Matematyki Lucasa. Z tego okresu pochodzi m.in. jego teoria barw oraz odkrycie siły grawitacji. O jej działaniu miał się ponoć osobiście przekonać, doświadczając spadającego mu na głowę jabłka. Jeśli nawet jest to jedynie legenda, to dobrze pokazuje nadzwyczajną zdolność uczonego do kojarzenia pozornie błahych zdarzeń z siłami działającymi w makroświecie. Przedstawił je w opublikowanym w 1687 roku fundamentalnym dziele *Matematyczne zasady świata naturalnego*. Nawet laikom może ono imponować zarówno swoją obszernością, jak i drobiazgowością wyliczeń i ich zestawień. Natomiast dobrze zorientowanym w realiach fizykalnych świata uczonym, jak Albert Einstein, zaimponowało też trafnością w opisywaniu i objaśnianiu jego realiów. Podziwowi dla naukowych osiągnięć Newtona dał on wyraz m.in. w napisanej wspólnie z Leopoldem Infeldem książce pt. *Rozwój fizyki*. W świetle tego dzieła ustalenia angielskiego uczonego wyznaczają nową epokę w fizyce.

Zdaniem autorów tej książki naukowe dokonanie Newtona miały co najmniej jedno istotne uproszczenie. Stanowiła je „próba sprowadzenia wszelkich zdarzeń fizycznych do samych ruchów niezmiennych samych w sobie atomów. Przestrzeń, czas, atomy – te ostatnie wyposażone w bezwładność i siły oddziaływania wzajemnego – wydawały się jedyną możliwą do pomyślenia podstawą wszelkiej teorii fizycznej. Wtedy nastąpiła pierwsza wielka zmiana, którą stanowiło stworzone przez Faradaya i Maxwella pojęcie pola elektrycznego i magnetycznego. Owo pojęcie pola uzyskało fundamentalną niezależność obok cząstek materialnych". Kolejnym przełomem w fizyce teoretycznej było uwolnienie tego pola przez Heinricha Hertza „od wszelkich dodatków zasobów pojęciowych mechaniki, a przez H.A. Lorentza od „nośnika materialnego". „Teoria Maxwella-Lorentza z koniecznością prowadziła do szczególnej teorii względności, która wraz ze zniszczeniem pojęcia absolutnej równoczesności wykluczyła istnienie sił działających na odległość" i „wykazała również, że prawo ruchu Newtona można uważać jedynie za prawo graniczne spełnione tylko dla małych



Rys. Sławomir Makal

prędkości". Teorię tę Einstein sformułował w 1905 roku, natomiast w 1915 roku sformułował uogólnioną teorię względności. W 1921 roku otrzymał Nagrodę Nobla za „wkład do fizyki teoretycznej, zwłaszcza opis prawa efektu fotoelektrycznego". Jest wprawdzie sprawą dyskusyjną, czy był on matematycznym talentem z urodzenia (według jego akademickiego nauczyciela Hermanna Minkowskiego w okresie studiów na Politechnice w Zurychu miał trudności w zrozumieniu niektórych problemów matematycznych), jednak poza dyskusją jest to, że posiadał wyjątkowe uzdolnienia w fizyce teoretycznej. Sprawiły one, że jego obraz świata naturalnego stanowił na tyle znaczącą korektę obrazu nakreślonego przez Newtona, że klasyczna fizyka okazała się zestarzała.

Talenty z olśnienia

Nauka często kontestuje zastane teorie i metody badawcze, ale dopóki nie znajdzie lepszych, warunkowo akceptuje te, które są. Krytyczni albo mniej utalentowani uczeni poprzestają na kontestowaniu. Natomiast bardziej utalentowanym zdarzają się umysłowe olśnienia, które oznaczają zasadniczą zmianę w myśleniu o świecie. Wprawdzie nie znaleziono dobrej metody na prowokowanie takiego olśnienia, jednak można wskazać przynajmniej kilka sytuacji, w których miało ono miejsce. Takie olśnienie przeżył w wieku 23 lat filozof i matematyk francuski Kartezjusz (wł. René Descartes) podczas snu 10 listopada 1619 roku. Z jego opisu wynika, że skłoniło go ono do zmiany dotychczasowego życia z żołnierskiego na naukowe i poświecenia się poszukiwaniu prawd w naukach, a także upewniło go w wierze w siłę własnego umysłu (por. F. Alquié, *Kartezjusz*). W pierwszej kolejności zajął się poszukiwaniem prawd w naukach w największym stopniu zależnych od ludzkiego umysłu, w których wykazywał spore uzdolnienia. Była to matematyka, a ściślej geometria analityczna i algebraiczna. Do jego znaczących osiągnięć w tym zakresie należą: wskazanie – wspólnie z Pierre'em Fermatem – współrzędnych pozwalających określić miejsce w przestrzeni, nazywanych współrzędnymi kartezjańskimi; rozszerzenie tych poszukiwań na obszar fizyki (sformułował w niej m.in. zasadę stałej ilości ruchu we wszechświecie) oraz na filozofię pretendującą do miana wiedzy pewnej i prawdziwej. Formułowane przez niego teorie były później korygowane m.in. przez Newtona (np. kartezjańska teoria ruchów wirowych). Jednak osiągnięcia Kartezjusza były znaczące w każdym z obszarów jego badań, a jego oparta na wierze w moc ludzkiego rozumu filozofia jest uznawana za głęboki przełom w tradycji filozoficznej.

O talencie z olśnienia można również mówić w przypadku Karola Darwina. Wyglądało ono jednak zupełnie inaczej niż w przypadku Kartezjusza. Przede wszystkim przebiegało wolniej, związane było bowiem z odbytą w latach 1831-1836 podróżą krajoznawczą do Ameryki Południowej na statku HMS *Beagle*. Dwudziestodwuletni Darwin wziął w niej udział jako przyrodnik amator, nie miał bowiem przyrodniczego wykształcenia (ukończył studia teologiczne na Uniwersytecie Cambridge). Swoje poglądy na temat praw przyrody opierał na wierze w boski kreacjonizm. W napisanej w późniejszych latach *Autobiografii* przyznał, że na początku podróży doszukiwał się we wszystkich obserwowanych zjawiskach „ręki Boga". Jednak w miarę jej trwania coraz bardziej był zauroczony różnorodnością świata przyrody i żyjących w nim tubylczych ludów, aż w końcu doszedł do wniosku, że musi to być spowodowane procesem ewolucji. W opublikowanej w 1859 roku książce pt. *O powstaniu gatunków drogą doboru naturalnego* nie pojawia się twierdzenie, że człowiek pochodzi od małpy. Taką tezę wyprowadził z teorii Darwina jego najbliższy uczeń i współpracownik Thomas H. Huxley. Wywoła ona falę krytyki ze strony środowisk tradycjonalistycznych. Na rozpowszechnianym wówczas plakacie przedstawiano małpę z głową Darwina. W późniejszych wydaniach swego dzieła uczony zamieścił oświadczenie, że podpisuje się pod poglądem, że człowiek pochodzi od małpy. Trzeba dodać, że według Darwina procesy ewolucji dotyczą także świata nieożywionego, w tym zmian geologicznych. Swoje poglądy na ten temat przedstawiał m.in. w opublikowanej w 1844 roku książce pt. *Geologiczne obserwacje Ameryki Południowej*. Darwin powołuje się jednak nie na olśnienia, lecz na obserwacje i przemyślenia. To zrozumiałe w epoce scjentyzmu, który stał w opozycji do chrześcijańskiej religijności bazującej na wierze w boskie objawienia.

Talenty filozoficzne

Wielkie talenty nie pojawiają jedynie w fizyce czy biologii. Występują również w innych naukach, również humanistycznych i społecznych. Chciałbym powiedzieć kilka słów o ich występowaniu w filozofii, jednak bez rozstrzygania, której z form jej uprawiania bliżej do naukowości. Najistotniejsze jest bowiem to, aby była to filozofia zdolna zdobyć się na uogólnienia, które podlegają naukowej weryfikacji i – co nie mniej istotne – wyjść z honorem z takich sprawdzianów. Zajmując się przez ponad pół wieku analizowaniem różnych filozoficznych stanowisk i poglądów, mogę z przekonaniem powiedzieć, że stosunkowo najdłuższy żywot miały te posiadające logikę, której filary są trudne do podważenia. Do jej wypracowania trzeba również mieć duży talent. Posiadali go zarówno Sokrates, jak i jego najbliższy uczeń Platon. Znakiem rozpoznawczym stosowanej przez nich logiki jest to, że rozważa się w niej różne „za" i „przeciw", aby dojść do tego, co najbardziej prawdopodobne. Realizuje się to w rozmowach, które mogą czegoś nauczyć obie strony. Innego rodzaju logikę stosował Arystoteles. Nazywał ją analityką, bowiem realizowana była poprzez analizę pojęć i twierdzeń zmierzającą do wyeliminowania niejasności i sprzeczności, aż do stwierdzenia, że doszło się do pewników.

W późniejszych wiekach dialektyka i analityka miały co najmniej kilka istotnie różniących się wersji. W średniowiecznej scholastyce zostały „pożenione", w końcu jednak zaczęli spoglądać na nie z pogardą m.in. Erazm z Rotterdamu i Kartezjusz. Wymieniam tych dwóch filozofów, bowiem każdy z nich zaproponował swoją metodę dochodzeniu do prawdy. Erazm wypracował metodę sceptyczną, w której najistotniejsze kwestie są argumentowane „tak" i „nie" oraz rozstrzygane przez osobę uznawaną za mistrza. Kartezjusz zastosował metodę krytycznego wątpienia, w której pod znakiem zapytania stawiane są wszystkie twierdzenia, wobec których można zgłosić poważne zastrzeżenia i pozostają jedynie te całkowicie pewne i prawdziwe dla każdego, kto należycie posługuje się umysłem.

W późniejszym okresie pojawiło się kilka pokoleń utalentowanych filozofów, którzy potrafili prowadzić polemiki praktycznie ze wszystkimi naukowymi autorytetami. Świadczyło to jednak bardziej o ich filozoficznej odwadze niż rozwadze, bowiem w lepszym wariancie przekształcili filozofię w rodzaj eseistyki, natomiast w gorszym w publicystkę, która „żywi się" incydentalnymi wydarzeniami i razem z nimi przemija. Dzisiaj znajdują oni naśladowców w utalentowanych publicystach, którzy filozoficzne myślenie i mówienie traktują jako dobrą formę imponowania mało wymagającym konsumentom kultury masowej i spotykają się z uznaniem z ich strony. Jednak nawet interesująca publicystyka nie jest w stanie zastąpić filozofii, która posługuje się godną uznania uczonych logiką i metodologią.

Marta Wróblewska

Ucieczka od niepewności – w ramiona punktozy

Jako społeczeństwo dążymy do unikania ryzyka oraz do stabilizacji norm za wszelką cenę. W konsekwencji, podchodzimy rygorystycznie do przepisów, oczekując jasnych i jednoznacznych instrukcji. Unikamy sytuacji niedookreślonych, generujących ryzyko.

W tym roku akademickim składałam aplikacje w dwóch programach dla młodych naukowców. Ubiegałam się o Stypendium MNISW dla wybitnych młodych naukowców i grant Lider Up z NCBR-u. W obydwu przypadkach proces aplikacji był czasochłonny, a aplikacja została mi zwrócona przez instytucję do poprawy. Czy chodziło o uzupełnienie szczegółów moich projektów badawczych, uzasadnienie wkładu do rozwoju dyscypliny lub inne informacje niezbędne do merytorycznej oceny mojego profilu? Nie, za każdym razem poprawki dotyczyły aspektów formalnych. W jednym przypadku musiałam umieścić podpis kwalifikowany na załączonych dyplomach, w drugim przesłać dodatkowe potwierdzenie odbytego lata temu stażu.

Łatanie formalnych dziur

Nie skarżę się na proces aplikowania o środki na naukę jako taki. Nie przeszkadza mi żmudne opracowywanie nowego projektu, pogłębianie znajomości literatury czy nawet praca nad budżetem, matrycą ryzyk itd. To wszystko są elementy pracy naukowej, które, niezależnie od ostatecznego wyniku procesu, wzmacniają mnie jako badaczkę. Zadaję sobie jednak pytanie, czy rzeczywiście najlepszą inwestycją czasu naukowców, a także pracowników instytucji państwowych jest skrupulatne dokumentowanie każdego stwierdzenia w każdym CV?

Jedna z instytucji nie chciała mi uwierzyć na słowo, że jestem współautorką artykułów, w których figuruje moje nazwisko. Musiałam zebrać podpisane deklaracje współautorów, którzy potwierdzali mój „wkład procentowy" w dane dzieło. Inna jednostka nie zaakceptowała zrzutu ekranu ze strony unijnego programu, który wskazywał, że zatwierdzono raport z odbytego stażu. Musiałam zdobyć opieczętowane zaświadczenie od koordynatora. A to wszystko na etapie aplikacji – jeśli nie dostanę grantu, wysiłek mój oraz instytucji poświęcony na papierologię można uznać za zmarnowany.

Dla porównania, w tym samym roku aplikowałam (z sukcesem) o mały grant badawczy od prywatnej brytyjskiej firmy zarządzającej danymi. Aplikacja miała cztery strony długości. Nie musiałam załączać ani dyplomów, ani oświadczenia instytucji o zatrudnieniu, ani potwierdzenia autorstwa artykułów. Umówmy się: wszystkie te rzeczy dość trudno byłoby mi sfingować. Zaoszczędzony czas zarówno ja, jak i pracownicy firmy możemy przeznaczyć na merytoryczną pracę nad projektem. Sam proces oceny trwał zaś dwa miesiące, a nie sześć do dziesięciu.

Tęsknota za wskaźnikami

Głęboki brak zaufania między polskimi instytucjami a obywatelami jest widoczny w wielu aspektach życia naukowego. Przykładem jest trzecie kryterium ewaluacji, czyli wpływ społeczny. W toku moich badań nad instytucjonalizacją tego pojęcia dość często spotykałam się z zarzutem „uznaniowości" oceny wpływu społecznego. Wiele osób twierdzi, że kryterium należałoby „owskaźnikować", a ocenę uczynić bardziej obiektywną. Tymczasem już teraz ocena wpływu społecznego w dużej mierze opiera się na aspektach formalnych (zgodność dokumentu głównego z załącznikami). Dwa kryteria oceny ujęto zaś w sztywne ramy punktowe. Odeszliśmy daleko od modelu jakościowej oceny eksperckiej, w który pierwotnie miało wpisywać się to kryterium. W efekcie „miękką" materię, jaką są relacje jednostek z zewnętrznymi podmiotami, interakcje, przepływ wiedzy i inspiracji, na siłę wciskamy w sztywny gorset formalizmów.

Czy jednak jedyną alternatywą wobec wskaźników i punktów jest zdanie się na „arbitralną" ocenę ekspertów? Absolutnie nie! W ramach jednego z moich projektów prowadzę obecnie wywiady z pracownikami uczelni dotyczące ewaluacji w trzecim kryterium. Respondenci zgodnie potwierdzają, że im dłużej pracują w przestrzeni pomiędzy badaniami naukowymi a ich wdrożeniem, tym ostrzejszy staje się ich „zmysł dostrzegania wpływu". To zjawisko znane naukom społecznym pod nazwą „professional vision". Tak jak księgowy w mig dostrzega błąd w PIT-cie, a nauczyciel wypracowanie napisane przez AI, tak ekspert od wpływu potrafi niemal bezbłędnie oddzielić realny wpływ od tego „napompowanego" na potrzeby ewaluacji. Co więcej, widzi też obszary badań, w których tkwi potencjalny wpływ, czekający na wdrożenie.

Właśnie dlatego w Wielkiej Brytanii – „ojczyźnie" ewaluacji wpływu społecznego – stawia się nie na obudowywanie ewaluacji kolejnymi wskaźnikami, a na tworzenie wokół tego obszaru działalności „infrastruktury". Większość uniwersytetów ma już dziś oddzielnych specjalistów od wpływu (niekiedy całe zespoły), którzy wspierają badaczy przez cały cykl ewaluacji, a nie tylko poganiają na „ostatniej prostej". Wyniki ewaluacji skrupulatnie się analizuje, żeby wychwycić niewykorzystane jeszcze szanse na wpływ i zainspirować się osiągnięciami konkurencji. Opowieści o własnych sukcesach wykorzystuje się zaś marketingowo. Tymczasem ogromna baza danych o wpływie społecznym polskiej nauki, jaką jest RAD-on, leży niewykorzystana. Jako sektor podeszliśmy do ewaluacji wpływu społecznego jak mało ambitny student, na zasadzie: zakuć, zdać, zapomnieć.

Dążenie do stabilizacji (za wszelką cenę)

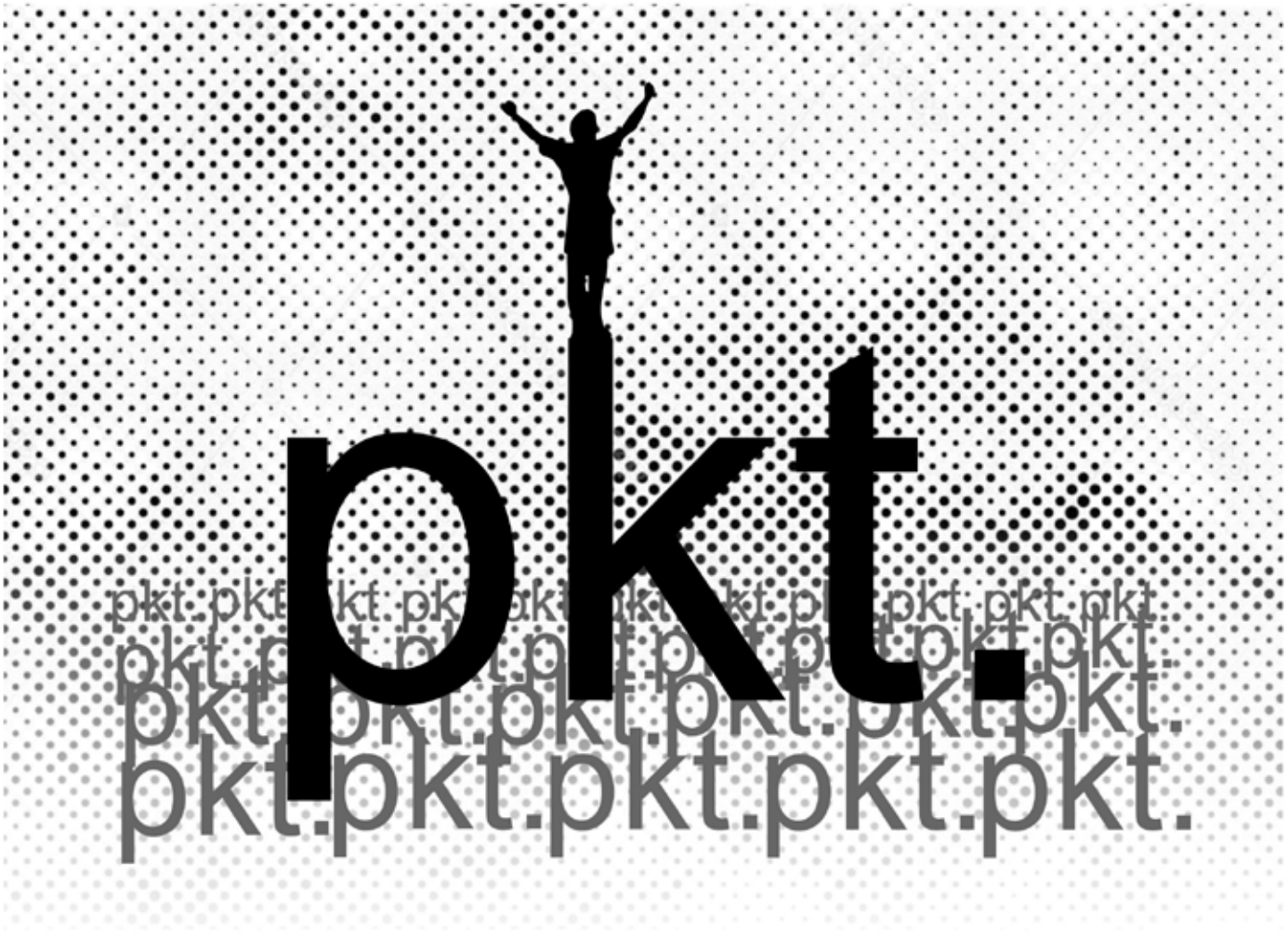
Teoretycznie nikt nad Wisłą nie chce punktozy. Każdy widzi jej absurdy. Bo sztywne regulacje, listy czasopism oraz KEN-owskie przewodniki nie przystają do zniuansowanej rzeczywistości. Ale z drugiej strony wzdrygamy się przed oddaniem władzy w ręce ekspertów. No bo kto ich wybiera? Kto ich szkoli? Jest dużo wątpliwości (które i ja podzielam).

Istnieje naukowe wyjaśnienie tego „rozdwojenia jaźni". Dużo można wyczytać ze słynnej matrycy wymiarów kultury psychologa Geerta Hofstede. Polska ma wyjątkowo wysoki wynik w wymiarze „unikania niepewności" (UAI). Co to oznacza? Że jako społeczeństwo dążymy do unikania ryzyka oraz do stabilizacji norm za wszelką cenę. W konsekwencji, podchodzimy rygorystycznie do przepisów, oczekując jasnych i jednoznacznych instrukcji. Unikamy sytuacji niedookreślonych, generujących ryzyko. Społeczeństwa, które mają niski wynik w wymiarze niepewności, podchodzą do przepisów bardziej elastycznie i są bardziej otwarte na ich zmianę.

Wykres 1 (źródło danych: https://www.theculturefactor.com/) zestawia wynik Polski w wymiarze UAI z wynikami innych państw, które wprowadziły ewaluację „wpływu społecznego": Australią, Zjednoczonym Królestwem, Norwegią i Hongkongiem. Wykres jest spójny z wynikami moich własnych badań. W krajach o niskim UAI ewaluacja wpływu społecznego jest przedsięwzięciem służącym przede wszystkim udzieleniu informacji zwrotnej i planowaniu strategicznych zmian. W krajach o wysokim UAI staje się narzędziem kontroli i dyscypliny.

Temat aż prosi się o pogłębienie. Warto by przyjrzeć się danym z projektu GLOBE, który niuansuje wymiary Hofstedego, zestawiając status quo i stan pożądany. To rzuciłoby światło na kwestię czy trzymamy się sztywno zasad, bo uważamy że tak być powinno, czy może jednak chcielibyśmy mieć więcej elastyczności? Można też pochylić się nad przykładem Ukrainy, która ma bardzo zbliżony do Polski profil w wymiarze unikania niepewności i także niedawno wprowadziła ewaluację wpływu społecznego. Chętnie przeprowadziłabym szerszą analizę. Może nawet wyniki zainteresowałyby twórców polityk ewaluacyjnych? Ale, ale… wzywają mnie moje papiery!

Marta Wróblewska – filozofka, doktor językoznawstwa. Impact Ninja. Adiunkt w Instytucie Nauk Humanistycznych Uniwersytetu SWPS. Autorka poradnika „Jak napisać opis wpływu społecznego".



Rys. Sławomir Makal

Marek Wroński

Nagana za plagiat

Ani spółka, ani rektor, ani żaden z rzeczników dyscyplinarnych nie zawiadomili prokuratury, mimo że popełniony czyn jest przestępstwem, gdyż fałszowanie protokołu z badań było powiązane z zawartą umową prawną. Można to przełożyć na poświadczenie nieprawdy z próbą wyłudzenia honorarium za niewykonane badania.

Historia, którą przedstawiam, jest zapewne typowa dla większości naszych uczelni, gdzie trudne i bulwersujące sprawy nie podlegają dyskusji w miejscu, w którym się zdarzyły, a środowisko uczelni dowiaduje się o nich z prasy.

Dr hab. Agnieszka Najda, prof. UP, całą swoją karierę naukową przeprowadziła na Uniwersytecie Przyrodniczym w Lublinie. W 1996 r. w ówczesnej Akademii Rolniczej uzyskała dyplom magistra inżyniera rolnictwa, a następnie w 2004 r. obroniła doktorat w specjalności warzywnictwo i rośliny lecznicze. W 2017 r. na podstawie monografii *Zmienność ontogenetyczna mięty* (*Mentha* species) *czynnikiem warunkującym zawartość składników bioaktywnych w surowcu* otrzymała stopień doktora habilitowanego w dziedzinie nauk rolniczych i ogrodnictwa. Pracuje w Katedrze Warzywnictwa i Zielarstwa (kierownik: prof. dr hab. Renata Nurzyńska-Wierdak) Wydziału Ogrodnictwa i Architektury Krajobrazu (dziekan: prof. dr hab. Katarzyna Dzida). Od 2008 r. do 2025 r. Agnieszka Najda kierowała tam Pracownią Jakości Warzyw i Surowców Zielarskich. Była uważana za motor naukowy nie tylko katedry, w której pracowała, ale i całego wydziału, wzbogacając jego konto licznymi wysoko punktowanymi artykułami. Jej obecny Index Hirscha wynosi 41, zaś na swoim autorskim koncie posiada 162 publikacje naukowe, które według technologiczno-naukowej platformy internetowej Argos amerykańskiej firmy Scitility cytowano 5026 razy.

Retrakcyjna rywalizacja?

Niestety, dr hab. Agnieszka Najda jest także współautorką sześciu artykułów w języku angielskim, które zostały unieważnione (retraktowane) przez redaktorów naczelnych zagranicznych czasopism naukowych. Tym samym pobiła poprzedni, mało zaszczytny rekord uczelniany w postaci pięciu artykułów naukowych formalnie unieważnionych z powodu plagiatów. Ich współautorami byli członkowie grupy badawczej z Wydziału Nauk Weterynaryjnych: prof. UPL dr hab. Sebastian Gnat i jego doktorant dr Dominik Łagowski z Zakładu Mikrobiologii Weterynaryjnej oraz prof. dr hab. Aneta Nowakiewicz. Była ona wtedy kierownikiem Katedry Przedklinicznych Nauk Weterynaryjnych, w skład której wchodził wymieniony zakład, oraz współautorką każdej z pięciu retraktowanych publikacji, które ukazały się w kwartalniku „Postępy Mikrobiologii", dziś wydawanym pod tytułem „Advancements of Microbiolology" przez Polskie Towarzystwo Mikrobiologów. Czytelnikom zainteresowanym detalami tej historii polecam artykuł pt. *Pięć retrakcji*, opublikowany w marcowym numerze „Forum Akademickiego" z 2023 r.

Można powiedzieć, że sprawa tych plagiatów rozeszła się „po kościach". Prof. Sebastian Gnat w postępowaniu dyscyplinarnym został ukarany 26 czerwca 2023 r. zaledwie naganą. Zrezygnował z pracy na uczelni i odszedł z nauki, zrywając wszelkie kontakty z kolegami z pracy i znajomymi. Dr Dominik Łagowski, któremu z końcem lutego 2023 roku nie przedłużono zatrudnienia na UPL, otrzymał od 1 stycznia 2024 r. etat adiunkta w Katedrze Nauk Przedklinicznych i Chorób Zakaźnych (kierownik: prof. Małgorzata Pomorska-Mól) Wydziału Medycyny Weterynaryjnej i Nauk o Zwierzętach Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu (dziekan: prof. Małgorzata Szumacher, czł. koresp. PAN). Jego trzy współautorskie artykuły retraktowane z powodu plagiatu nie były przeszkodą w uzyskaniu zatrudnieniu w kolejnej uczelni. W lipcu 2024 r. dr Łagowski otrzymał nawet grant Narodowego Centrum Nauki w programie Miniatura 8. Natomiast prof. Aneta Nowakiewicz w październiku 2024 r. otrzymała tytuł profesorski, a na początku listopada 2024 r. została dziekanem Wydziału Medycyny Weterynaryjnej UP w Lublinie.

Warto wspomnieć, że rzecznik dyscyplinarny, prof. Mariusz Florek, nie wszczął wobec prof. Nowakiewicz nawet postępowania wyjaśniającego w sprawie wspomnianych 5 plagiatowych artykułów, których była współautorką. W notatce służbowej z 22 września 2022 r. uznał, że jej rola jako współautorki była nieznaczna. Ograniczyła się głównie „do sprawdzenia treści artykułu pod kątem zgodności tematycznej z profilem czasopisma oraz pod względem zgodności z reprezentowaną dyscypliną naukową, jak również czy manuskrypt zawiera aktualne informacje z przedmiotowej tematyki i czy zachowano prawidłowość wnioskowania".

Sześć retrakcji

Pierwsza retrakcja dr hab. Agnieszki Najdy dotyczyła artykułu przeglądowego pt. *Potential Role of Natural Products to Combat Radiotherapy and Their Future Perspectives* w czasopiśmie „Molecules", wydawanym przez MDPI. Publikacja ukazała się w październiku 2021 r., zaś retraktowano ją dwa lata później, 15 grudnia 2023 r. Zespół autorski w tej poglądowej pracy liczył aż 9 osób, głównie z egzotycznych dla nas krajów, takich jak Bangladesz, Pakistan i Chiny. Agnieszka Najda była drugim współautorem i jednym z trzech autorów-korespondentów, zaś pierwszym autorem była farmaceutka, dr Rokeya Aker z Dhaki w Bangladeszu. Jak podała redakcja czasopisma, przyczyną unieważnienia publi-

kacji był fakt „znacznego nałożenia tematu, badanych składników oraz ilustracji" z artykułem dr. Marco Calvaruso i jego współpracowników z Instytutu Bioobrazowania i Fizjologii Molekularnej Narodowego Centrum Badań Naukowych we Włoszech. Użyto tutaj angielskiego terminu „overlap" (nałożenie), które jest ostrożnym, redakcyjnym synonimem popełnienia plagiatu.

Pozostałe pięć artykułów (kilka z nich o leczeniu nowotworów) retraktowała redakcja wydawanego od 1982 roku czasopisma „Biomedicine and Pharmacotherapy" (Impact Factor 7,5), publikowanego przez Wydawnictwo Elsevier. Przyczyną unieważnienia były nieautoryzowane zmiany współautorów już po wpłynięciu maszynopisu do redakcji oraz obecność w bibliografii nieadekwatnego piśmiennictwa „nabijającego cytowania" poszczególnym współautorom, jak również obecność w niektórych tekstach tzw. twisted phrases, które wskazują użycie sztucznej inteligencji (AI) do napisania artykułu.

Zaintrygowało mnie to, że jedna z powyższych retrakcji dotyczyła artykułu przeglądowego pt. *Advanced implications of nanotechnology in disease control and environmental perspectives* wydrukowanego w lutym 2023 roku. Ta 12-stronicowa praca miała aż 22 współautorów, pochodzącym z takich krajów jak Bangladesh, Arabia Saudyjska, Indie, Chiny, Australia, Egipt i Pakistan, nie mówiąc już o Polsce. Można to porównać do pchania jednej taczki przez dwadzieścia dwie osoby – ani to wygodne, ani efektywne i chyba niemożliwe.

Powiadomienie rektora

W sześć tygodni po ukazaniu się w czasopiśmie „Molecules" informacji o retraktowaniu pierwszego (wspomnianego na początku) podszytego plagiatem artykułu, napisałem 30 stycznia 2024 r. w tej sprawie list do rektora UP w Lublinie, prof. dr. hab. Krzysztofa Kowalczyka. Zapytałem, czy zostało wszczęte dyscyplinarne postępowanie wyjaśniające wobec prof. UP Agnieszki Najdy wobec naruszenia praw autorskich. Od dawna w świecie publikacji naukowych jest ustalona zasada, iż każdy ze współautorów odpowiada za treść artykułu. Dwa dni później otrzymałem odpowiedź, którą w głównej części przytaczam: „W maju 2023 r. Redaktor Ryan Siu poinformował mnie, że naukowcy z Uniwersytetu w Cefalu zwracają uwagę na pewne podobieństwa występujące w w/w pracy do ich publikacji. Po tej informacji poprosiłem dr hab. Agnieszkę Najdę prof. uczelni, aby wyjaśniła wątpliwości z Redakcją czasopisma «Molecules». Pani Profesor poinformowała mnie, że wątpliwości dotyczące publikacji pt. «Potentia! Role of Natura! Products to Combat Radiotherapy and Their Future Perspectives» zostały wyjaśnione z Redakcją. Redakcja czasopisma «Molecules» nie poinformowała mnie o retrakcji tego artykułu. W tej sprawie w Uniwersytecie Przyrodniczym w Lublinie nie są procedowane żadne czynności".

I tak sprawa plagiatu w artykule została odłożona ad calendas greacas. Jednak sprawie „osiągnięć retrakcyjnych" prof. Agnieszki Najdy sporo miejsca na swoim blogu „For Better Science" z 13 marca 2026 r. poświęcił dr Leonid Schnaider w dziale „Retraction Watchdogging". Z tekstu wynika, że można się spodziewać kolejnych unieważnień, gdyż w jednej z prac użyto sfabrykowanych ilustracji badawczych, co jest udowadniane na blogu post-publikacyjnym PubPeer.

Chciałbym zwrócić uwagę, że przepisy prawne wymagają od rektora bezzwłocznego wydania rzecznikowi dyscyplinarnemu polecenia wszczęcia postępowania wyjaśniającego, jeśli pojawi się zarzut czy informacja o naruszeniu prawa autorskiego. Muszę przyznać, że taka bezczynność uczelni oburzyła mnie, ale wtedy jeszcze nie wiedziałem, że prof. Krzysztof Kowalczyk miał ważniejszą sprawę plagiatową do rozwiązania.

Kolejny zgłoszony plagiat

Firma WaiWai Spółka z o.o., założona w 2022 r. (początkowo z siedzibą w Konstancinie, a później w Warszawie), zajmuje się handlem internetowym i pośredniczy w sprzedaży detalicznej różnych artykułów, a posiada także adres rejestrowy we wsi Koszoły, gmina Łomazy, województwo lubelskie (nie należy mylić jej z dużą firmą tajwańską o identycznej nazwie, która produkuje popularne na świecie zupy w proszku). Zawarła ona 21 lutego 2023 r. umowę z Uniwersytetem Przyrodniczym w Lublinie na wykonanie badań dotyczących poziomu zawartości wybranych substancji biologicznie aktywnych w świeżych i przetworzonych surowcach roślinnych. Pierwszym etapem projektu było zbadanie „Wpływu sposobu suszenia wybranych surowców zielarskich na zawartość substancji antyoksydacyjnych w hydrolatach roślinnych". Jego opracowanie zlecono dr hab. Agnieszce Najdzie, której pracownia miała odpowiedni sprzęt i kilkuosobowy personel techniczny. Spółka wymagała przesyłania laboratoryjnych raportów częściowych z wykonania badań poszczególnych preparatów roślinnych, co odbywało się systematycznie, mniej więcej co miesiąc. Do przestrzegania terminów firma podchodziła rygorystycznie, gdyż na bazie przebadanych surowców roślinnych zamierzała rozpocząć produkcję i sprzedaż opracowywanego produktu. Czasowe raporty oraz protokoły sporządzała i przesyłała dr hab. Agnieszka Najda.

Problem pojawił się z końcem października 2023 r. kiedy do rektora wpłynęło pismo spółki WaiWai deklarujące rozwiązanie zawartej osiem miesięcy wcześniej umowy. Zażądano w nim zwrotu poniesionych kosztów i zapłacenia kary umownej. Jako powód zerwania umowy firma podała, że przysłane przez dr hab. A. Najdę raporty noszą cechy plagiatu. Wyliczono przejęcia danych badawczych i treści z innych publikacji, m.in. z artykułu *Ocena zawartości związków biologicznie aktywnych oraz zawartości i składu olejku eterycznego w melisie lekarskiej (Melissa officinalis L.)* wydrukowanego w 2018 r., autorstwa ówczesnej doktorantki Klaudii Kałwy oraz dr. inż. Jakuba Wyrostka z Katedry Analizy i Jakości Żywności UP w Lublinie. Dalej jako źródło przejęć wspomniano opracowanie pt. *Wydzielanie olejków eterycznych z surowców roślinnych* dr Elżbiety Kępczyńskiej i dr Joanny Potaczek z Katedry Chemii Bioorganicznej Wydziału Farmaceutycznego Uniwersytetu Jagiellońskiego. Wskazano też publikację pt. *Analiza olejku eterycznego z Liquiritiae radix* dr Katarzyny Antoniak, dr farm. Marleny Dudek-Makuch oraz prof. Wiesławy Bylki z Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu. Splagiatowany był także artykuł pt. *Ocena zawartości kannabinoidów wybranych odmian konopii Cannabis sativa L.* autorstwa dr Grażyny Mańkowskiej i dr Aleksandry Luwańskiej z Instytutu Włókien Naturalnych i Roślin Zielarskich w Poznaniu oraz dr Karoliny Wielgus z Uniwersytetu Medycznego w Poznaniu i prof. Jana Bocianowskiego z Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu. Wskazano też jako źródło zapożyczeń szereg innych publikacji zamieszczonych na stronach internetowych.

Kroki dyscyplinarne

Rektor Krzysztof Kowalczyk już 19 grudnia 2023 r. skierował do rzecznika dyscyplinarnego ds. nauczycieli akademickich, prof. Mariusza Florka z Katedry Oceny Jakości i Przetwórstwa Produktów Zwierzęcych Wydziału Zootechnicznego UP, „Postanowienie" zobowiązujące go do wszczęcia postępowania wyjaśniającego. W uzasadnieniu podano, że wskutek powiadomienia otrzymanego od spółki WaiWai, na osobie dr hab. Agnieszki Najdy ciąży podejrzenie naruszenia praw autorskich. Dwa miesiące później, 31 stycznia 2024 r., rzecznik wszczął postępowanie wyjaśniające, przytaczając w uzasadnieniu fakty podane przez firmę. Podkreślił, że „nie wynika, iż zachodzą przesłanki odmowy wszczęcia postępowania, ani przesłanka wystąpienia do rektora z wnioskiem o ukaranie karą upomnienia".

Po ponad czterech miesiącach postępowania prof. M. Florek w dniu 17 czerwca 2024 r. wystąpił do rektora A. Kowalczyka z wnioskiem o ukaranie dr hab. Agnieszki Najdy upomnieniem. Jest to najlżejsza kara, którą może również nałożyć z własnej inicjatywy sam rektor, bez prowadzenia postępowania wyjaśniającego. Rzecznik nie złożył wniosku dyscyplinarnego o ukaranie ani na ręce przewodniczącej Uczelnianej Komisji Dyscyplinarnej, co warunkuje przeprowadzenie postępowania dyscyplinarnego, czyli odbycia rozprawy, ani do Komisji Dyscyplinarnej przy Radzie Głównej Nauki i Szkolnictwa Wyższego w Warszawie. Ta orzeka poważniejsze kary, jak wydalenie z uczelni czy zakaz wykonywania zawodu nauczyciela akademickiego. We wniosku do rektora rzecznik zarzucił obwinionej, „że przygotowując raport z badań zleconych dopuściła się nierzetelności naukowej polegającej na niedopełnieniu obowiązku podania pełnych danych źródłowych, zapożyczonych z artykułów innych autorów i informacji ze stron internetowych".

Prof. Mariusz Florek poprzez własną analizę porównawczą (bez powołania biegłego) potwierdził, że obwiniona przejęła do raportów przekazanych spółce WaiWai, „metodykę oznaczeń jak również zestawione tabelarycznie wyniki, wraz z ich omówieniami" bez odnośnej bibliografii z pierwotnych źródeł. To spowodowało, że zaistniał „w konsekwencji uzasadniony zarzut przywłaszczenia sobie autorstwa albo wprowadzenia w błąd co do autorstwa całości lub części cudzych utworów". Rzecznik dyscyplinarny podkreślił, że dr hab. Agnieszka Najda przyznała się do zaniedbań i wyjaśniła, że przekazywane spółce raporty „miały jedynie charakter roboczy i były to tzw. wstępne drafty bez bibliografii, zawierające „research" piśmiennictwa i wiadomości ze stron internetowych". Jej działania były spowodowane tym, że jako wykonawca była pod ciągłą presją czasową zleceniodawcy. Podkreślała, że firma chciała szybko otrzymywać wyniki badań, aby jak najprędzej wprowadzić badany produkt do sprzedaży, co by jej przynosiło zyski. A. Najda poinformowała też rzecznika, iż „z powodu pojawienia się sytuacji konfliktowej, połączonej z brakiem możliwości dalszej współpracy – rozliczyła się z firmą pod względem finansowym, zwracając wszystkie poniesione przez firmę koszty w wysokości kilkuset tysięcy złotych. Były w tym koszty zakupu surowców roślinnych, odczynników laboratoryjnych, sprzętu laboratoryjnego, wynagrodzenia wraz z pochodnymi wszystkich osób zespołu badawczego w ramach umów cywilno-prawnych, koszty badań laboratoryjnych". Na koniec dr hab. Agnieszka Najda przyznała się do tego, że tylko ona „ponosi odpowiedzialność za niewłaściwe przygotowanie raportów. Przeprosiła za zaistniałą sytuację współpracowników i władze uczelni za nieprzyjemności".

Upomnienie, którego zażądał prof. Mariusz Florek, jest karą „mniejszej wagi" i w żadnej mierze nie jest adekwatne do ciężaru winy za popełnienie plagiatu, który poprowadził do podania kontrahentowi przepisanych od innych danych badawczych. Ten nieakceptowalny czyn rzucił cień na całą lubelską uczelnię, co musiało wywołać mocny sprzeciw rektora. Jednak rzecznik dyscyplinarny rozpoznając zleconą mu sprawę, jest prawnie niezależny od rektora i ten nie może wydawać mu poleceń.

Tydzień później, bo 25 czerwca 2024 r. rektor Kowalczyk, głęboko niezadowolony z rozstrzygnięć prof. M. Florka, zdecydował się na powołanie innego rzecznika dyscyplinarnego. Został nim dr hab. n. wet. Piotr Listos, prof. UP., kierownik Katedry Patomorfologii i Medycyny Sądowej. Ukończył on studia w 1998 r., otrzymując dyplom lekarza weterynarii, a w 2002 ukończył prawo na UMCS w Lublinie. Po doktoracie w 2005 i habilitacji w 2019 r. z weterynarii na UP w Lublinie obronił jeszcze w tym samym roku 2019 doktorat z prawa na UMCS.

Z przekazanych mi dokumentów wynika, że prof. UP Piotr Listos nie wydał własnego postanowienia o wszczęciu postępowania wyjaśniającego. Złożył natomiast 31 października 2024 r. na ręce przewodniczącej Uczelnianej Komisji Dyscyplinarnej, dr hab. Grażyny Zawiślak, adiunkta w Katedrze Warzywnictwa i Zielarstwa (tej samej, w której pracuje obwiniona), „Postanowienie", w którym napisano: „w przedmiocie przekazania do rozpatrzenia przez UKD ds. Nauczycieli Akademickich sprawy możliwości popełnienia przewinienia dyscyplinarnego przez prof. UP, dr hab. Agnieszkę Najdę określonego w art. 287 ust. 2 pkt 1 (ustawy Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce z 2018 r. – MW). Przepis ten mówi: «Postępowanie wyjaśniające wszczyna się z urzędu w przypadku czynu polegającego na: pkt.1. przywłaszczenie sobie autorstwa albo wprowadzenie w błąd co do autorstwa całości albo części cudzego utworu albo artystycznego wykonania»". Moją uwagę zwrócił fakt, że rzecznik nie zażądał konkretnej kary, oddając los obwinionej w ręce Zespołu Orzekającego Komisji Dyscyplinarnej. Brak wniosku o ukaranie, zgodnego z art.16 pkt. 2 rozporządzenia ministra edukacji i nauki z dnia 8 czerwca 2022 r. w sprawie szczególnego prowadzenia mediacji, postępowania wyjaśniającego i postępowania dyscyplinarnego nauczycieli akademickich, wydaje się być naruszeniem prawa.

Niestety, bez wydania przez rzecznika dyscyplinarnego Piotra Listosa ponownego formalnego postanowienia o wszczęciu nowego postępowania wyjaśniającego wszelkie dalsze kroki prawne, w tym rozprawa dyscyplinarna, nie mają mocy prawnej. Co więcej, po zakończeniu postępowania wyjaśniającego rzecznik musi złożyć formalny wniosek dyscyplinarny z żądaniem konkretnej kary lub umorzyć postępowanie wyjaśniające.

Rozprawa dyscyplinarna

„Postanowienie" prof. Piotra Listosa oznaczono datą 31 października 2024 r. Jednak rozprawa dyscyplinarna odbyła się dopiero na początku marca 2025 r., czyli prawie półtora roku od momentu wpłynięcia zawiadomienia spółki WaiWai. Czyżby było to spowodowane wielomiesięcznym zwolnieniem lekarskim i urlopem na poratowanie zdrowia dr hab. Agnieszki Najdy?

Powołany zespół orzekający liczył 5 osób, co nie jest typowe na szczeblu komisji uczelnianej. Jego przewodniczącą została dr hab. Urszula Złotek, prof. UPL z Zakładu Nutraceutyków i Wzbogacania Żywności na Wydziale Nauk o Żywności i Biotechnologii UP. Członkami zespołu byli: prof. dr hab. Paweł Sobczak z Katedry Inżynierii i Maszyn Spożywczych z Wydziału Inżynierii Produkcji UP, dr hab. Edyta Paczos-Grzęda, prof. UP z Laboratorium AgroBioNano-Technologii Instytutu Genetyki, Hodowli i Biotechnologii Roślin Wydziału Agrobioinżynierii UP, dr hab. Beata Abramowicz, adiunkt Katedry i Kliniki Chorób Wewnętrznych Zwierząt Wydziału Medycyny Weterynaryjnej UP oraz dr hab. inż. Agata Dziwulska-Hunek, adiunkt z Zakładu Fizyki Stosowanej Wydziału Inżynierii Produkcji UP. Po krótkiej rozprawie w dniu 6 marca 2025 r. zespół orzekający uznał dr hab. Agnieszkę Najdę winną popełnienia przewinienia dyscyplinarnego naruszenia praw autorskich (art. 287 ust. 2 ustawy Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce z 2018 r.) i nałożył karę nagany z obniżeniem uposażenia zasadniczego o 15% przez okres 18 miesięcy. Kara zaczęła biec po uprawomocnieniu się orzeczenia, czyli od 1 maja 2025 r. W uzasadnieniu komisja dyscyplinarna uznała winę obwinionej polegającą „na przypisywaniu sobie autorstwa wyników badań opisywanych w raporcie dla spółki WaiWai, co jest czynem rzutującym na godność i wiarygodność pracownika naukowego. Dokonany przez obwinioną czyn w dużym stopniu negatywnie wpływa na wizerunek Uczelni w której obwiniona jest zatrudniona. Wpływa również negatywnie na

postrzeganie wiarygodności pozostałych pracowników i prowadzonych przez nich badań".

Z tego orzeczenia jasno wynika, że dr hab. Agnieszka Najda przekazała raport z jakoby wykonanych badań, w którym podała wyniki przepisane z wcześniejszych artykułów naukowych. Jest to typowe fałszerstwo naukowe. Z protokołu rozprawy można się też dowiedzieć, że obwiniona zawarła ze spółką WaiWai dodatkową umowę cywilno-prawną omijającą uczelnię, a dotyczącą także wykonywania badań na sprzęcie, którym dr hab. Najda nie dysponowała w swojej pracowni.

Proszona przez redakcję o komentarz, prof. Najda potwierdziła, iż pokryła spółce WaiWai wszelkie straty i koszty, płacąc też karę umowną, ale nie podała ostatecznej sumy. Profesorowi Mariuszowi Florkowi zeznała do protokołu, że chodziło jakoby o kilkaset tysięcy złotych, co jest sporą sumą. Stąd zapewne rzecznik Florek zażądał tylko „rektorskiego upomnienia", uznając, że zapłacenie z własnych oszczędności tak wysokiej sumy jest wystarczającą karą.

Jednak z informacji oficjalnie otrzymanych z rektorat wynika, że wysokość kary umownej, którą pokryła dr hab. A. Najda, wyniosła 2700 zł, zaś cała pierwotna umowa opiewała na kwotę 13 500 zł. Dlatego oceniam, że koszty zwrócone spółce WaiWai zapewne nie przekroczyły 20 tysięcy złotych, a nie „kilkuset tysięcy" zadeklarowanych rzecznikowi dyscyplinarnemu.

Do pracy na uczelni prof. Najda powróciła w październiku 2025 r. Ze stanowiska kierownika pracowni, które jest obecnie nieobsadzone, odwołał ją rektor Kowalczyk. Jednak ani spółka, ani rektor, ani żaden z rzeczników dyscyplinarnych nie zawiadomili prokuratury, mimo że popełniony czyn jest przestępstwem, gdyż fałszowanie protokołu z badań było powiązane z zawartą umową prawną. Można to przełożyć na poświadczenie nieprawdy z próbą wyłudzenia honorarium za niewykonane badania.

Komentarz

Ciekawe, że w protokole rozprawy dyscyplinarnej z dnia 6 marca 2025 r. zanotowano, że rzecznik dyscyplinarny prof. Piotr Listos zabierając głos, stwierdził: „Pierwszy raz w swojej karierze rzecznika dyscyplinarnego prowadzę sprawę odwołania od kary wymierzonej przez innego Rzecznika Dyscyplinarnego, w tym przypadku prof. dr hab. M. Florka. Odwołanie od wcześniejszej decyzji do Rzecznika Dyscyplinarnego skierował Rektor UP w Lublinie, co z uwagi na możliwość ponownego odwołania jednoosobowej decyzji, obliguje Rzecznika do przeprowadzenia postępowania kolegialnego przed Komisją Dyscyplinarną UP w Lublinie".

Nie miałem dostępu do części dokumentów, dlatego nie mogę się kategorycznie wypowiadać. Mam jednak wrażenie, że mogły być popełnione w tym postępowaniu dyscyplinarnym poważne błędy prawne. Zdarza się to często na uczelniach, które nie mają wydziałów prawa i praktycznie brakuje możliwości wyłapania i skorygowania błędów formalnych popełnianych w postępowaniach dyscyplinarnych. Cierpi na tym sprawiedliwość akademicka.

Marekwro@gmail.com

Dr hab. n. med. Marek Wroński jest emerytowanym profesorem uczelnianym. Zajmuje się patologią nauki od 28 lat.



Marek Przybylski

Jak robić więcej i lepiej za mniej

Granty jako panaceum na wszystko

Cz. II

Dobre pomysły podstawowe, innowacje, zaawansowane technologie etc. są jedynym remedium na dalszy rozwój naszego kraju i zbliżanie się do PKB per capita typowego dla takich krajów jak Niemcy, czy Francja. Nauka i szkolnictwo wyższe mają tutaj do odegrania rolę, której nie da się przecenić.

Przedstawiona w pierwszej części tego artykułu (FA 5/2026) analiza sytuacji politycznej i ekonomicznej krajów europejskich pokazuje, gdzie jesteśmy i na co możemy liczyć w najbliższych latach. Świat zmienia się na naszych oczach, powstają nowe strefy wpływów, a coraz wyraźniejszej ekonomicznej i technologicznej przewagi Chin (czy ogólniej Azji) nie da się przecenić. Kraje, w których innowacje są podstawą ekonomicznego rozwoju, które na badania i rozwój przeznaczają znaczący procent PKB, to Izrael (6%), Korea Południowa (5,2%) i Tajwan (3,8%). W Europie najwięcej na ten cel wydaje Szwecja (3,6%). Niestety, w Polsce nakłady na B+R to niewiele więcej niż szacowne 1,4% PKB (za to PKB mamy już prawie 20. na świecie), a na szkolnictwo wyższe i naukę określone w budżecie Państwa ok. 1,1% PKB (kwoty przeznaczane łącznie ze wszystkich źródeł na B+R, a kwoty z budżetu Państwa na „szkolnictwo wyższe i naukę" to dwie zupełnie różne sprawy). Innymi słowy, na B+R, a przede wszystkim na naukę, w szczególności z budżetu państwa, przeznaczamy niewiele, co w połączeniu z niedoskonałościami systemu nie rokuje dobrze na przyszłość.

Uczelnie pełnią dwie role: kształcą studentów i prowadzą badania naukowe. W tym odcinku przedmiotem rozważań będzie system (i możliwości) finansowania badań, natomiast kształceniu studentów (i doktorantów) będzie poświęcona trzecia część tego artykułu. W obu przypadkach fundamentalnym problemem jest jakość, czy to kształcenia studentów, czy prowadzonych badań naukowych w istniejących realiach finansowych, społecznych i kulturowych.

W 2026 roku odbywają się dwie oceny działalności polskich uczelni: ewaluacja za okres 2022-2025 (wszystkich uczelni) i ocena realizacji/wykonania pierwszej edycji programu Inicjatywa Doskonałości – Uczelnia Badawcza za okres 2020-2025. Ta ocena będzie decydowała, które uczelnie w programie IDUB pozostaną, a które z niego wypadną (przynajmniej dwie). Równocześnie trwał będzie II konkurs IDUB, do którego przystąpić może 27 uczelni (w tym dwie niepubliczne) dopuszczonych na podstawie kategorii uzyskanych w ewaluacji przeprowadzonej w 2022 roku. Należy zauważyć, że przedmiotem oceny, zarówno w ewaluacji jak i w II edycji IDUB będą efekty działalności naukowo-badawczej (w przypadku IDUB w pewnym stopniu także działalności dydaktycznej), tyle że opisane nieco innymi parametrami. Ideą IDUB jest co prawda przedstawienie programu poprawy „międzynarodowej rozpoznawalności uczelni", ale w II edycji już z opcją „sprawdzam" dla uczestników I edycji (2020-2026), a nowi kandydaci we wniosku muszą przedstawić potencjał uczelni, czyli dotychczasowe osiągnięcia. Efektem ewaluacji będą kategorie naukowe, a efektem IDUB status uczelni badawczej. Należy zauważyć, że w przypadku ewaluacji oceniane będą osobno poszczególne dyscypliny nauki uprawiane w uczelni, a w przypadku IDUB – osiągnięcia i plany uczelni jako całości. Oczywiście obie procedury są kosztowne, wymagają czasu, zaangażowania, ogromnej pracy administracyjnej etc. Sprawa budzi w środowisku pewne kontrowersje, bo najwyżej oceniony w ewaluacji wydział, np. fizyki, otrzymujący rzadką kategorię naukową A+, może nie być wydziałem w uczelni badawczej i odwrotnie, w uczelni badawczej może być wydział fizyki z kategorią B+. Pewnej pracy i przemyślenia będzie wymagało takie przeprowadzenie ocen, aby obie okazały się przydatne dla poprawy poziomu prowadzonych badań, dobrze przyjęte w środowisku akademickim i aby udało się pokazać, że w obu ocenach chodzi jednak o coś innego: ewaluacja to ocena minionych 4 lat, a IDUB to przede wszystkim ocena pomysłów na lepszą przyszłość. Czy wyniki obu tych

ocen/procedur będą dla nas satysfakcjonujące, szczególnie jeśli oceniane parametry porównamy z resztą Europy i świata?

Granty i subwencja

W przypadku badań naukowych chodzi nie tylko o to, by były prowadzone na najwyższym możliwym poziomie, ale także, by były prowadzone w zakresie potrzeb wynikających czy to z polityki naukowej państwa (bo na wszystko pieniędzy nie wystarczy), czy z potrzeb wiodących tematyk służących przyszłościowym technologiom, czy też z potrzeb lokalnej gospodarki. A jedynym systemem, który te oczekiwania może zaspokoić, jest system zewnętrznych grantów rozdzielanych przez agencje, krajowe bądź europejskie: bo wymusza konkurencję, bo weryfikuje pomysły naukowe i ich aktualność, bo z zewnątrz ocenia możliwości wnioskodawcy etc. Praca, którą chcemy opublikować w czasopiśmie z najwyższej półki, takim jak „Nature", musi być nie tylko efektem badań na najwyższym poziomie, ale musi dotyczyć aktualnej tematyki będącej przedmiotem aktualnego zainteresowania i aktualnie prowadzonych badań. Podstawowym zadaniem agencji jest i być powinno dbanie, żeby pieniądze fundatorów badań (najczęściej podatników, krajowych czy europejskich) były wykorzystane w celach, na realizację których zostały przeznaczone. Niektórzy mówią, że „niezbywalnym prawem pracownika naukowego jest wybór tematyki badań". Ja zwykłem wtedy dodawać: „pod warunkiem, że ktoś za te badania zapłaci". A żeby ktoś zapłacił, koniecznością powinno być przekonanie go do celowości/słuszności wydawania pieniędzy na taki, a nie inny cel.

Moim zdaniem większa niż dotąd pula środków powinna być przeznaczona na konkursy, nawet kosztem subwencji (co niekoniecznie oznaczałoby zmniejszenie przychodów uczelni, o czym za chwilę), która powinna służyć, tak jak to zresztą jest zapisane w obowiązującej ustawie Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce, tylko „utrzymaniu potencjału badawczego" przy okazji finansowania kształcenia studentów. I tutaj ważna uwaga: moim zdaniem najważniejszym celem systemu grantowego nie jest finansowanie badań prowadzonych przez najlepszych, lecz zewnętrzna (poza uczelnią) konkursowa dystrybucja środków na badania potencjalnie dostępnych dla wszystkich (bo inaczej nie staliby się pracownikami uczelni!). Warunkiem jest realna szansa otrzymania finansowania, czyli współczynnik sukcesu nie niższy niż 25-30%. Nie oznacza to oczywiście umniejszania roli grantów dla najlepszych, takich jak Maestro w NCN czy w szczególności Międzynarodowe Agendy Badawcze FNP. Np. w USA głównym przychodem uczelni jest czesne płacone przez studentów oraz ewentualnie dotacja od władz stanowych zależna wyłącznie od „przeliczeniowej" liczby studentów (im większa dotacja, tym mniejsze czesne, co koreluje zwykle z polityczną orientacją rządzących w danym stanie). Trzecim źródłem przychodów są granty, a szczególnie koszty pośrednie (indirect costs) w grantach, które w USA mogą stanowić do 65% kosztów bezpośrednich, praktycznie niezależnie od tego, czy fundatorem jest NSF (Narodowa Fundacja Nauki), czy jakakolwiek inna agencja, bo wynikają one z ogólnych kosztów funkcjonowania uniwersytetów. Ubiegłoroczne próby prezydenta Donalda Trumpa ograniczenia kosztów pośrednich w grantach NIH i NSF do 15% nie znalazły zrozumienia w amerykańskim środowisku akademickim. Nie bez znaczenia jest też fakt, że koszty bezpośrednie w amerykańskich grantach są zazwyczaj znacznie wyższe niż w polskich i że grantów jest więcej, bo są praktycznie jedynym źródłem finansowania badań (w amerykańskim uniwersytecie bez grantu badań prowadzić się nie da, chyba że jest się indywidualnie pracującym teoretykiem). Warto dodać, że w zacnych amerykańskich uniwersytetach (w szczególności w tych z tzw. Ligii Bluszczowej) istotny przychód daje fundusz tworzony przez absolwentów (tzw. endowment lub alumni fund), którym obracają specjalnie do tego powołane fundacje (blok artykułów na temat kapitału żelaznego uczelni opublikowaliśmy w FA 4/2026 – red.). Wreszcie uniwersytet amerykański może realizować specjalne zadania ważne dla całego USA, wtedy może liczyć na dodatkowe środki bezpośrednio z budżetu federalnego.

Granty powinny zapewniać środki na badania: zatrudnianie postdoków i doktorantów, materiały, drobną aparaturę, delegacje. Powinno ich być więcej, aby współczynnik sukcesu zachęcał do aplikowania, czyli był na poziomie 25-30%. Natomiast kwoty grantów powinny być większe nie tylko dlatego, że byłyby jedyną możliwością zatrudniania postdoków i doktorantów, ale także z powodu kosztów pośrednich, które muszą być znacząco wyższe, jeśli miałyby stanowić drugie po subwencji źródło utrzymania uczelni. Warto dodać, że dzisiaj przychody polskich uczelni z grantów NCN często kształtują się na poziomie pojedynczych procentów ich budżetów przy około 20-procentowych kosztach pośrednich. Jeżeli źródłem finansowania badań naukowych miałyby być tylko granty, to poza kosztami bezpośrednimi badań ktoś musiałby pokryć koszty ogólne budynków, ich infrastruktury technicznej, wreszcie wynagrodzeń w części służącej zabezpieczeniu działalności badawczej uczelni; subwencja służyłaby tylko pokryciu kosztów kształcenia studentów. Naturalnym źródłem, z którego te koszty powinny być pokrywane, są koszty pośrednie w grantach, oczywiście pod warunkiem, że byłyby na tyle duże, aby to zadanie zrealizować.

I najważniejsze: na jakiej zasadzie lepsza naukowo uczelnia miałaby więcej pieniędzy niż słabsza? Po prostu, lepsza uczelnia miałaby więcej grantów. Po drugie, jeśli kwoty grantów byłyby większe, bo pokrywałyby większą gamę kosztów (np. doktorantów) i wyższe byłyby koszty pośrednie (np. 40%), to przychody uczelni z tego źródła znacząco by wzrosły, co razem kompensowałoby mniejszą subwencję. Ale nie dla wszystkich, tylko dla tych, którzy pozyskiwaliby granty. Znacząco większe przychody z kosztów pośrednich z większej liczby grantów to więcej pieniędzy m.in. na wyższe wynagrodzenia dla pracowników przynoszących uczelni pieniądze z grantów (zamiast honorariów), etc. Może nie trzeba by wtedy robić kosztownej ewaluacji, może uczelnie/dyscypliny ewaluowałyby się automatycznie wielkością przychodów z grantów? Podkreślę, że chodzi o konkursy na pozyskanie środków na badania przez naukowców, a nie przez zatrudniające ich instytucje. Tak np. świetnie pomyślany program Inicjatywa Doskonałości – Uczelnia Badawcza przyniósł najlepszym uczelniom (wyłonionym w konkursie) dodatkowe znaczące środki finansowe. Ale już wewnątrz uczelni stały się one zwiększeniem środków rozdzielanych pracownikom bez zewnętrznej weryfikacji ich pomysłów badawczych, czyli środkami łatwiejszymi do pozyskania niż granty NCN, o europejskich nie wspominając. A że kryterium sukcesu w konkursie IDUB jest m.in. dynamika wzrostu liczby pozyskiwanych grantów zewnętrznych, ważnym załącznikiem do wniosku jest „Lista najważniejszych międzynarodowych grantów uzyskanych w latach 2021–2025", a liczba międzynarodowych grantów to wskaźnik obligatoryjny nr 5, to zasady wewnętrznej dystrybucji środków IDUB-owych okazały się kluczowe.

Środki zewnętrzne

Nawet jeśli redystrybuujemy środki, częścią środków subwencyjnych zasilimy NCN, zwiększymy budżet NCN w ramach realnych możliwości, to łączna kwota w budżecie państwa przeznaczona na subwencje i granty i tak pozostanie niewystarczająca. Jedynym wyjściem będzie więc (teraz zresztą też jest) sięgnięcie po środki zewnętrzne, a więc po granty europejskie.

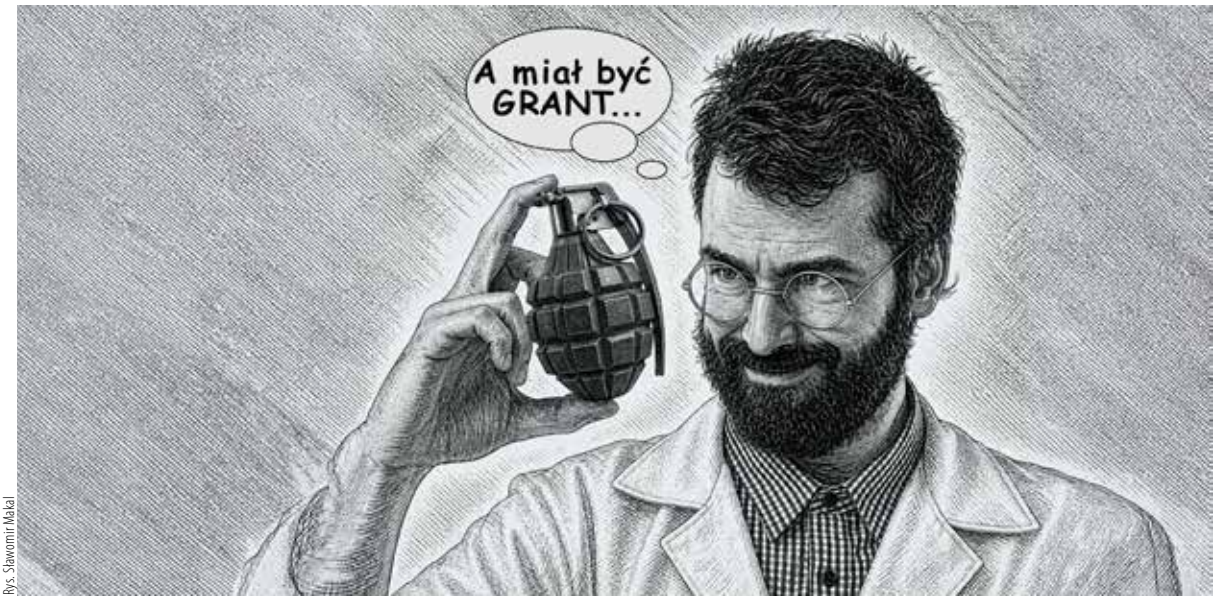
W szczególności dlatego, że są środkami pozyskanymi spoza (i tak nadwyrężonego) budżetu państwa. Jeżeli nie ma realnej możliwości zwiększenia środków na finansowanie grantów NCN, a co za tym idzie na zwiększenie success ratio do przyzwoitego poziomu, to trzeba szukać dofinansowania gdzie indziej. Możliwości jest wiele, w tym artykule pozwolę sobie zwrócić uwagę tylko na dwie: Europejską Radę Nauki (ERC) i Europejską Radę Innowacji (EIC), szczególnie ścieżka badawcza (tzw. badania wczesnej fazy), czyli Pathfinder. Ścieżki postrzegane jako trudne, m.in. z powodów, o których będzie poniżej.

Od powstania Europejskiej Rady Nauki w 2007 roku do dzisiaj do naszego kraju trafiło 106 grantów ERC wszystkich kategorii, w tym 56 Starting Grants, 22 Consolidator Grants, 17 Advanced Grants, 9 Proof of Concept Grants i 2 Synergy Grants, o łącznej wartości 192 mln euro. W tym okresie (od 2007 roku) łącznie przyznano 18605 grantów na łączną kwotę 32,7 mld euro, co oznacza nasz udział ilościowy na poziomie 0.57%, a udział kwotowy na poziomie 0.58% co daje nam to jedno z ostatnich miejsc wśród wszystkich uczestniczących krajów, w szczególności Unii Europejskiej (ale także krajów stowarzyszonych, takich jak Szwajcaria, Wielka Brytania etc.). Warto zauważyć, że liczba ludności Polski w stosunku do całkowitej liczby ludności Unii Europejskiej to 8,5%, a polski PKB to ok. 4,4% całkowitego PKB Unii (średnio 6,5%), czyli liczba przyznanych Polsce grantów była około 10 razy mniejsza niż wynikałoby to z naszego potencjału ludnościowo-gospodarczego. Gdyby udział Polski w dzielonej kwocie zwiększyć do tych 6.5% dzielonej puli, to byłaby to kwota ok. 2,13 mld euro (ok. 9,14 mld PLN), czyli ok. 5.5 razy tyle ile NCN przeznaczy przeznaczy na granty w 2026 roku! Czy to możliwe? Jeśli porównamy Polskę do Hiszpanii (47 mln ludności, czyli o 25% więcej niż ludność Polski), to w 2025 Polska otrzymała 6 grantów Starting i 3 Consolidator (na łączną liczbę 827 grantów przyznanych w tym roku w obu tych kategoriach), a Hiszpania odpowiednio 60 i 22… (w tym samym roku w konkursie ERC Advanced Hiszpania otrzymała 29 grantów, a Polska 1). Można nie lubić rankingów, ale może warto popatrzeć, czy te europejskie uniwersytety, które skutecznie pozyskują europejskie granty, nie są znacznie wyżej notowane np. w rankingu szanghajskim. Warto zauważyć, że rozkład przyznanych Polsce grantów ERC wśród realizujących jednostek badawczych nie jest jednolity: blisko połowę otrzymał i realizuje Uniwersytet Warszawski (41), nieco mniej Uniwersytet Jagielloński (15). To właśnie UW i UJ są najwyżej notowanymi polskimi uczelniami w rankingu szanghajskim. Kolejne miejsca zajmują instytuty Polskiej Akademii Nauk, pojedyncze granty trafiają do innych uczelni. Większość, bo 69 spośród 106 grantów ERC jest realizowanych w instytucjach badawczych zlokalizowanych w Warszawie.

W latach 2021–2025 zaledwie około 50 podmiotów z Polski otrzymało finansowanie w ramach EIC, licząc razem Pathfinder, Transition i Accelerator na łączną kwotę 32,8 mln euro. Nie udało mi się ustalić, ile z łącznie przyznanych w tym okresie 402 projektów w Pathfinder przypadło Polsce (i mogło być realizowanych we współpracy z uczelniami). Wiadomo natomiast, że polskie jednostki badawcze w programie Pathfinder najczęściej odgrywają rolę „członków i partnerów konsorcyjnych", a nie liderów; zaledwie kilka polskich instytucji było liderami konsorcjów. Z dostępnych źródeł wiadomo, że zaledwie 10 naszych projektów, dofinansowanych kwotą 23,8 mln euro, było w akceleratorze, czyli najbliżej rynku. Łatwo policzyć, że to średnio dwa projekty rocznie, co w skali Europy daje nam drugie miejsce od końca. Gorzej, że od 2021 roku na projekty EIC w skali całej Unii wydano już ok. 6,5 mld euro, co oznacza, że do polskich firm trafiło około 0,5% z wydanej kwoty. A gdyby trafiło 6,5%, mielibyśmy dodatkowe 1,82 mld zł (więcej niż roczny budżet NCN) zewnętrznych środków wydanych na badania naukowe (i wdrożeniowe) w Polsce. Można oczywiście zrozumieć brak sukcesów bezpośrednio po przemianach ustrojowych, bo polska nauka nie była przygotowana do międzynarodowej konkurencji, podobnie jak nie była przygotowana polska gospodarka. Ale od tamtej pory minęło 35 lat, gospodarka odnosi sukcesy. Co więcej, polityk powiedziałby pewno, że nie odzyskujemy składki, którą wpłacamy do budżetu Unii Europejskiej, a więc niejako finansujemy badania prowadzone w innych krajach.

Szukam recepty

Jak powszechnie wiadomo, liczba projektów zakwalifikowanych do finansowania jest w jakimś stopniu proporcjonalna do liczby składanych projektów, a tych składamy zastraszająco mało. Patrząc na nasz udział w przyznanych finansowaniach w obu programach, ERC i EIC Pathfinder, można domniemywać, że podstawowym problemem jest brak dobrych i przełomowych pomysłów, które w tych programach miałyby szansę powodzenia. I wracamy do pytania, dlaczego tak się dzieje? Myślę, że odpowiedzi są dwie. Po pierwsze, całokształt polskiego, mało konkurencyjnego systemu edukacji i nauki, czyli to, co wyrażamy narzekając na obniżający się poziom kształ-



Rys. Sławomir Makal

cenia studentów, poziom prac doktorskich, poziom habilitacji (co ciekawe, na obniżający się poziom absolwentów szkół średnich i studentów narzekają też Amerykanie, co wskazuje na cywilizacyjny charakter tego zjawiska). To oznacza też, że dorobek potencjalnych aplikantów z Polski może nie być konkurencyjny w porównaniu z dorobkiem aplikantów z innych krajów, a dorobek autora jest drugim obok pomysłu czynnikiem decydującym o sukcesie wniosku.

Po drugie, czy problemem nie jest przekonanie o słabo opłacanych kadrach (i realia kariery naukowej, takie jak nadmiar dydaktyki, znaczne obciążenie biurokracją etc.)? Większość z nas pewno od razu powie, że skoro stypendium doktoranckie wynosi 3570,50 zł (i 5500,50 zł brutto po ocenie śródokresowej), to który młody człowiek na taką karierę się zdecyduje? Ale przecież promotor może dołożyć doktorantowi 5 tys. zł stypendium naukowego z posiadanego grantu NCN, nie mówiąc o tym, że ustawa nie zabrania już zatrudniania doktorantów. To prawda, że możliwości wielu instytucji naukowo-badawczych (np. instytutów PAN) skutkują wynagrodzeniami bliskimi tym minimalnym wynikającym z rozporządzenia ministra nauki (co np. dla adiunkta oznacza 73% minimalnego wynagrodzenia profesora wynoszącego teraz 9650 zł brutto, a na tytuł – i wynagrodzenie – profesora trzeba czekać średnio do 56 roku życia). Faktycznie wiele uczelni płaci lepiej, dodatek stażowy rośnie z czasem do 20%, są dodatki funkcyjne i zadaniowe, a wynagrodzenie brutto profesora dochodzące do 20 tys. zł nie jest już czymś wyjątkowym. Może więc niewiele już trzeba, aby młody utalentowany człowiek, wewnętrznie umotywowany do fascynującego zawodu naukowca, na robienie doktoratu nie uciekał już za granicę i tam zostawał (co jeśli się zdarza, to jest kolejną stratą finansów publicznych, bo za nasze pieniądze przygotowujemy kadry dla innych krajów)?

Zaryzykowałbym stwierdzenie: niskie ustawowe stypendia doktoranckie, a szczególnie niepotrzebnie „rozreklamowane", incydentalnie rażąco niskie początkowe wynagrodzenia (odbierane jako słaba motywacja do podjęcia pracy naukowej) i słaba efektywność pozyskiwania środków europejskich na badania są jak naczynia połączone. Atrakcyjność stanowiska profesora wynikająca ze społecznego poważania, godziwego wynagrodzenia, prostego dostępu do infrastruktury, ograniczona biurokracja to argumenty, które zachęciłyby do pracy w sektorze nauki osoby twórcze i przebojowe. A to natychmiast objawiłoby się większą liczbą składanych wniosków w szczególności o granty europejskie i większą liczbą wniosków zakwalifikowanych do finansowania, odciążając skromny krajowy budżet na naukę.

Ale mamy jeszcze drugi problem, który wymaga systemowego rozwiązania: jak uczynić granty ERC i EIC, a także inne granty europejskie, atrakcyjniejszą formą pozyskiwania środków na badania niż np. granty NCN (też trudne, bo success rate w wielu konkursach jest ciągle na poziomie kilkunastu, a w niektórych panelach kilku procent, nie mówiąc o rzeszy tych, którzy nie aplikują, bo nie wierzą w sukces: success rate 13% oznacza, że tylko co ósmy wniosek jest kwalifikowany do finansowania i potencjalni wnioskodawcy tracą zainteresowanie aplikowaniem). W przypadku EIC niechęć do aplikowania była dość jednoznaczna, szeroko opisana w prasie (i w internecie) po roku 2023: łatwiej było uzyskać środki finansowe na realizację projektów zarówno w NCBR, PARP, jak i w RPO. A jak sytuacja się odwróciła, to szybko się okazało, że nie jesteśmy przygotowani do konkurowania z najlepszymi w Europie, co dotyczy zapewne także potencjalnych aplikantów o granty ERC.

Jak to zmienić? Ci, którzy są merytorycznie przygotowani i mają przełomowe pomysły, powinni być dobrze umotywowani do aplikowania (wyższym wynagrodzeniem?), powinni mieć pewność, że dostaną pomoc w każdej czynności poza stroną naukową grantu. Przypuszczam, że perfekcyjna obsługa prawno-administracyjno-finansowa na wszystkich etapach, czyli wnioskowania, realizacji i sprawozdawania grantów, jest jedną z podstaw grantowych sukcesów Uniwersytetu Warszawskiego. A może trzeba sięgnąć głębiej, może trzeba powrócić do twardych wymagań np. przy habilitacji? Może habilitacja nie powinna być możliwa bez odbycia przynajmniej jednego (a lepiej dwóch) 2-letniego stażu w charakterze postdoka w dobrych ośrodkach zachodnich? Bo jak inaczej przygotować się do skutecznego konkurowania z najlepszymi w Europie?

A może pozyskanie grantu europejskiego typu ERC powinno być podstawą np. uzyskania statusu distinguished professor (czyli przynależności do 1% profesorskiej elity) czy np. otrzymania specjalnej emerytury, jak olimpijscy medaliści? Pamiętam, jak Minister Gowin sugerował podwojenie kwoty przyznanego grantu ERC już ze środków krajowych. Przyznaję, że z zazdrością patrzę na moich niemieckich kolegów, którym nie brakuje wewnętrznej motywacji, pozyskują granty europejskie, rozbudowują zespoły, publikują dziesiątki prac rocznie, marzą o nagrodzie Nobla etc., etc., i nie do końca rozumiem, dlaczego tak nie dzieje się u nas. Trochę usprawiedliwiając naukowców powinienem dodać, że sposób funkcjonowania instytucji pośredniczących w pozyskiwaniu środków europejskich (NCBR, PARP) i rozdzielających środki w Polsce coraz bardziej zniechęca do aplikowania, a krytyka ta nie omija już nawet NCN (choćby z powodu rozbudowanej sprawozdawczości i skomplikowanego rozliczania grantów). Problemem jest też obsługa administracyjno-finansowa grantów w jednostkach naukowych.

Podsumowując: dobre pomysły podstawowe, innowacje, zaawansowane technologie etc. są jedynym remedium na dalszy rozwój naszego kraju i zbliżanie się do PKB per capita typowego dla takich krajów jak Niemcy, czy Francja. Nauka i szkolnictwo wyższe mają tutaj do odegrania rolę, której nie da się przecenić. Tyle, że trzeba działać szybko i skutecznie, choćby z powodu tego, co dzieje się wokół nas. W sferze nauki trzeba to robić bez realnych szans na lepsze finansowanie z budżetu państwa, przynajmniej w najbliższej perspektywie czasowej. Trzeba więc optymalizować środki, którymi sukces nauki, rozumiany jako osiągnięcie jej najwyższego poziomu, mógłby być osiągnięty. Trzeba tak zorganizować system badań, aby nie marnować tego, co mamy, doceniać najlepszych, skutecznie pozyskiwać zewnętrzne finansowanie (w szczególności granty europejskie) etc. i znacząco wpływać na gospodarczy i społeczny rozwój kraju.

Podtrzymuję zaproszenie do dyskusji i szukania pomysłów, które pozwolą polskiej nauce odegrać oczekiwaną rolę we wszystkich aspektach, które już miałem i będę miał okazje przedyskutować, w szczególności w aspekcie technologicznego, cywilizacyjnego i kulturowego rozwoju naszego kraju, ale także w aspekcie społecznej i politycznej roli nauki. Szukam recepty na większą skuteczność naszych działań zarówno w zakresie kształcenia studentów, jak i prowadzonych badań naukowych. Piszę o tym, będąc głęboko przekonanym, że rolą polskich instytucji naukowych jest tworzenie intelektualnych podstaw rozwoju gospodarki i społeczeństwa, na miarę XXI wieku i na miarę ambicji jednej z dwudziestu najsilniejszych gospodarek świata. Z punktu widzenia polityków spełnienie tej oczekiwanej roli powinno przełożyć się na lepsze finansowanie nauki.

Prof. Marek Przybylski, Akademia Górniczo-Hutnicza w Krakowie

(Prezentowane poglądy są indywidualnymi poglądami autora i nie stanowią oficjalnego stanowiska uczelni)

Rozmowa z dr. hab. Adamem Świerżewskim, prof. ASP, rektorem Akademii Sztuk Pięknych w Gdańsku

Dobrostan artysty

Wspólnotę akademii formuje wiele mocnych charakterów; staram się nieco niwelować różnicę między mistrzem a uczniem, a tego typu zmiany generują dodatkową potrzebę komunikacji wewnętrznej.

Co charakteryzuje Akademię Sztuk Pięknych w Gdańsku na tle innych uczelni artystycznych?

To pytanie jest ważne także dla mnie osobiście, bo nie jestem rodowitym Gdańszczaninem, więc trochę inaczej patrzę na miasto, z którym – jako akademia – jesteśmy mocno związani. Budowanie relacji z naszym otoczeniem to jedna z najbardziej charakterystycznych cech gdańskiej ASP. Bardzo licuje z Gdańskiem otwartość na ludzi z zewnątrz, w związku z czym staramy się poszerzać grono akademickie o osoby spoza uczelni; jest to odświeżające i niejako wdrukowane w DNA naszej akademii. Mamy obecnie 80. rocznicę powstania uczelni, uformowanej przez ludzi, którzy przyjechali tu, żeby brać udział w odbudowie miasta i tworzyć nową instytucję kultury, która później będzie mocno rezonowała w regionie. To osoby napływowe tworzyły wspólnotę, pozbawioną wcześniejszego sformatowania, i mam wrażenie, że nadal zachowujemy dużą autonomię programową i stabilną wspólnotową relację pomiędzy naszymi wykładowcami a studentami.

Ten mit założycielski nadal więc funkcjonuje?

Tak. Studenci jak to studenci, nie zawsze znają dokładne okoliczności powstania akademii, ale staramy się im o tym przypominać, bo jest to dla nas ważne.

A propos relacyjności i wspólnoty: mit pracowni artystycznej/projektowej jako społeczności skupionej wokół mistrza powoli upada. Spotykam się z sytuacjami, kiedy studenci pytani o pracownie potrafią wymienić ich numery, ale nie znają nazwisk profesorów, którzy prowadzą z nimi zajęcia.

Nasza uczelnia na tle innych akademii nie jest zbyt duża i wydaje mi się mało prawdopodobne, żeby u nas studenci albo wykładowcy nie wiedzieli, kto z kim pracuje. Czasami te relacje są bardzo barwne i na pewno formują – z jednej strony studentów, a z drugiej wykładowców. W naszej nowej strategii jednym z głównych założeń jest to, że w centrum działań są studenci i wokół nich musimy budować orbity najważniejszych, czasem trudnych do zdefiniowania kompetencji i zakresów wiedzy. Jest to relacyjność, która zaczyna się formułować już nieco inaczej. Mamy różne metodologie pracy ze studentami, ale ostatnio staramy się, aby nie było silnie zarysowanej hierarchii, przepaści pomiędzy mistrzem i uczniem. W tej kadencji stawiam raczej na współpracę odpowiedzialnych osób, które chcą sobie nawzajem wiele dać. Oczywiście z dużą odpowiedzialnością tych, którzy zajmują się prowadzeniem zajęć.

W konkursie na stanowisko rektora pokonał pan czterech innych kandydatów. Jakie postulaty okazały się szczególnie istotne dla społeczności akademickiej?

Podstawowy to postawienie na zespołowość. Jesteśmy społecznością opartą na mocnych charakterach i wielu indywidualnościach, ale żebyśmy mogli naprawdę poczuć wspólnotę, musimy zdecydować się na odpowiednią komunikację i współpracę. Dlatego stawiam na rozwój poprzez promowanie zachowań, które konsolidują środowisko i pomagają w rozumieniu naszej interdyscyplinarności. To jest przyjemne doświadczenie, że niezależnie od tego, czy zewnętrzne uwarunkowania nam pomagają albo – używając nadmorskiej nomenklatury – czy wiatr wieje w naszą stronę, czy w inną, to udaje nam się działać zespołowo i podtrzymywać naszą wspólnotę.

A jak w praktyce wyraża się ta zespołowość?

Żeby móc przejść do konkretnych działań, zdecydowałem się zainwestować w szereg dodatkowych szkoleń, które mają nam pomagać w nowych sytuacjach. Na przykład od dłuższego czasu jesteśmy w procesie podnoszenia naszych umiejętności w zakresie zarządzania projektami. Poprzez to, że reprezentujemy dwie przestrzenie: sztuk czystych i sztuk projektowych, nie wszyscy mamy podstawy, które mogłyby pomóc w prawidłowym określeniu założeń prowadzących do realizacji jakiegoś celu, a niezrealizowanie celu, niezależnie od tego, jakie mamy kompetencje, jest bardzo frustrujące. Organizujemy więc dla wszystkich kierowników katedr i całej kadry zarządzającej kursy, po których łatwiej nam jest pracować wspólnie i ustalać zakresy kompetencji przy realizacji projektów.

Na przykład jakich?

Przykładem może być współpraca prowadzona przez prorektora dr. inż. arch. Marka Barańskiego, który odpowiada za jakość kształcenia, a został przeze mnie zaproszony do akademii z Politechniki Gdańskiej. Zależało mi, żeby jako osoba z zewnątrz pomógł naszemu zespołowi w implementacji metod, które dobrze sprawdziły się w innych obszarach. Obecnie pracujemy między innymi nad projektem związanym z mikropoświadczeniami i jesteśmy jedyną uczelnią artystyczną, która ma tak zaawansowany program wdrożeń w tym obszarze.

Czy mógłby pan rozwinąć ten wątek?

Mikropoświadczenia to wpięte w program edukacyjny dodatkowe kursy trwające do pół roku, z oddzielnym syste-


Adam Świerżewski

mem ECTS i certyfikacją, która jest honorowana przez inne uczelnie – polskie i europejskie.

Jaka jest tematyka tych kursów?

W czasie pracy nad naszą strategią uznaliśmy, że akademia potrzebuje dużo większej elastyczności w dostosowywaniu się do potrzeb, które generują się poza jej murami, i którym trudno zaradzić w ramach regularnego cyklu edukacji. Obecnie stosujemy formułę mikropoświadczeń jako wprowadzenia do różnych tematów: poczynając od projektowania ubioru, gdyż nie mamy takiego kierunku, poprzez podstawy animacji poklatkowej, do np. gamingu. Kursy są bardzo wyspecjalizowane i rozpoczynają pewien proces, który w zależności od potrzeb można rozwinąć, aby pozyskać inną niż do tej pory wiedzę i doświadczenie.

Czy mikropoświadczenia w zależności od tematyki dedykowane są konkretnym wydziałom?

Nie, kursy są przeznaczone dla wszystkich osób z akademii. W przyszłości – zgodnie z unijną dyrektywą uczenia się przez całe życie, której częścią są właśnie mikropoświadczenia – zaprosimy do odbycia tych kursów naszych absolwentów, a później może także osoby spoza akademii.

Czy duże zainteresowanie określoną tematyką kursów może przełożyć się na koncepcję tworzenia nowych kierunków studiów?

Tutaj jesteśmy realistami. Wiemy, jakie są prognozy GUS-u odnośnie do demografii, mamy świadomość, że niż demograficzny najsilniej uderzy w największe uczelnie, ale dla nas także będzie wyzwaniem. Chcemy budować takie warianty edukacji, które nie będą zmuszały wszystkich osób do ostatecznych decyzji blokujących 5 lat życia. Jestem przekonany, że jakość kształcenia w gdańskiej akademii jest na tyle dobra, że jeżeli ktoś zacznie uczestniczyć w mikrokursach, to będzie chciał kontynuować współpracę z nami w bardziej rozbudowanej formie. Czujemy także, że wspólnota naszych absolwentów nawet po dekadzie czy dwóch ma ochotę na poszerzanie swoich kompetencji w dobrze im znanej przestrzeni, szukamy więc odpowiednich modułów edukacyjnych, które będą odpowiadać ich oczekiwaniom.

Na zasadzie alternatywy dla studiów podyplomowych?

Tak, bo z perspektywy uczelni artystycznej ocena na dyplomie, wbrew pozorom, nie jest najważniejsza. Tutaj ostatecznie liczą się umiejętności i to, co jesteśmy w stanie sami wykonać.

Dla pracodawców to jest podstawa, ale wracając do postulatów wyborczych – wspominał pan także o zmianach w programie stypendialnym.

To jest doświadczenie, które było dla mnie najtrudniejsze, bo sposób, o którym pierwotnie myślałem, nie rozwiąże problemu. Stypendia budowane są na bazie zmiennej, związanej z zarobkami profesora, a po drugiej stronie mamy określone wymogi mocno zawężające liczbę osób uprawnionych do otrzymania pomocy materialnej. Zmiany, które trzeba wprowadzić, aby poszerzyć tę grupę, niestety nie są w mocy wewnętrznych regulacji. Zarobki osób pozostających we wspólnym gospodarstwie progresują i coraz więcej studentów nie mieści się w wyznaczonych limitach. Cały czas pracujemy z ministerstwem, żeby algorytm był bardziej korzystny dla tych osób. Na szczęście akademia w wielu zakresach współpracuje z podmiotami zewnętrznymi i jesteśmy otwarci na różne rozwiązania biznesowe związane z częściową komercjalizacją naszych zasobów. Być może tutaj znajdziemy środki także na stypendia i nasz wewnętrzny system sprawi, że studenci poczują się bardziej komfortowo. Jeśli w centrum naszej strategii umieściliśmy studentów, to musimy wziąć za to odpowiedzialność, a nie deklarować tylko słowami.

A jakie są specyficzne dla gdańskiej akademii obszary współpracy z biznesem?

Przez to, że część naszych kierunków jest związana z projektowaniem, wchodzimy w relacje, które dają naszym studentom możliwość staży i udziału w zamkniętych konkursach przezna-



Budynek gdańskiej ASP

Fot. Adam Kozłowski

czonych tylko dla nich. Staramy się, aby fundowane nagrody były adekwatne do rangi naszej instytucji i możliwości danego podmiotu. Współpraca dotyczy np. projektowania przestrzeni urbanistycznych, projektów wnętrz czy kampanii wizerunkowych. Współpracujemy z podmiotami prywatnymi, ale naszym dużym partnerem jest też Miasto Gdańsk, Urząd Marszałkowski i Pomorski Urząd Wojewódzki. Uczestniczymy ze studentami w programie „Ekonomia Społeczna" obejmującym fundacje, które działają na pożytek lokalnej społeczności, a zwłaszcza osób wykluczonych. Te podmioty mają w sobie dużo serca, ale czasami brakuje im pewnych kompetencji. Studenci pracując w grupach pomagają im stworzyć odpowiednią strategię wizerunkową oraz – we współpracy z mentorem – strategię marketingową i promocyjną. Program trwa pół roku, a na etapie zaliczenia semestralnego studenci mogą zaprezentować swoje projekty przed przedstawicielami NGO-sów i jednostki nadzorującej z Urzędu Marszałkowskiego. Zależy nam na tym, aby jeszcze w trakcie nauki mogli zdobywać doświadczenia biznesowe, a także na rozwijaniu ich wrażliwości społecznej. Dla studentów kierunków artystycznych też organizujemy konkursy, oferujemy staże i rezydencje artystyczne we współpracy z podmiotami zewnętrznymi. Studenci ze starszych lat mogą aplikować o bezpłatne pracownie na terenie stoczni – w przestrzeniach Grid Arthub, który jest jednym z najciekawszych ośrodków kulturotwórczych w mieście. W czasie wakacji planujemy prowadzić w tej przestrzeni zajęcia koła studenckiego i szkoły doktorskiej. A jeśli chodzi o współpracę międzyuczelnianą, to niedawno podjęliśmy decyzję o dołączeniu do Związku Fahrenheita, który skupia już trzy duże uczelnie: Uniwersytet Gdański, Gdański Uniwersytet Medyczny oraz Politechnikę Gdańską.

Na jaki rodzaj współpracy liczy pan w tym przypadku?

Liczę na wypracowanie m.in. koncepcji wspólnych kierunków studiów. Na pewno będziemy korzystać z możliwości wystawienniczych, ale planujemy też wspólne lektoraty, wymianę studentów i współpracę w ramach naszej szkoły doktorskiej. Mam nadzieję, że tych obszarów wspólnych działań będzie coraz więcej i że działając w dziedzinie sztuk plastycznych, czyli sztuk pięknych i projektowych, tak naprawdę poruszamy się w podobnych rejestrach jak naukowcy z innych dziedzin. Dobrym i ważnym dla nas sygnałem jest przyznanie Nagrody Heweliusza, czyli tzw. „gdańskiego Nobla", prof. Tomaszowi Bogusławskiemu, wieloletniemu wykładowcy gdańskiej ASP. To rzadkość, że osoby z naszego środowiska dostają tak ważne nagrody naukowe i jest to dla mnie sygnał, że stanowimy część społeczności związanej z nauką.

Chciałabym jeszcze zapytać o doświadczenie konfrontacji rzeczywistości idealnej, która wyraża się w pana dążeniach i w postulatach wyborczych, z pewną prozą akademicką związaną z zarządzaniem uczelnią.

Istotną sprawą, nad którą cały czas pracujemy, jest budowanie poczucia wspólnoty. Jak wspomniałem, wspólnotę akademii formuje wiele mocnych charakterów; staram się nieco niwelować różnicę między mistrzem a uczniem, a tego typu zmiany generują dodatkową potrzebę komunikacji wewnętrznej. Dochodzi jeszcze cały kontekst zewnętrzny, z którego wynikają różne napięcia. W tej kadencji staramy się dużo pracować nad dobrostanem. Wiem, że to modne słowo i w niektórych sytuacjach ludzie używają go jako wytrycha, ale naprawdę nad tym pracujemy i to w bardzo różnych zakresach, poczynając od tak prozaicznych, jak popołudniowe spotkania z jogą w przestrzeni akademii. Sam czasami biorę w nich udział i widzę, jak dobry efekt przynosi to, że wykładowcy, pracownicy administracyjni i studenci mogą spotykać się w zupełnie innej konstelacji. Kolejną ważną sprawą jest zmotywowanie młodej kadry do awansów, bo przestrzeń pomiędzy ludźmi, którzy rozpoczynają karierę artystyczno-naukową, a tymi, którzy niebawem od nas odejdą, staje się niebezpieczna i strategicznie ważna. Tymczasem nie mamy za dużo argumentów finansowych, aby zatrzymać młodą kadrę.



Czy ma pan jakieś propozycje dla starszych profesorów, wchodzących w wiek emerytalny, w związku z problemami, o których pan wspomina?

Ta kadra jest dla nas bardzo ważna, bo ona nas przecież formowała. Prowadzę więc otwartą komunikację i proponuję im współpracę w określonej perspektywie czasowej.

W jakim zakresie?

W okresie do 4 lat tacy pracownicy pozostają na kontraktach czasowych, mogą realizować się dydaktycznie i jako np. kierownicy katedr. Oczywiście nie wszyscy mają taką potrzebę, ale na pewno nasze rozmowy są nacechowane troską o akademię.

Na czym, pana zdaniem, polega rozwój uczelni artystycznej?

Uważam, że błędne jest opieranie się na ciągłym tworzeniu nowych kierunków. Akademie jednak są elitarne i obejmują niewielki procent wszystkich osób studiujących. Z jednej strony musimy być inkluzywni, ale z drugiej musimy zwracać uwagę na predyspozycje kandydatów na studia. Dlatego nadmierny rozrost uczelni nie jest wpisany w naszą strategię. Ważniejsze jest, aby dobierać moduły edukacyjne adekwatne do zmieniającej się rzeczywistości. Stąd wspomniane już mikropoświadczenia, ale też coraz bardziej rozbudowana struktura zajęć fakultatywnych, które powodują, że szanując autonomię wydziałów, dajemy studentom większe możliwości migracji. Znów posłużę się nadmorską nomenklaturą: nasz statek nie jest zbyt duży, ale każda zmiana kursu wymaga wielu ustaleń, bo jesteśmy wspólnotą, która przede wszystkim komunikuje



się, a potem wspólnie podejmuje decyzje, a za nie – oczywiście – ja biorę osobistą odpowiedzialność. Chciałbym, aby społeczność studentów nie musiała zbyt długo czekać na zmiany związane z infrastrukturą, która niestety jest niedoszacowana. Szukamy różnych możliwości finansowania, rozważamy aplikowanie o środki z NCBR-u, z nadzieją, że może eksperci zwrócą uwagę także na potrzeby uczelni artystycznych. Na razie nasze możliwości rozwoju w tym zakresie są ograniczone przez formalną strukturę projektów, która często zamyka przed nami możliwość aplikowania o dotacje.

Rozmawiałam przed laty z prof. Tomaszem Miczką, ówczesnym przewodniczącym Konferencji Rektorów Uczelni Artystycznych, który wobec braku zrozumienia dla specyfiki tych uczelni starał się w rozmaitych gremiach propagować hasło Sztuka = Nauka.

Stąd właśnie nasza decyzja przystąpienia do Związku Fahrenheita. W statucie Związku, który zamierzamy modyfikować, sztuka będzie równa nauce.

Czy uważa pan, że istnieje potrzeba nowelizacji zapisów prawnych określających sposób funkcjonowania wyższych uczelni, zwłaszcza artystycznych? Jeśli tak, jakie są pańskie propozycje?

Cieszę się, że głos uczelni artystycznych jest coraz bardziej słyszalny i te dwa pojęcia, o których przed chwilą mówiliśmy: nauka i sztuka, powoli zaczynają się równoważyć, co daje nadzieję, że będziemy częścią większej strategii. Należymy do tzw. uczelni resorowych podległych Ministerstwu Kultury i chciałbym mieć nadzieję na lepszy obieg informacji pomiędzy tym „małym" ministerstwem a „dużym", czyli Ministerstwem Nauki i Szkolnictwa Wyższego, aby informacje szybciej do nas trafiały, a decyzje strategiczne dla całej nauki przekładały się także na transfer środków adekwatnych do naszych potrzeb. Bo charakterystyczna dla uczelni artystycznych umiejętność dostrzegania wielu problemów projektowych czy sytuacji związanych ze zmienną rzeczywistością jest tak nieprawdopodobna, że tylko czekamy, aby nasz potencjał mógł zostać odpowiednio wykorzystany.

Co pan sądzi na temat powrotu do systemu studiów jednolitych na kierunkach artystycznych?

Wracamy do takiej organizacji studiów z wielu przyczyn. Coraz więcej uczelni artystycznych wprowadza system jednolity, aby ułatwić migracje miedzy uczelniami. Muszę jednak przyznać, że nie zawsze osoby, które u nas studiują, chcą korzystać z ofert innych uczelni. Argumentem za studiami jednolitymi jest to, że czasami na drugim stopniu pojawiali się studenci z nieco innym backgroundem, a nasza specyfika wymaga odpowiedniego wprowadzenia, więc proces doprowadzenia tej grupy do pewnego poziomu był na tyle wymagający, że traciły na tym obie strony, i ci, którzy rozpoczęli u nas studia na drugim stopniu, i ci, którzy kontynuowali edukację. Założenie migracji studentów realizujemy teraz głównie poprzez rozbudowany program Erasmus, który świetnie się rozwija. Niebawem będziemy gotowi do rozpoczęcia współpracy z uczelniami położonymi w obrębie basenu Morza Bałtyckiego. Planujemy utworzenie kierunku prowadzonego w języku angielskim, dającego możliwość np. rozpoczęcia studiów w jednej uczelni, kontynuacji w drugiej i zakończenia w trzeciej.

Jaki to będzie kierunek?

Musimy go dostosować do możliwości wszystkich uczelni, więc będzie miał charakter wieloaspektowy, związany ze sztuką czystą albo z designem. Na razie trwają rozmowy, ale nasi partnerzy wykazują duże zainteresowanie tym projektem. Dopingujemy także przedstawicieli naszych samorządów, do kon-



Dzień otwarty ASP w Gdańsku

taktu w tej sprawie z odpowiednimi jednostkami zagranicznymi.



Noc Muzeów

Jakie są radości i troski rektora gdańskiej ASP pod koniec roku akademickiego 2025/26?

Ostatnio w Akademii mieliśmy dni otwarte. Zawsze staramy się, żeby przypadały w piątek i sobotę, by jak najwięcej osób miało szansę przyjechać i zapoznać się z naszą ofertą. Mam ogromną satysfakcję, że tych ludzi jest coraz więcej i coraz więcej jest zorganizowanych grup, np. z południa Polski. Przyjeżdżają uczniowie z liceów plastycznych albo ze sprofilowanych klas z innych szkół. Obserwuję ich z radością, bo sam miałem podobne doświadczenie. Wchodząc do tego budynku, nie wiedziałem, co mnie spotka, a myślenie o wysokim progu uczelni było paraliżujące. Teraz mam świadomość, że kandydaci za chwilę spotkają się z dydaktykami, którzy będą ich traktować po partnersku i odpowiedzą na pytania, nie budując przy tym ofert bez pokrycia. Szczerość komunikacji powoduje, że wykładowcy pamiętają później te osoby, gdy spotykają się z nimi na egzaminach wstępnych albo gdy potem z nimi pracują. To jest dla mnie niesamowity motywator do pracy, gdy przypominam sobie ludzi, którzy nam zaufali. Jest naszą wielką odpowiedzialnością, aby tego zaufania nie zawieść. Na początku roku akademickiego wraz ze wszystkimi prorektorami i z całym zarządem pojawiamy się na spotkaniu z pierwszym rokiem. Deklaruję wówczas, że mój gabinet jest zawsze otwarty dla studentów. Mam także wyznaczoną tzw. rektorówkę, czyli stałe terminy, w których na nich czekam, a pani prorektor ds. studenckich też ma swoje stałe dyżury. To co robimy dla studentów, to jest właśnie akademia. Nie ma studentów – nie ma Akademii Sztuk Pięknych w Gdańsku.

Odwołuje się pan także do swojego osobistego doświadczenia…

Pamiętam jak na egzamin wstępny jechałem trzema pociągami, a ponieważ rano nie zadzwonił mi budzik, nie zdążyłem na pierwszy z tych pociągów. Przerażony wbiegłem na akademię lekko spóźniony, ale komisji już nie było. Wówczas asystentka, obecna prof. Maria Targońska, widząc moją desperację, wykonała dwa telefony, komisja wróciła i dzięki temu jestem tutaj. To była absolutna empatia i chciałbym, aby ta cecha zakorzeniła się w naszej akademii na zawsze.

Rozmawiała Krystyna Matuszewska



Fot. Jan Dardziński

Julia Bączek

Czy można zmienić bolesne wspomnienia?

O tym, jak psychoterapia próbuje zmieniać emocjonalne znaczenie doświadczeń z dzieciństwa

Za każdym razem, gdy wracamy do jakiegoś doświadczenia, wspomnienie staje się na krótko bardziej podatne na zmianę. Proces ten określa się mianem rekonsolidacji pamięci. To właśnie idea rekonsolidacji stała się jednym z punktów wyjścia naszego badania.

„Wyobraź sobie siebie jako małą dziewczynkę". Od takiego zdania rozpoczynały się scenariusze wykorzystywane w naszym badaniu. Dla części uczestników była to podróż do wspomnień związanych z krytyką, odrzuceniem i poczuciem porażki. Dla badaczy była to możliwość przyjrzenia się jednemu z najbardziej fascynujących pytań współczesnej psychoterapii: czy można zmienić emocjonalne znaczenie trudnych wspomnień? Psychoterapia od dawna nie zajmuje się już wyłącznie pytaniem o to, czy coś działa. Coraz częściej badaczy interesuje także, jak to działa. Jakie procesy psychiczne i biologiczne odpowiadają za trwałą zmianę? Co sprawia, że pewne wspomnienia przestają wywoływać lęk, wstyd lub poczucie winy? I dlaczego niektóre interwencje terapeutyczne przynoszą długotrwałą poprawę, podczas gdy inne dają jedynie chwilową ulgę? Pytania te są szczególnie istotne w przypadku wspomnień autobiograficznych związanych z dzieciństwem. To właśnie one często stają się fundamentem sposobu, w jaki człowiek postrzega siebie, innych ludzi i własną wartość. Krytyka ze strony rodziców lub opiekunów, nawet jeśli nie była związana z przemocą czy jawnym odrzuceniem, może pozostawiać trwały ślad psychiczny. Dziecko uczy się wtedy, że błędy prowadzą do utraty akceptacji, a porażka oznacza bycie „gorszym". Z czasem takie doświadczenia mogą przekształcić się w lęk przed porażką, perfekcjonizm czy poczucie bycia niewystarczającym.

W ostatnich latach coraz większe zainteresowanie budzą techniki terapeutyczne wykorzystujące wyobraźnię. Jedną z nich jest reskrypcja wyobrażeniowa. To metoda polegająca na ponownym przywoływaniu trudnego wspomnienia i symbolicznym zmienianiu jego przebiegu w wyobraźni. Osoba wraca myślami do bolesnej sytuacji z dzieciństwa, ale tym razem scena rozwija się inaczej: pojawia się wsparcie, ochrona albo reakcja, której kiedyś zabrakło. Celem nie jest zmiana zaistniałych faktów, lecz zmiana emocjonalnego znaczenia wspomnienia. Choć technika ta od lat stosowana jest w terapii zaburzeń lękowych, traumy czy zaburzeń osobowości, nadal nie wiadomo dokładnie, dlaczego działa. Czy zmienia sam ślad pamięciowy? Czy jedynie osłabia emocjonalną reakcję? A może kluczową rolę odgrywa zaskoczenie, czyli moment, w którym umysł doświadcza czegoś zupełnie innego, niż się spodziewa?

Pamięć nie jest archiwum

Przez długi czas pamięć traktowano jak magazyn, w którym doświadczenia zostają zapisane w mniej lub bardziej trwałej formie. Współczesna neurobiologia pokazuje jednak, że wspomnienia są znacznie bardziej plastyczne. Za każdym razem, gdy wracamy do jakiegoś doświadczenia, wspomnienie staje się na krótko bardziej podatne na zmianę. Proces ten określa się mianem rekonsolidacji pamięci. To właśnie idea rekonsolidacji stała się jednym z punktów wyjścia naszego badania. Niektóre eksperymenty sugerowały wcześniej, że istnieje szczególne „okno czasowe", pojawiające się po aktywacji wspomnienia, w którym możliwa jest głębsza modyfikacja jego emocjonalnego znacze-

nia. Jeśli nowa informacja pojawi się we właściwym momencie, pamięć może zostać zaktualizowana, a reakcja emocjonalna trwale osłabiona. W praktyce oznaczałoby to, że psychoterapia mogłaby nie tylko pomagać człowiekowi lepiej radzić sobie z emocjami, ale częściowo zmieniać sposób, w jaki mózg przechowuje znaczenie dawnych doświadczeń. Hipoteza ta jest niezwykle atrakcyjna, ale trudna do zweryfikowania. Większość wcześniejszych badań dotyczyła prostych reakcji warunkowych, takich jak lęk wywoływany obrazem pająka czy nieprzyjemnym bodźcem dźwiękowym. Znacznie trudniej badać rekonsolidację w odniesieniu do autobiograficznych wspomnień związanych z relacjami, poczuciem własnej wartości i złożonymi emocjami społecznymi.

Powrót do scen z dzieciństwa

Do badania zaprosiliśmy młodych dorosłych z nasilonym lękiem przed porażką. Każdy uczestnik przechodził wcześniej szczegółową rozmowę z terapeutą, podczas której opowiadał o wspomnieniach związanych z krytyką, rozczarowaniem i poczuciem zawodu ze strony ważnych osób, najczęściej rodziców lub opiekunów. Nie były to anonimowe scenariusze przygotowane w laboratorium, lecz prawdziwe autobiograficzne doświadczenia konkretnych osób. Na podstawie tych rozmów tworzono indywidualne scenariusze wyobrażeniowe. Każda osoba otrzymywała własny zestaw nagrań opisujących jej wspomnienia: miejsca, sytuacje, emocje i słowa, które rzeczywiście pojawiały się w jej historii. Co istotne, scenariusze były nagrywane głosem tego samego terapeuty, który wcześniej rozmawiał z uczestnikiem o jego doświadczeniach. Dzięki temu procedura miała bardziej osobisty i emocjonalnie angażujący charakter. Nagrania rozpoczynały się od stopniowego wprowadzania uczestnika w scenę. Pojawiały się opisy otoczenia, szczegóły sensoryczne i odniesienia do konkretnego wieku uczestnika: „Wyobraź sobie siebie jako ośmioletnią dziewczynkę…” albo: „Wyobraź sobie siebie jako dwunastoletniego chłopca…”. Następnie scenariusz prowadził do najbardziej emocjonalnego momentu wspomnienia, czyli chwili krytyki, odrzucenia lub rozcza-



Rys. Sławomir Makal

rowania. Tak przygotowane i nagrane scenariusze stanowiły zasadniczy element interwencji terapeutycznej. Uczestnicy wielokrotnie odsłuchiwali je podczas kolejnych sesji, wracając do własnych wspomnień w kontrolowanych warunkach eksperymentalnych.

W pierwszej interwencji stosowano klasyczną ekspozycję wyobrażeniową. Osoby wielokrotnie wracały do trudnej sceny, koncentrując się na emocjach, reakcjach ciała i przebiegu wydarzeń. Tego rodzaju technika zakłada, że stopniowe oswajanie się z bolesnym wspomnieniem prowadzi do wygaszania reakcji emocjonalnej. W drugiej grupie stosowano reskrypcję wyobrażeniową. W kulminacyjnym momencie sceny, czyli tuż przed krytyką, pojawiał się terapeuta, który zatrzymywał krytykę, reagował na potrzeby dziecka i wprowadzał element wsparcia oraz bezpieczeństwa. Trzecia grupa przechodziła podobną procedurę, jednak przed częścią „zmieniającą" wprowadzano dziesięciominutową przerwę. Miała ona uruchomić wspomniane wcześniej okno rekonsolidacji pamięci. Zakładaliśmy, że taki zabieg może sprawić, iż efekt terapii będzie trwalszy.

Udział osoby badanej trwał 6 miesięcy i obejmował nie tylko pomiary kwestionariuszowe, lecz także rejestrację reakcji fizjologicznych. Mierzyliśmy między innymi aktywność elektrodermalną skóry, tzn. wskaźnik pobudzenia autonomicznego układu nerwowego. Innymi słowy, obserwowaliśmy, jak ciało reaguje na powrót do trudnych wspomnień. Dodatkowo analizowaliśmy poziom alfa-amylazy ślinowej, enzymu, którego stężenie wzrasta pod wpływem stresu i aktywacji współczulnego układu nerwowego. Pozwala on śledzić krótkotrwałe reakcje organizmu na obciążenie emocjonalne, stanowiąc biologiczny marker fizjologicznego pobudzenia.

Co właściwie się zmieniło?

Najbardziej podstawowy wynik był zarazem najbardziej jednoznaczny: wszystkie trzy interwencje przyniosły poprawę. Uczestnicy odczuwali mniej lęku, smutku, poczucia winy i napięcia podczas przywoływania wspomnień związanych z krytyką. Zmniejszyła się również fizjologiczna reaktywność organizmu. Efekty utrzymywały się jeszcze po trzech i sześciu miesiącach od zakończenia badania. To ważna obserwacja. Pokazuje bowiem, że już samo bezpieczne i wielokrotne konfrontowanie się z trudnym wspomnieniem może prowadzić do osłabienia jego emocjonalnej siły. Jednocześnie wyniki okazały się bardziej złożone, niż zakładaliśmy. Technika oparta na rekonsolidacji pamięci nie przyniosła wyraźnie lepszych efektów niż klasyczna reskrypcja wyobrażeniowa. Co więcej, w części analiz standardowa forma reskrypcji wyobrażeniowej wydawała się nawet bardziej stabilna niż wersja z przerwą. Nie oznacza to jednak, że koncepcja rekonsolidacji jest błędna. Raczej pokazuje, jak trudno przenieść laboratoryjne modele uczenia się na złożone doświadczenia autobiograficzne. Wspomnienia związane z dzieciństwem nie przypominają prostych reakcji warunkowych badanych w eksperymentach nad strachem. Są wielowarstwowe, silnie osadzone w relacjach społecznych i powiązane z poczuciem tożsamości.

Zaskoczenie jako mechanizm zmiany

Jednym z najciekawszych rezultatów badania okazała się rola tak zwanego błędu przewidywania (prediction error). W psychologii i neuronauce termin ten oznacza sytuację, w której wydarzenia przebiegają inaczej, niż przewidywał nasz mózg. To właśnie taki moment uruchamia proces uczenia się. Mózg otrzymuje sygnał, że jego dotychczasowy model świata wymaga aktualizacji. W przypadku reskrypcji wyobrażeniowej uczestnicy spodziewali się dalszego przebiegu krytycznej sceny. Tymczasem wydarzenia rozwijały się inaczej: pojawiała się pomoc, wsparcie i ochrona. Reakcja organizmu sugerowała, że taka zmiana wywoływała krótkotrwały wzrost pobudzenia fizjologicznego. Co istotne, im silniejszy był ten efekt, tym większa okazywała się późniejsza poprawa. Zależność ta pojawiała się w grupach wykorzystujących reskrypcję wyobrażeniową, ale nie w klasycznej ekspozycji wyobrażeniowej. Sugeruje to, że kluczowym elementem terapeutycznej zmiany może być nie samo przypominanie sobie trudnych doświadczeń, lecz doświadczenie czegoś nowego wobec starego wspomnienia. To bardzo interesujący trop teoretyczny. Wskazuje bowiem, że skuteczna psychoterapia może częściowo polegać na przełamywaniu utrwalonych oczekiwań emocjonalnych. Osoba, która przez lata spodziewała się odrzucenia, krytyki lub braku wsparcia, doświadcza, choćby w wyobraźni, alternatywnego scenariusza, a mózg traktuje to doświadczenie jako informację, że dawne reguły nie są absolutne.

Co mówiło ciało?

Jednym z najbardziej interesujących aspektów badania było połączenie subiektywnych deklaracji uczestników z pomiarami fizjologicznymi. W psychoterapii często zakłada się, że jeśli ktoś mówi o poprawie, oznacza to również głębszą zmianę emocjonalną. Nie zawsze jednak oba poziomy są ze sobą zgodne. W naszym badaniu reakcje fizjologiczne i deklarowane emocje częściowo się różniły. W niektórych sytuacjach uczestnicy opisywali poprawę także w odniesieniu do wspomnień, które nie były bezpośrednio objęte terapią, podczas gdy ich organizm nadal reagował podwyższonym pobudzeniem. To przypomina, że zmiana psychiczna nie jest procesem jednowymiarowym. Człowiek może świadomie odczuwać większy spokój, a jednocześnie jego układ nerwowy nadal pozostaje częściowo „wyczulony" na określone sygnały zagrożenia. Być może właśnie dlatego pełna zmiana emocjonalna wymaga czasu i wielokrotnych doświadczeń korygujących.

Psychoterapia jako laboratorium pamięci

Jeszcze kilkanaście lat temu badania nad psychoterapią koncentrowały się głównie na skuteczności poszczególnych metod. Dziś coraz większą rolę odgrywa pytanie o mechanizmy zmiany. Psychoterapia staje się w pewnym sensie laboratorium badającym pamięć, emocje i uczenie się. Techniki wyobrażeniowe są pod tym względem szczególnie interesujące, ponieważ pozwalają obserwować proces modyfikowania znaczenia wspomnień niemal „na żywo". Łączą doświadczenie psychologiczne z procesami neurobiologicznymi i pokazują, że granica między pamięcią a emocjami jest znacznie bardziej płynna, niż mogłoby się wydawać. Nasze wyniki sugerują, że skuteczność terapii może opierać się zarówno na klasycznych mechanizmach ekspozycji i oswajania lęku, jak i na bardziej subtelnych procesach związanych z przełamywaniem oczekiwań emocjonalnych. Jednocześnie pokazują, że rekonsolidacja pamięci, choć niezwykle obiecująca teoretycznie, w rzeczywistych autobiograficznych doświadczeniach może działać inaczej niż w prostych eksperymentach laboratoryjnych.

Być może najważniejszy wniosek płynący z tego typu badań jest jednak bardziej ogólny. Trudne doświadczenia z dzieciństwa nie są jedynie „zapisem przeszłości". Za każdym razem, gdy do nich wracamy, stają się częścią aktualnego doświadczenia psychicznego. A skoro pamięć pozostaje dynamiczna, możliwa staje się również zmiana nie poprzez wymazanie przeszłości, lecz poprzez nadanie jej nowego znaczenia.

Mgr Julia Bączek, psycholog, doktorantka w Interdyscyplinarnej Szkole Doktorskiej Uniwersytetu SWPS w Warszawie

Rozmowa z prof. Barbarą Gawdą, kierownikiem Katedry Psychologii Emocji i Osobowości
Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie

Trzeba szukać luk w obszarach wiedzy

Nieuzasadnione jest oczekiwanie, że młodego badacza zmotywują czynniki zewnętrzne, takie jak wynagrodzenie czy pozyskiwanie grantów. Młody naukowiec musi kierować się osobistym, wewnętrznym zainteresowaniem. To chyba jedyna droga.

Jak ocenia pani obecny status psychologii w systemie nauk?

Psychologia należy do nauk soft, lecz dba o to, żeby prowadzone badania miały podstawy empiryczne oraz były oparte na ścisłej metodologii. Badania psychologiczne są prowadzone w ścisły sposób, psychologia wypracowała chociażby testy do pomiaru inteligencji, które są obiektywnymi narzędziami. Dyscyplina stara się odchodzić od spekulatywnych koncepcji, opartych jedynie na refleksji badacza. Stan psychologii jako dyscypliny jest obecnie dość dobry, lecz w stosunku do nauk ścisłych zawsze będzie ona na gorszej pozycji. Wiąże się to chociażby z mniejszym finansowaniem psychologii.

Współczesna psychologia coraz mocniej opiera się na modelowaniu matematycznym i analizie Big Data. Czy nie tracimy przy tym z oczu jednostkowego doświadczenia, które było fundamentem tej dyscypliny?

Nie tracimy, bo jest to jedynie metodologia. Matematyczne metody wykorzystujemy w psychologii od dekad, a indywidualny aspekt nie jest tracony, o ile rozsądnie się do tego zjawiska podchodzi. Posłużę się przykładem analizowania dokumentów: ostateczną decyzję podejmuje zawsze ekspert, a stosowane metody mają często charakter pomocniczy. Są one narzędziem, a nie celem samym w sobie. Trzeba jednak podkreślić, że obecne metody są bardzo precyzyjne, np. w obszarze terapii mamy metody oparte na AI. Sztuczna inteligencja prowadzi niekiedy rozmowę z pacjentem, taka rozmowa jest diagnostyczna, a terapia oparta na technikach AI jest korzystna dla niektórych grup osób, np. pacjentów z osobowością unikającą, którzy często boją się kontaktu twarzą w twarz. Spora część takich pacjentów woli kontakt z aplikacją niż z terapeutą. Wykorzystane w odpowiedni sposób technologie będą pomocne.

Jakie są największe wyzwania w doborze prób badawczych w dobie dominacji badań prowadzonych online?

Wyzwanie stanowi fakt, że nie jesteśmy pewni, jaka jest wiarygodność osoby odpowiadającej na pytania. Nie wiemy, czy człowiek odpowiada na pytania samodzielnie, czy też posiłkuje się pomocą rodziny oraz przyjaciół. Badania online nie sprawdzają się zresztą w przypadku ludzi negatywnie nastawionych oraz osób, które nie mają odpowiedniej motywacji. Nie jesteśmy w stanie dotrzeć w taki sposób np. do osób, które mają zaburzenia poznawcze. Badania online nie sprawdzają się także w przypadku ludzi, którzy słabo posługują się nowymi technologiami. Problem ten dotyczy osób starszych, które musimy badać w sposób tradycyjny.

Jakie wyzwania etyczne stawia przed psychologią rozwój sztucznej inteligencji?

Zagrożenia wiążą się z zachowaniem studentów, którzy niekiedy wykorzystując sztuczną inteligencję, tworzą np. sylwetki ludzi, którzy nie istnieją, a następnie prezentują te informacje na zaliczenie przedmiotu. Zdarzają się też sytuacje, kiedy całe prace zaliczeniowe są pisane przez sztuczną inteligencję. Wspomniane zjawisko nie dotyczy jednak jedynie psychologii. Kolejnym problemem jest „produkowanie przez sztuczną inteligencję baz danych", a niekiedy trudno jest stwierdzić, czy są one prawdziwe, czy też nie. Zdarzają się również prace naukowe wytwarzane przez AI, np. w ubiegłym roku do szkoły doktorskiej nauk społecznych na UMCS aplikowały trzy osoby. Dwie spośród nich przygotowały projekt rozprawy doktorskiej przy pomocy ChataGPT. Nie sprawdziły jednak zawartych w projekcie informacji. Elementem, na który zwróciliśmy uwagę, była bibliografia – sztuczna inteligencja często umieszcza w bibliografii nieistniejące nazwiska albo łączy niepasujące do siebie elementy. W bibliografii przygotowanej przez potencjalnych doktorantów znalazły się pozycje napisane przez Marksa, Engelsa i Lenina, co było wręcz kuriozalne. Pokazuje to brak krytycyzmu młodych ludzi w stosunku do nowoczesnych technologii, wspomniane osoby nie zadały sobie nawet trudu, aby sprawdzić bibliografię. Nie znały literatury, terminologii, nie miały pomysłu na prowadzenie badań, dlatego zleciły opracowanie projektu rozprawy doktorskiej sztucznej inteligencji. Do szkoły doktorskiej oczywiście się nie dostały. Z podobnym zjawiskiem mam niekiedy do czynienia sprawdzając prace magisterskie.

Które z klasycznych teorii psychologicznych, pani zdaniem, najlepiej zniosły próbę czasu, a które powinniśmy definitywnie odesłać do historii nauki?

Do historii nauki musimy odesłać np. psychoanalizę Freuda, lecz nadal jest ona obecna w podręcznikach oraz źródłach psychologicznych. Jest obecna nawet w praktyce psychologicznej i stosowana w terapii. Nadal mamy do czynienia z ogromnym gronem zwolenników tego nurtu, którzy stosują koncepcję psychoanalizy do pracy z pacjentami zmagającymi się chociażby z depresją. Z kolei teorią dobrze wyjaśniającą funkcjonowanie człowieka, która sprawdza się w terapii i procesie diagnozy, jest np. teoria schematów poznawczych. Ten nurt poznawczy w psychologii jest stosunkowo młody, teoria poznawcza depresji Becka zakłada, że podstawą choroby są ściśle ukształtowane schematy mentalne. Wspomniane schematy dotyczą obrazu siebie samego, świata oraz emocji. Są na stałe wbudowane w psychikę człowieka chorego na depresję, a następnie uruchamiają szereg innych reakcji. Koncepcja zakłada, że pacjenci mają wbudowane procedury działania oraz procedury emocjonalne. Przejawia się to m.in. w relacjach z innymi ludźmi, w stosunku do własnej osoby. Beck tworzył koncepcję w latach 70. oraz 80., a jego teoria ma zastosowanie chociażby w terapii behawioralno-poznawczej.

W jakim kierunku będzie ewoluować psychologia akademicka w ciągu najbliższych 10-20 lat?

Uważam, że obszarem, który będzie się rozwijał, są badania z zakresu psychologii pozytywnej. Zatacza ona coraz szersze kręgi, np. psychologia pozytywna kliniczna kładzie nacisk na zasoby osobowościowe, a nie na sam fakt występowania zaburzenia. Jest to swego rodzaju przesunięcie punktu ciężkości. Psychologia pozytywna dotyczy też budowania zasobów w obszarze marketingu, ma zastosowanie w psychologii pracy, a także w psychologii rozwojowej, pracy z dziećmi oraz młodzieżą. Psychologia pozytywna jest również powiązana z psychologią egzystencjalną, ponieważ zajmuje się takimi zagadnieniami, jak poczucie sensu życia albo pustka egzystencjalna. Różni się jednak od znanego z minorowych nastrojów ujęcia egzystencjalnego, które zakłada, że w sam początek wpisany jest koniec. W przypadku psychologii pozytywnej skupiamy się bardziej na możliwości radzenia sobie z kryzysami egzystencjalnymi. Nurt pozytywny jest swego rodzaju rewitalizacją podejścia humanistycznego z lat 50., było ono pozytywne, lecz nie posługiwało się odpowiednią metodologią. Z kolei psychologia pozytywna dba o stosowanie narzędzi naukowych, jest oparta na badaniach oraz dowodach.

Czy wprowadzenie szkół doktorskich sprawdziło się w psychologii, zwłaszcza z punktu widzenia odnawiania kadry naukowej?

Raczej nie, choć trudno kategorycznie odpowiedzieć na to pytanie, bo szkoły doktorskie funkcjonują dopiero od kilku lat. Idea polega na tym, że w szkole nauk społecznych znajduje się kilkanaście dyscyplin. Miejsc dla psychologii jest zatem niewiele, na roku mamy często zaledwie jednego doktoranta ze względu na selekcję stosowaną na etapie rekrutacji. To bardzo mała liczba osób, a potrzeby są spore. Uważam, że obecny model nie pozwala na dobrą selekcję, chociaż poprzednia formuła, kiedy mieliśmy znacznie większą liczbę studentów – 5-6 osób na roku – też się nie sprawdziła. Kwestia odnawiania kadry naukowej powiązana jest raczej z innymi problemami niż instytucja szkół doktorskich. Doktoranci nie chcą kontynuować pracy naukowej na uczelni, a jest to związane m.in. ze zbyt niskimi zarobkami asystentów oraz z dużymi wyzwaniami. Młody naukowiec jest zobowiązany do nieustannego publikowania, wymaga to finansowania oraz dużej determinacji. Artykuły są często odrzucane przez redaktorów lub recenzentów, a młodzi ludzie się zniechęcają. Nieustannie zmieniają się też listy punktowanych czasopism, trwają prace ministerialne nad wspomnianą listą, lecz nadal nie przyniosły one efektów. Młodzi naukowcy nie wiedzą, dokąd mają wysyłać artykuły, czy mają się kierować starą listą, czy też innymi czynnikami. Demotywuje to nie tylko młodych ludzi, przekłada się na niskie wskaźniki pozyskiwania grantów. Dużo łatwiej jest bowiem pozyskać grant z dyscyplin ścisłych.



Źródło: umcs.pl

Jaką radę, z perspektywy lat doświadczeń, dałaby pani młodym badaczom, którzy wchodzą na ścieżkę naukową w tak dynamicznie zmieniającym się środowisku?

Podstawową rzeczą, na której można się oprzeć, jest wewnętrzna motywacja, zainteresowanie obszarami, które są według danej osoby ciekawe. Trzeba szukać obszarów, w których występują luki. Niewystarczająco opisane są pewne zjawiska w obszarze emocji, np. ciekawość, nie mamy na ten temat wielu podręczników. Wracając do odpowiedzi na pytanie, nieuzasadnione jest oczekiwanie, że młodego badacza zmotywują czynniki zewnętrzne, takie jak wynagrodzenie czy pozyskiwanie grantów. Młody naukowiec musi kierować się osobistym, wewnętrznym zainteresowaniem. Nie jest to łatwe, ale to chyba jedyna droga.

Jakie jest, a jakie być powinno kształcenie psychologów? Kto powinien je prowadzić? Jakie znaczenie ma jakość kształcenia psychologów?

Na UMCS-ie jakość kształcenia jest bardzo dobra, podobnie jest na innych uczelniach publicznych. Problemy występują na prywatnych uczelniach, jakość nie jest tam często zadowalająca, ale niewiele możemy z tym zjawiskiem zrobić, bo wszystko zależy od oceny Państwowej Komisji Akredytacyjnej. Na prywatnych uczelniach zajęcia często odbywają się online, a grupa studentów liczy np. 400 osób. Studenci często nie mają kontaktu z narzędziami praktycznymi, nie piszą protokołów dotyczących diagnozy psychologicznej. Kształcenie na prywatnych uczelniach odbiega często od standardów, a takich uczelni jest bardzo dużo i wielu psychologów uzyskuje na tej podstawie dyplomy.

Czy psychoterapia powinna być zawodem regulowanym?

Tak, powstał projekt ustawy w tym zakresie, lecz przewiduje on, że psychoterapeutą może być zarówno geolog, archeolog, logopeda czy pedagog, pod warunkiem, że zdobędzie certyfikat. Takie podejście jest w mojej ocenie niewłaściwe, uważam, że możliwości prowadzenia terapii powinny mieć jedynie osoby po studiach psychologicznych. Podejrzewam jednak, że obecny kształt ustawy zostanie zaakceptowany.

W początkowej fazie kariery naukowej zajmowała się pani badaniem pisma. Co mówi ono o człowieku? Czy to aktualny temat w czasie, gdy wszyscy przechodzimy z długopisów na klawiatury?

Badaniem pisma zajmowałam się przez bardzo długi czas, moja rozprawa doktorska dotyczyła właśnie tej tematyki. Badałam związek charakteru pisma z występowaniem różnego rodzaju zaburzeń. Swoje badania podsumowałam w książce opublikowanej w 2018 roku. Wniosek był taki, że pismo w niewielkim stopniu wiąże się z właściwościami psychicznymi. W pewnych skrajnych stanach sposób pisania może być zmodyfikowany, ale generalnie nie ma możliwości diagnozy cech osobowości, zaburzeń oraz ilorazu inteligencji na podstawie pisma odręcznego. Przestałam zajmować się tą problematyką, ponieważ zakończyłam badania oraz m.in. ze względu na to, że coraz częściej piszemy w formie elektronicznej. Obszar graficzny doprowadził mnie jednak do kolejnego obszaru, do analizy treści wypowiedzi. Bardziej interesuje mnie obecnie to, co oraz w jaki sposób mówimy lub piszemy. Analiza wypowiedzi pod względem treści, to, jakich słów używamy, ma większe znaczenie oraz jest nieustannie aktualna.

Jedna z pani monografii dotyczyła ekspresji emocji u osób z zaburzeniem antyspołecznym. Swego czasu dużą popularnością cieszyła się książka Jona Ronsona *Czy jesteś psychopatą. Fascynująca podróż po świecie obłędu*. Czy osobowość antyspołeczna została już wystarczająco zbadana, czy jest jeszcze przestrzeń do prowadzenia badań naukowych w tym zakresie?

Taka przestrzeń istnieje. Osobowość antyspołeczna to zjawisko szeroko opisane, lecz udało mi się znaleźć niszę badawczą. Zajęłam się językiem emocjonalnym, tym, w jaki sposób ci ludzie mówią o miłości, nienawiści oraz lęku. Zjawisko psychopatii jest bardzo złożone, wielu rzeczy w tej materii nadal nie wiemy. Wcześniej uważano, że osoby z osobowością antyspołeczną nie przeżywają lęku i nie potrafią o nim mówić. Okazało się, że jednak przeżywają lęk, lecz tylko w odniesieniu do niektórych obiektów oraz obszarów. Zastosowaliśmy test pokazujący psychopatom zdjęcia twarzy wyrażających strach. Okazało się, że nie rozpoznają oni tej emocji, ale jeśli np. przestraszymy osoby z tym zaburzeniem osobowości w taki sposób, że zabierzemy im pieniądze, to wówczas będą odczuwały strach. Kiedyś uważano, że to jednolita grupa, a tymczasem psychopaci są grupą bardzo zróżnicowaną, jest wiele podtypów tego zaburzenia. Warto nadal prowadzić badania choćby w zakresie empatii psychopatów. Przez wiele lat uważano, że są jej pobawieni. Okazało się jednak, że przejawiają empatię, lecz osiągają jedynie jej podstawowy poziom, a nie są w stanie osiągnąć kolejnych, głębszych jej warstw. W dalszym ciągu nie wiemy też, w jaki sposób mamy sobie radzić z psychopatami w sensie terapeutycznym.

Ostatnią wydaną przez panią monografią jest *Psychologia nienawiści*. Czy da się dogłębnie zbadać to zjawisko?

Trzeba podejmować próby, zwłaszcza że nienawiść to bardzo ważna emocja, powszechnie obecna na świecie oraz w życiu różnych ludzi. W psychologii mamy wiele ujęć zjawiska nienawiści, występuje ono zarówno na płaszczyźnie językowej (mowa nienawiści), jak i relacyjnej. Nienawiść jest emocją trudną do zbadania, ludzie nie chcą się do niej przyznawać, bo generalnie nie jest aprobowana społecznie, z wyjątkiem niektórych środowisk, np. kibicowskiego. Myślę, że jesteśmy jednak w stanie zbliżyć się do mechanizmów rządzących zjawiskiem nienawiści.

W jakim sensie nienawiść jest zjawiskiem indywidualnym, a w jakim faktem społecznym? Jak wpływa na człowieka i na społeczności?

W życiu jednostek nienawiść pełni najczęściej funkcję porządkującą świat, powoduje izolację od obiektu nienawiści. Jeśli ktoś kogoś nienawidzi, to uważa, że nie powinien się do niego zbliżać. Pełni to funkcję odseparowania od pewnych osób i obiektów. Z kolei nienawiść w znaczeniu ogólnym pełni funkcję destrukcyjną, ukierunkowuje człowieka na zemstę, próby rewanżu. Często ktoś, kto nienawidzi, chce to uczucie wyrazić. Może być też tak, że indywidualnie człowiek nie doświadczył krzywdy, która mogłaby spowodować nienawiść, ale nauczy się samej nienawiści. Uczenie się nienawiści występuje w subkulturach, np. środowiskach kibicowskich, które żyją często nienawiścią do innego klubu. Trzeba też przypomnieć, że osoba, która nienawidzi, często uważa siebie za lepszą oraz bardziej poprawną moralnie.

Rozmawiał Grzegorz Rekiel

Kształcenie na kierunku psychologia w Polsce

Obecnie kształcenie na kierunku psychologia realizuje 86 uczelni, w tym 43 akademickie i 43 zawodowe. W grupie akademickich jest 265 uczelni publicznych, 3 kościelne i 14 niepublicznych. W grupie uczelni zawodowych jest 7 publicznych i 36 niepublicznych.

Kadrę nauczycieli akademickich w 3 akademickich uczelniach kościelnych tworzy 9 profesorów tytularnych, 21 doktorów habilitowanych i 72 doktorów. W 26 publicznych uczelniach akademickich przy kształceniu psychologów pracuje 66 profesorów tytularnych, 193 doktorów habilitowanych i 497 doktorów. Kadrę wykładowców kierunku psychologia w 14 niepublicznych uczelniach akademickich tworzy 30 profesorów tytularnych, 59 doktorów habilitowanych i 193 doktorów.

W 7 publicznych uczelniach zawodowych kadrę kierunku psychologia stanowi 4 doktorów. W 36 niepublicznych uczelniach zawodowych psychologów kształci 5 profesorów tytularnych, 22 doktorów habilitowanych i 89 doktorów.

Większość - ponad 59 tys. – studentów psychologii studiuje w uczelniach akademickich. Na studiach niestacjonarnych kształci się 61,3% studentów psychologii; na profilu praktycznym – 52,3%. W uczuleniach, które nie ewaluowały dyscypliny psychologia studiuje 40,4% studentów psychologii, a dodatkowe 5,5% w tych, które w poprzedniej ewaluacji uzyskały kategorię B; w uczelniach, które uzyskały kat. A+ w ewaluacji studiuje 17,5% przyszłych psychologów.

Opr. PK, na podstawie raportu o studiach psychologicznych w Polsce, sporządzonego przez badaczki z Uniwersytetu SWPS, Uniwersytetu Jagiellońskiego, Uniwersytetu Warszawskiego i Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu

Lubow Żwanko, Dmytro Kibkało

Profesor Stanisław Trzebiński (1861–1930)

Historyk medycyny, profesor Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie

Świetny lekarz praktyk, filantrop, aktywny działacz polskiej wspólnoty w Kijowie, profesor medycyny na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie, jeden z wybitnych historyków medycyny Polski, wbrew tragicznym wyzwaniom losu zawsze znajdował w swoim życiu miejsce dla nauki.

Stanisław Trzebiński urodził się 14 września 1861 r. w majątku rodzinnym Popowcach na Podolu (obecnie obwód winnicki, Ukraina) w rodzinie Adolfa, właściciela wsi Łąki i nauczycielki Anieli Trzebińskich. Rodzina pochodziła z Krakowskiego. Przodkowie, pieczętujący się herbem Jastrzębiec, nazywali się właściwie Trzebieńscy, gdyż gniazdem ich, według podań rodzinnych, miał być Trzebień w Krakowskiem. Przenieśli się na Ruś, do Nowego Korczyna, prawdopodobnie w pierwszej połowie XVIII wieku. „Wczesne dzieciństwo upłynęło mu w majątku rodziców Łąkach. [...] atmosfera domowa bywała nieraz dość ciężka dla małego Stasia i młodszych odeń siostrzyczek Maryni i Jadwigi. Ojciec bowiem, odziedziczywszy po matce charakter dość despotyczny, przytłaczał nim do pewnego stopnia dzieci" (Adam Wrzosek).

Stanisław uczył się najpierw pod opieką matki języka francuskiego i innych przedmiotów. Ojciec uczył syna języka rosyjskiego. Język niemiecki poznawał od nauczycielki, którą rodzice sprowadzili z Niemiec. W drugiej połowie 1871 r. zaczął się nowy okres w życiu Stanisława, początek kształcenia się poza rodzinnym gniazdem. Najpierw przez rok się uczył w Krzemieńcu, a w okresie lat 1872–1881 zdobywał średnie wykształcenie w Gimnazjum św. Marii Magdaleny w Poznaniu.

Jako ścieżkę zawodową młodzieniec wybrał medycynę, którą studiował kolejno na kilku uczelniach. Najpierw (1881–1882) na Uniwersytecie Jagiellońskim, gdzie był członkiem Towarzystwa Bratniej Pomocy i Czytelni Akademickiej. Potem wyjechał do Niemiec, gdzie na uniwersytetach w Lipsku (do 1884 r.), Getyndze (przez jeden rok) i Heidelbergu, kontynuował nauczanie. W 1886 r. uzyskał dyplom doktora medycyny. Po ukończeniu studiów powrócił do stron rodzinnych. Aby móc praktykować na terenie Imperium Rosyjskiego, nostryfikował dyplom w 1887 r. na Uniwersytecie w Dorpacie. 26 maja 1888 r. na podstawie rozprawy pt. *Ueber circumscripte Bindegewebshyperplasien in den peripheren Nerven, besonders in den Plexus brachiales* (*O ograniczonych przerostach tkanki łącznej w nerwach obwodowych, szczególnie w splocie ramiennym*) uzyskał tam stopień doktora medycyny (Krzysztof Brożek).

Doskonalenie wiedzy lekarskiej

Po studiach Trzebiński najpierw doskonalił swoją wiedzę praktyczną pod kierunkiem wybitnych profesorów w ówczesnych czołowych placówkach Warszawy, Krakowa, Berlina. W Warszawie szkolił się na Oddziale Chorób Wewnętrznych Szpitala Dzieciątka Jezus u Teodora Dunina (1854–1909), jednego z najwybitniejszych polskich internistów, i w uniwersyteckim Zakładzie Anatomii Patologicznej profesora Włodzimierza Brodowskiego (1823–1903). Następnie przeniósł się do Krakowa, gdzie uzyskał stanowisko na Oddziale Chirurgicznym Szpitala św. Łazarza pod kierunkiem wybitnego polskiego chirurga Alfreda Obalińskiego (1843–1898). Później odbył szereg staży lekarskich w Berlinie, zwłaszcza w klinice chorób żołądkowych. W rodzinne strony powracał, mając duży bagaż wiedzy w kilku dziedzinach medycyny.

Na Podolu i w Kijowie

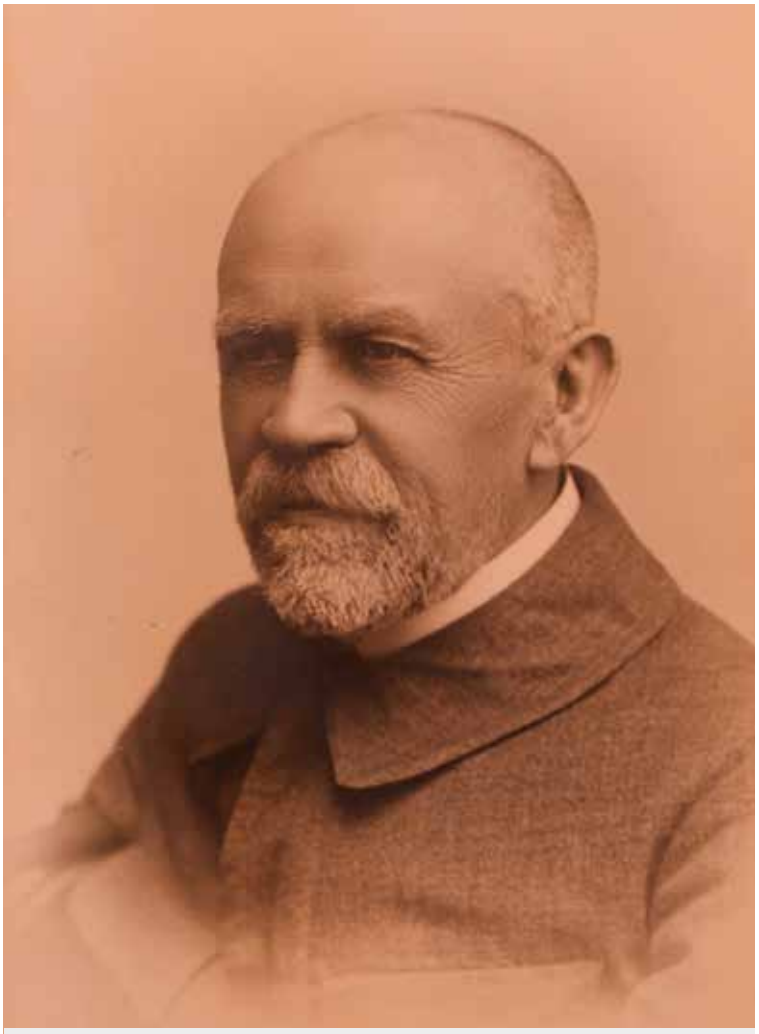
Wiosną 1890 r. przeniósł się do miasteczka Obodówki w powiecie olhopolskim guberni podolskiej (obecnie Obodiwka, wieś w Ukrainie w rejonie hajsyńskim obwodu winnickiego). Pracował tam jako lekarz fabryczny i domowy w dobrach Feliksa Sobańskiego (1833–1913), ziemianina, działacza społecznego i filantropa. Po jakimś czasie osiadł w Wołoczyskach na Wołyniu jako lekarz w majątku Leona Ledóchowskiego i lekarz cukrowni. „(...) nie pociągały go widoki zysków materialnych z pracy zawodowej lekarskiej; był lekarzem filantro-

pem w prawdziwym tego słowa znaczeniu, a mając na Podolu i Wołyniu w swej praktyce ludność przeważnie wiejską i robotników fabrycznych, zbliżał się do nich, okazując szczere zainteresowanie co do całokształtu ich życia i potrzeb kulturalnych" (Aleksander Januszkiewicz).

W 1893 r. zawarł związek małżeński z Honoratą Komar. Losy trojga ich dzieci naznaczone zostały tragizmem. Urodzony w 1894 r. pierworodny syn Zygmunt Feliks zginął podczas polowania w 1926 r., a córka Aniela przeżyła tylko 4 lata (1895–1899). Najmłodszy syn Władysław, który urodził się w roku śmierci siostrzyczki, został w 1918 r. zamordowany przez bolszewików.

W tym okresie Trzebiński ogłosił pierwsze prace badawcze, m.in. w „Przeglądzie Lekarskim" *Zapalenie nerek krwotokowe (Nephritis haemorrhagica) na tle zimniczem* (1898) i o charakterze społecznym *Największa nasza wada narodowa* (Warszawa 1902), wyróżniona pierwszą nagrodą w konkursie „Kuriera Polskiego" (Krzysztof Brożek). Niestety, warunki pracy i pobyt na prowincji nie pozwalały zajmować się szeroko pracą naukową, dlatego w 1906 r., gdy dwaj synowie doszli do wieku szkolnego, Stanisław Trzebiński przeniósł się z rodziną do Kijowa.

Otrzymał tam etat w uniwersyteckiej klinice neurologicznej profesora Michała Łapińskiego (1862–1946). Równocześnie podjął pracę w prowadzonym przez doktora Adama Modrzewskiego laboratorium chemiczno-bakteriologicznym, które wchodziło w skład Związkowej Lecznicy Polskiej.



Stanisław Trzebiński. Ze zbiorów Głównej Biblioteki Lekarskiej im. Stanisława Konopki

Stanisław Trzebiński służył wielką pomocą kijowskiej Polonii, był zaangażowany aktywnie w jej działalność. Pracował na rzecz rozwoju szeregu tamtejszych towarzystw i organizacji, prowadził praktykę lekarską. Działał w Towarzystwie Dobroczynności i Kasie Emerytalnej Pracowników Rolnych i Przemysłowych. Wykładał też psychologię w męskich i żeńskich polskich szkołach średnich. W powstałym w 1907 r. Polskim Towarzystwie Lekarskim w Kijowie pełnił kolejno funkcje wiceprezesa, prezesa i sekretarza stałego.

Podtrzymywał aktywny kontakt z nauką polską, będąc uczestnikiem szeregu forów naukowych. 11–13 października 1909 r. na I Zjeździe Neurologów, Psychiatrów i Psychologów Polskich w Warszawie wygłosił referat pt. *O przerostach endoneuralnych w nerwach obwodowych*, opublikowany w *Pracach I-go Zjazdu Neurologów, Psychiatrów i Psychologów Polskich* (Warszawa 1910). 18–22 lipca 1911 r. na XI Zjeździe Lekarzy i Przyrodników Polskich w Krakowie wygłosił kolejny referat pt. *Zmiany komórek nerwowych w rdzeniu pod wpływem autolizy*, który został opublikowany w *Księdze pamiątkowej XI Zjazdu Lekarzy i Przyrodników Polskich* (Kraków 1912).

To właśnie w Kijowie zaczął Trzebiński rozwijać swoje zainteresowania filozofią, historią i literaturą. W czasopiśmie „Nowiny Lekarskie", organie Wydziału Lekarskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk Poznańskiego, opublikował swoje badania. Były to prace: *Nieco o problemacie psychologicznym* (1911, nr 2-4), *O problemacie **życiowym*** (1911, nr 7, 10, 11) oraz pierwszy artykuł z historii medycyny *Choroba i wyzdrowienie Tadeusza Kościuszki* (1913, nr 4).

Lata wojenne i inwazja bolszewicka

W latach I wojny światowej Stanisław Trzebiński przebywał w Kijowie. W 1916 r. został wydawcą i redaktorem odpowiedzialnym czasopisma „Polski Miesięcznik Lekarski", którego trzy numery zostały opublikowane w Kijowie. Na kartach wydawnictwa umieszczano oryginalne prace badawcze oraz artykuły ze wszystkich dziedzin medycyny, streszczenia, doniesienia o nowych lekach i metodach leczenia, korespondencję, kroniki medycyny miejskiej i prowincjonalnej, protokoły towarzystw medycznych, sprawozdania z działalności organizacji sanitarnych itp.

Ten okres był bardzo trudny dla Trzebińskiego, bo zdarzyło się kilka tragicznych wypadków, które dotknęły najbliższą jego rodzinę. Starszy syn Zygmunt na początku wojny, bo jeszcze w 1914 r., dostał się do niewoli niemieckiej, co się wyjaśniło dopiero po dłuższym okresie niepewności. Młodszy syn Władysław (19 lat) w kilkanaście dni po przyjeździe do rodziców na święta Bożego Narodzenia ze szkoły junkierskiej w Moskwie został podczas pierwszego najścia bolszewików na Kijów w styczniu 1918 r. wyprowadzony z mieszkania i tuż koło domu zamordowany za to, że był w mundurze wojskowym. W czerwcu 1919 r. w swoim majątku na Podolu została zamordowana przez bolszewików ciotka Trzebińskiego, a przebywająca u niej jego matka była pobita, w wyniku czego kilka tygodni potem zmarła w swym majątku Łąki, dokąd nieprzytomną odwieźli włościanie.

W 1920 r. sam Stanisław Trzebiński został aresztowany przez bolszewików jako zakładnik w momencie zbliżania się wojsk polskich do Kijowa i był przetrzymywany w więzieniu w Charkowie przez trzy i pół miesiąca. O tym pobycie w bolszewickim więzieniu napisał wspomnienia, które niestety „gdzieś zaginęły" (Adam Wrzosek).

Powrót do kraju

W sierpniu 1921 r., po podpisaniu przez Polskę i Rosję Radziecką pokoju w Rydze, który pozwalał Polakom z byłego Imperium Rosyjskiego powrócić do kraju, Trzebiński na krótko przeniósł się do Warszawy. Tam spotkał się z żoną i synem, który po wyjściu z niewoli niemieckiej służył w wojsku polskim. Szukając pracy zarobkowej w Warszawie, Trzebiński dostał posadę w Urzędzie Zdrowia i w prywatnym laboratorium lekarskim, co wystarczało mu na skromne utrzymanie. Napisał wtedy opracowanie pt. *O chlorowaniu wody*, które opublikował w miesięczniku Związku Miast Polskich „Samorząd Miejski" (1922 nr 2).

Wiosną 1922 r. Trzebiński przeniósł się do Wilna, gdzie osiadł do końca życia. Zamieszkał przy ul. Zakrętowej 15, a później przy ul. Zamkowej 11. W wileńskim okresie rozwinął talent historyka medycyny. 17 maja 1922 r. został powołany jako profesor na katedrę historii i filozofii medycyny na odrodzonym Uniwersytecie Stefana Batorego. Wykładał propedeutykę lekarską, etykę i logikę; dodatkowo do 1926 r. prowadził katedrę patologii ogólnej i doświadczalnej. „Jest to czas wytężonej pracy zarówno na rzecz samego Wydziału Lekarskiego, jak i wokół powierzonych mu przedmiotów, czyli historii i filozofii medycyny oraz patologii ogólnej, którą prowadził aż do 1926 r., kiedy na jego wyraźną prośbę uwolniono go od tego ostatniego obowiązku. Ostatnie cztery lata życia poświęcił już bez reszty historii i filozofii medycyny oraz działalności społecznej na rzecz wileńskiego środowiska naukowego" (Ryszard W. Gryglewski). Pisał w tym okresie dziennik, który niestety też zaginął.

Stanisław Trzebiński łączył pracę na USB z działalnością społeczną. Wkrótce po przyjeździe do Wilna, „zapisał się na członka Wileńskiego Towarzystwa Lekarskiego i znalazł niewyczerpane ujście dla swych zainteresowań i upodobań w cennej bibliotece tego Towarzystwa oraz w rocznikach Pamiętnika jego posiedzeń sprzed stu lat" (Wacław Jasiński).

Od czerwca do listopada 1923 r. był dziekanem Wydziału Lekarskiego, a w 1924 r. działał w komisji nostryfikującej dyplomy lekarskie wydane przez uczelnie zagraniczne. Z ramienia senatu uczelni w 1atach 1925–1930 pełnił funkcję kuratora Konwentu Polonia w Wilnie. W Wileńskim Towarzystwie Lekarskim był od 1924 r. sekretarzem stałym, bibliotekarzem i archiwistą, a od 1926 r. redagował „Pamiętnik Wileńskiego Towarzystwa Lekarskiego i Wydziału Lekarskiego USB". Na tych łamach (R. 2: 1926 z. 1) opublikował referat wygłoszony 13 grudnia 1925 r. z okazji 120-lecia Towarzystwa pt. *Myśl lekarska w archiwum Wileńskiego Towarzystwa Lekarskiego*. W 1925 r. założył Wileńskie Koło Miłośników Historii i Filozofii Medycyny oraz Historii Nauk Przyrodniczych; kierował nim do śmierci; potem działalność Koła ustała. Aktywnie uczestniczył w zjazdach polskich historyków i filozofów medycyny, na których wygłaszał referaty z zakresu historii medycyny.

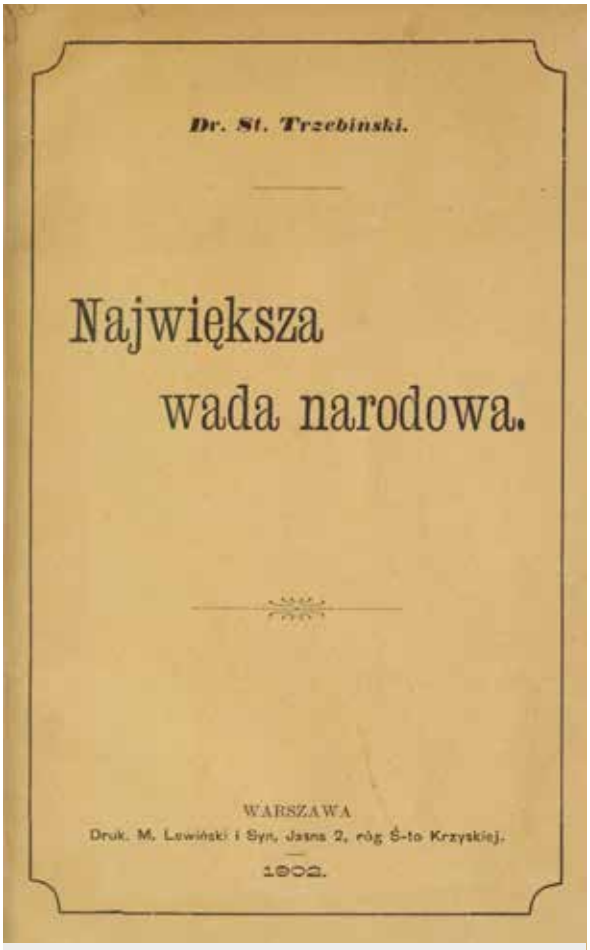
W okresie wileńskim dotknęły go tragedie osobiste. W lutym 1925 r. stracił żonę po kilkomiesięcznej ciężkiej chorobie. Z najbliższej rodziny pozostał mu starszy syn Zygmunt, kapitan w służbie czynnej, żonaty, ojciec dwojga dzieci. W niespełna półtora roku po śmierci żony los zabrał mu jednak i tego syna, który utonął w czasie polowania w lipcu 1926 r. Trzebiński pozostał samotny. „Nie wyrzeka na los, nie poddaje się rozpaczy, nie wpada w zniechęcenie. Bóle i żale zamyka głęboko i nie otwiera swej duszy przed nikim. Z całym opanowaniem, z iście filozoficznym spokojem szuka zapomnienia i ukojenia



Stanisław Trzebiński jako uczeń Gimnazjum. Źródło: A. Wrzosek, *Życie i działalność naukowa Stanisława Trzebińskiego*, „Archiwum Historii i Filozofii Medycyny" 1934, t. XIV.



Stanisław Trzebiński, 1881 r. Źródło: A. Wrzosek, *Życie i działalność naukowa Stanisława Trzebińskiego*, „Archiwum Historii i Filozofii Medycyny" 1934, t. XIV.



Okładka pracy Stanisława Trzebińskiego *Największa wada narodowa* (Warszawa: M. Lewiński), 1902. Źródło: polona2.pl

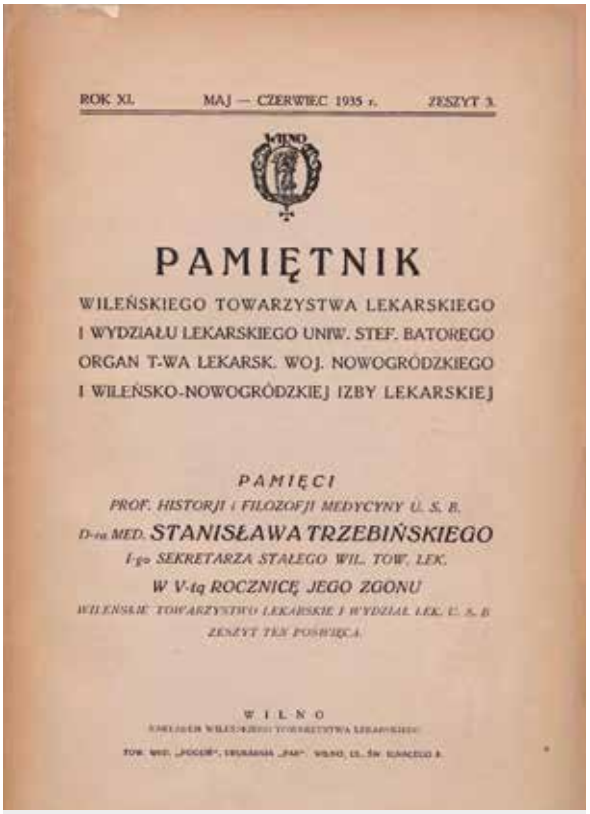
w pracy, która też się staje coraz wydajniejsza" (Aleksander Januszkiewicz).

Stanisław Trzebiński zmarł 25 czerwca 1930 r. w Wilnie, został pochowany na cmentarzu na Rossie (w 2018 r. grób odrestaurowało Stowarzyszenie Lekarzy Polskich w Chicago i Fundacja Rodziny Roman).

Historyk medycyny

Stanisław Trzebiński był znakomitym badaczem historii medycyny polskiej. Był autorem ponad 60 publikacji z zakresu historii i filozofii medycyny, etyki, psychologii i chorób, zwłaszcza neurologicznych. Należał do Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Wilnie, a Częstochowskie Towarzystwo Lekarskie i Towarzystwo Lekarskie we Lwowie nadały mu członkostwa honorowe. Zapisał się na kartach nauki polskiej jako erudyta posługujący się biegle kilkunastoma językami. Jego zainteresowania koncentrowały się wokół filozofii i historii medycyny, a także neurologii, psychiatrii i psychologii. Jego wielką zasługą pozostaje odszukanie i przygotowanie do druku pamiętników Józefa Franka, w latach 1804–1824 profesora patologii na Uniwersytecie Wileńskim.

Niestety, „nie stworzył własnej szkoły badawczej i nie pozostawił po sobie uczniów. Wpłynął na to z pewnością krótki, ledwie ośmioletni czas profesury i pogarszający się ciągle stan zdrowia. Niewątpliwie zaważyły w tym przypadku również cechy charakteru. Skupiony na sobie, by nie powiedzieć introwertyczny, nie wydaje się, by szukał w swej pracy pomocników. Z natury nieśmiały, często wątpiący w swoje siły, był raczej typem samotnika [...]. Pracował zaś nieprzerwanie, wprost tytanicznie" (Ryszard W. Gryglewski). Profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, historyk medycyny i filozof Władysław Szumowski tak o nim pisał: „umysł rozległy i subtelny, człowiek o niezwykle pięknym charakterze. Przyrównywano go do Sokratesa".



Okładka „Pamiętnika Wileńskiego Towarzystwa Lekarskiego...", Wilno, 1935, maj-czerwiec, zeszyt 3.

***

Na zakończenie oddajmy głos współczesnemu Trzebińskiemu historykowi medycyny Adamowi Wrzoskowi: „Stanisław Trzebiński był jednym z najsympatyczniejszych ludzi, jakich dane mi było w życiu poznać. Zbliżywszy się doń, nie mogłem nie odczuć uroku jego pięknej duszy, zahartowanej wielu nader bolesnymi ciosami, pod którymi inni zupełnie by upadli, zgorzknieli, stracili wszelką ochotę do życia i pracy... Nie złamał się, ani nawet nie ugiął pod ciężarem nieszczęść, lecz wierny swoim ideałom pracował wytrwale dla społeczeństwa. Co więcej, w ostatnich latach życia, gdy otrzymał katedrę uniwersytecką w Wilnie, rozwinął tam z iście młodzieńczym zapałem i dużym nakładem pracy swoją działalność naukową i nauczycielską".

Autorzy składają podziękowanie Paniom Katarzynie Słojkowskiej i Emilii Przyborowskiej z Głównej Biblioteki Lekarskiej im. Stanisława Konopki za udostępnienie zdjęcia Stanisława Trzebińskiego zachowanego w jej zbiorach.

Prof. dr hab. Lubow Żwanko – dyrektorka Biblioteki w Państwowym Uniwersytecie Rolniczym w Połtawie; specjalizuje się m.in. w badaniach uchodźstwa I wojny światowej, historii Polonii Charkowa i Polaków na Ukrainie Wschodniej, historii medycyny i medycyny weterynaryjnej.

Prof. dr hab. Dmytro Kibkało – profesor Katedry Chorób Wewnętrznych i Diagnostyki Klinicznej Zwierząt w Państwowym Uniwersytecie Biotechnologicznym w Charkowie; specjalizuje się m.in. w badaniach chorób wewnętrznych zwierząt, biochemii klinicznej weterynaryjnej, historii medycyny i medycyny weterynaryjnej.

Marcelina Smużewska

Lwowianin w Toruniu

Artur Hutnikiewicz zapisał się na trwałe w annałach toruńskiej polonistyki. Był mistrzem w starym stylu, który stawiał na indywidualną więź między studentem a profesorem. Szerszej publiczności znany jest z omówień tekstów literackich, zwłaszcza autorstwa Żeromskiego.

Artur Maria Hutnikiewicz był nieślubnym dzieckiem Józefy Hutnikiewicz (ur. 1887) i Artura Bartosza (ur. 1865). Przyszedł na świat 12 stycznia 1916 roku we Lwowie. Matka była sierotą, wychowaną w zakładzie prowadzonym przez siostry szarytki. Z zawodu była hafciarką. Chłopca wychowywała samotnie matka, gdyż ojciec, szanowany kupiec lwowski, miał już rodzinę. Dzieckiem się nie interesował, choć łożył na jego utrzymanie aż do swojej śmierci w 1929 roku. Artur Hutnikiewicz wspominał swoje wczesne dzieciństwo jako szczęśliwe. Matka dbała o jego potrzeby duchowe, zabierała go do teatrów, muzeów oraz na koncerty muzyki sakralnej. Gdy pracowała, chłopiec był pod opieką bezdzietnego małżeństwa grekokatolików.

Do szkoły powszechnej poszedł w wieku sześciu lat. Bardzo dobrze sobie tam radził. W 1926 roku zdał egzamin do VI Państwowego Gimnazjum im. Stanisława Staszica. Była to placówka o profilu klasycznym, gdzie uczono łaciny i greki. Pracowali tam doktorzy i docenci z Uniwersytetu Lwowskiego, tacy jak: Konstanty Wojciechowski, Juliusz Kleiner, Eugeniusz Kucharski, Stanisław Łempicki (historyk), Zygmunt Łempicki (germanista), Tadeusz Czeżowski (filozof), Kazimierz Sośnicki (pedagog) czy Juliusz Balicki. Późniejszymi jego nauczycielami byli także Stefan Grabiński (autor nowatorskiej prozy, nota bene w latach 20. związany z matką Hutnikiewicza), Zygmunt Żurawski i Władysław Stabryła.

Studia

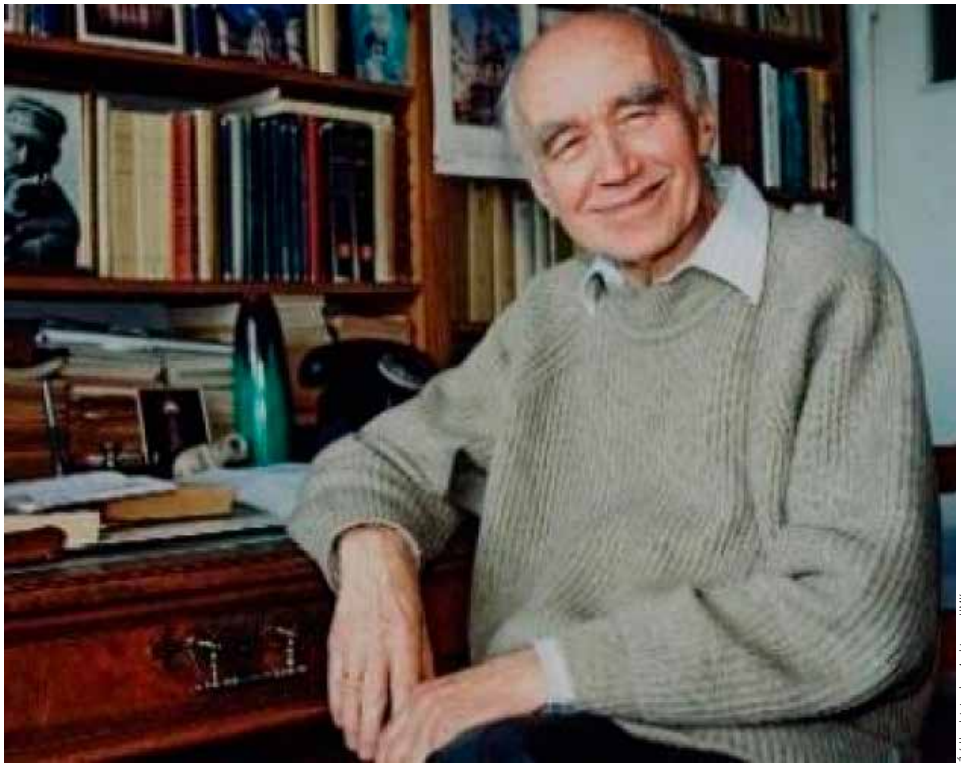
Wybór kierunku studiów nie był żadnym dylematem. Na jego niezwykłe zdolności z zakresu polonistyki zwrócił wcześnie uwagę jeden z nauczycieli, Juliusz Balicki. Hutnikiewicz sam o sobie napisał w dzienniku: „jeśli do czegokolwiek byłem powołany w tym życiu na zasadzie jakichś danych mi przez naturę uzdolnień, to chyba tylko do nauczania literatury. Nie chcę przez to powiedzieć, że robię to doskonale, ale robię to zupełnie lepiej niż cokolwiek innego" (cytat za: Jerzy Kłosiński, *Mistrz – profesor Artur Hutnikiewicz*, TNT, Toruń 2023). Młodzieniec był ministrantem i członkiem Sodalicji Mariańskiej. Formacyjnym doświadczeniem była także aktywność w piłsudczykowskiej Straży Przedniej. W ramach tej organizacji wyjeżdżał na obozy, które były towarzyską przygodą, szkołą patriotyzmu i miejscem kształtowania postaw społecznych. Do końca życia pozostał mu sentyment do Piłsudskiego i socjaldemokracji. Studia rozpoczął w 1934 roku na kierunku filologia polska.

W tym okresie życia było mu trudno. Stracił wsparcie ojca. Matka miała tylko dorywcze prace. Klepał więc studencką biedę i uganiał się za korepetycjami. Nieco pomógł mu poznany w Straży Przedniej Władysław Floryan, który pracował na Uniwersytecie Jana Kazimierza. Dzięki jego rekomendacji dostał stypendium u prof. Kucharskiego i obniżenie czesnego. Za aprobatą profesora został „asystentem asystenta" Floryana i zastępował go, gdy ten wyjeżdżał dla podratowania zdrowia. Ogromny wpływ na młodego Hutnikiewicza wywarł warsztat pracy prof. Kucharskiego, który był rygorystą metodologicznym, outsiderem i introwertykiem, oddanym bez reszty tematyce swoich badań. Podczas studiów Hutnikiewicz był aktywny w organizacjach studenckich. Pełnił funkcję wiceprezesa Koła Polonistów Studentów UJK, członka zarządu Akademickiego Towarzystwa Słowiańskiego i członka Towarzystwa Literackiego im. A. Mickiewicza. W 1939 roku obronił dyplom magistra filozofii w zakresie filologii polskiej, pisząc pracę *Życie i działalność pisarska Józefa Wereszczyńskiego*. Był to biskup kijowski żyjący w XVI wieku. Młodzieniec zamierzał zostać na uczelni, specjalizować się w literaturze staropolskiej i opracować zagadnienie dotyczące kwestii wschodniej w polskiej literaturze XVI i XVII wieku. W sierpniu 1939 roku został mianowany starszym asystentem.

Wojna

Do wojska nie został powołany, ponieważ miał kategorię C. Wybuch wojny zastał go w Domu Wypoczynkowym w Mikulczynie pod Worochtą. Do Lwowa wrócił 6 września. Potem ewakuował się wraz z wojskiem polskim. Jednak do miasta wrócił po kilku dniach i był świadkiem wejścia Armii Czerwonej. Z tego czasu zapamiętał entuzjazm Żydów, którzy cieszyli się z takiego obrotu sprawy. Uniwersytet wydawał mu się naturalnym miejscem schronienia na trudne czasy, jednak zreorganizowany Derżawnyj Uniwersytet Iwana Franka, nie miał zbyt wielu etatów dla polonistów. Zapisał się więc na studia historyczne. W tym czasie rozpoczęły się represje, zazwyczaj na zasadzie solidarności zbiorowej. Jedną osobę uznano za podejrzaną, znikała cała rodzina. Okupacja radziecka w 1941 roku została zastąpiona przez niemiecką. Żydzi zniknęli, Ukraińcy po krótkim czasie stracili swoje przywileje. Hutnikiewicza skierowano do Baudienstu – nieskoszarowanego obozu pracy. Od 1942 roku pracował jako laborant w instytucie uniwersyteckim prof. Weigla. Pełnił funkcję karmiciela wszy. Miejsce

to zostało przekształcone w fabrykę szczepionek przeciwko tyfusowi w ramach Instytutu Behringa. Było to więc bezpieczne miejsce, które chroniło przed wywózką w głąb Rzeszy.



Źródło: dzieje.pl; za: Archiwum UMK

Wiosną 1944 roku Hutnikiewicza zwolniono z Instytutu i znowu był zagrożony aresztowaniem. Pomógł mu wtedy profesor z gimnazjum dr Władysław Stabryła. Wystarał się dla niego o pracę buchaltera w konsorcjum naftowym Karpathen-Öl Aktiengesellschaft. Zajęcie było fikcyjne. Podliczał kolumny cyfr, nie wiadomo w jakim celu. 22 lipca rozpoczęło się powstanie zbrojne przeciwko Niemcom. Armia Krajowa złożyła broń cztery dni później i tysiące ludzi zostało aresztowanych, skazanych i wywiezionych do łagrów. Hutnikiewicz uniknął tego losu, gdyż nie angażował się w działania konspiracyjne. Uważał, że obowiązkiem jest przetrwać wojnę i odbudowywać ojczyznę w czasie pokoju. W lutym 1945 roku przyszło ogromne rozczarowanie. Lwowianie uświadomili sobie, że w ich mieście już nigdy więcej nie będzie Polski. Stało się to dla Hutnikiewicza traumą, która zaważy na dalszym jego życiu. W kolejnych miesiącach z miasta wyjechało 90% Polaków. W *Dzienniku* polonista opisze to tak: „sześć lat nędzy, lęku, oczekiwania. Zwycięstwo, które okazało się klęską" (w: Kłosiński). Nie chodzi tu tylko o utratę „małej ojczyzny", ale też brak suwerenności poprzez narzucenie systemu komunistycznego.

W nowej Polsce

Latem 1945 roku wraz z matką trafił do Wałcza, gdzie został nauczycielem języka polskiego w tamtejszej szkole. Porządkował też lokalną bibliotekę. Ta praca dawała mu radość i satysfakcję. W 1948 roku obronił doktorat pod kierunkiem prof. Kucharskiego na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu. Tematem pracy była *Forma motywacyjna w kompozycji powieści Żeromskiego*. Wybór zagadnienia wziął się stąd, że w realiach powojennych nie było warunków do pracy na materiale staropolskim. Nie mógł więc rozwijać wcześniejszych zainteresowań. Po drugie, Hutnikiewicz czuł sympatię (choć nie bezkrytyczną) do twórczości Żeromskiego. Ponieważ jednak nie podzielał jej promotor, doktorat był kompromisem i dotyczył kwestii kompozycyjnych. Do Torunia Hutnikiewicz sprowadził się późną jesienią 1946 roku i rozpoczął pracę nad organizacją Katedry Teorii Literatury i Literatury Porównawczej na nowo utworzonej wszechnicy.

Pierwsze cztery, pięć lat po wojnie to okres świetności. Tworzono księgozbiory, pisano prace, organizowano zajęcia. Jak wspominał Hutnikiewicz: „miało tu znaczenie wojenne wyposzczenie intelektualne, nieograniczona wprost chłonność i potrzeba doznań duchowych, a jednocześnie świadomość, że się po katastrofie lat wojennych buduje coś naprawdę ważnego" (w: Kłosiński). Polonistyka oddziaływała na życie kulturalne miasta. Organizowano np. czwartki literackie w ramach Towarzystwa Mickiewiczowskiego, które przyciągały tłumy. Hutnikiewicz starał się o wydanie drukiem pracy doktorskiej, ale przedsięwzięcie zablokował Stefan Żółkiewski, uznając jego krytykę Żeromskiego za „reakcyjną". Kolejnym sygnałem, że doszło do radykalnej zmiany warunków pracy naukowej, był Ogólnopolski Zjazd Polonistów w 1950 roku. Od tej pory nie można już było swobodnie zajmować się badaniami literackimi. Trzeba było odrzucić „reakcyjną, wsteczną, burżuazyjną literaturę epoki gnijącego imperializmu" (Kłosiński). Popularyzować metodologię marksistowską miał przede wszystkim Instytut Badań Literackich, który jednocześnie stał się cenzorem dla pozostałych badaczy. Z uczelni zniknęli doświadczeni i szanowani specjaliści, m.in. prof. Konrad Górski i prof. Tadeusz Makowiecki. Hutnikiewicz poczuł się osamotniony. Z poprzedniej ekipy został tylko on i dr Bożena Osmólska. Reforma oznaczała w praktyce pozbycie się najlepszych, najzdolniejszych, najofiarniejszych. Na „niedobitków" spadły duże obciążenia dydaktyczne i administracyjne. Hutnikiewicz został oszczędzony zapewne dlatego, że nigdy otwarcie nie angażował się w spory polityczne czy ideologiczne. Być może sądzono, że z czasem da się go „urobić".

W 1954 roku literaturoznawca zdecydował się przedstawić pracę habilitacyjną dotyczącą naturalizmu w pisarstwie Żeromskiego. Rozprawa budziła kontrowersje na uczelni i w Instytucie Badań Literackich. Polonista zdecydował, że nie podda się bez walki. Złożył zażalenie w Ministerstwie Nauki i Szkolnictwa Wyższego. Zaproponowano mu przenosiny na inną uczelnię. Ostatecznie z oferty nie skorzystał, a Centralna Komisja Kwalifikacyjna zatwierdziła jego docenturę dwa lata później. W tym samym roku ukazała się książka pt. *Żeromski i naturalizm*. Jako kolejny temat badań naukowych wybrał bezpiecznie dorobek Stefana Grabińskiego. Chodziło o tego samego pisarza, który kiedyś był związany z jego matką. Efektem prac była książka pt. *Twórczość literacka Stefana Grabińskiego (1887-1936)* wydana w 1959 roku. Współpracował też z czasopismami „Słowo Powszechne", „Warszawa", „Arkona", „Życie Literackie", „Dziś i Jutro", gdzie publikował teksty o różnej tematyce, nie tylko o Żeromskim czy Grabińskim.

Proza i poezja życia

Hutnikiewicz nie był obojętny na urodę kobiet. Dzięki relacji z nimi odczuwał życie bardziej intensywnie. Uważał, że miał wśród nich powodzenie. Z niektórymi łączyła go bliska więź, z innymi przyjaźń. Pierwszą ważną kobietą, z którą był silnie związany, była oczywiście matka. Podziwiał ją i bywał o nią zazdrosny. Bywało też na odwrót. Józefa Hutnikiewicz była niechętna ożenkowi syna. Do ostatniej chwili namawiała go, by się wycofał. Wybranką polonisty była Zofia z domu Łucka (ur. 1914 r.), koleżanka z wydziału, w której zakochał się tuż przed wybuchem wojny. Para pobrała się w sierpniu 1946 roku w miejscowości zamieszkania panny młodej – w Bonarówce. Zaczęli wspólne życie dopiero w Toruniu w 1947 roku. Towarzyszyli im matka i teść polonisty. Pierwszą lokalizacją w Toruniu było mieszkanie w willi przy Mickiewicza 20. To chyba najpiękniejszy budynek secesyjny w mieście. Obecnie w ruinie.

W swoim *Dzienniku* w 1975 roku Hutnikiewicz zapisał wyznanie: „można kochać jednocześnie dwie lub więcej kobiet bez poczucia i świadomości zdrady" (w: Kłosiński). Zdarzało mu się utrzymywać kontakt korespondencyjny, telefoniczny oraz odwiedzać „przyjaciółki", które pojawiały się na różnych etapach jego życia. Mijając akademiki, witał wszystkie studentki, nie będąc pewien, czy nie mija tych, które akurat studiują polonistykę.

Specjalista od Żeromskiego i innych mniejszych prac

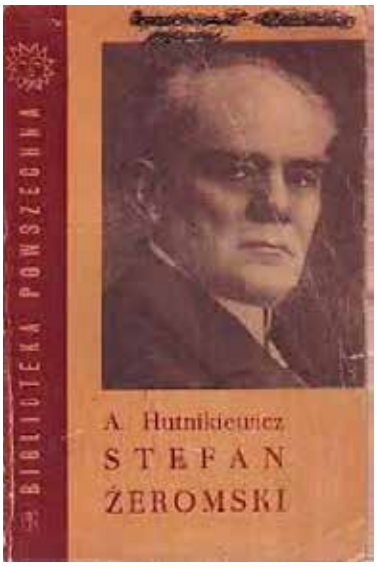
W 1956 roku Hutnikiewicz został wybrany prodziekanem Wydziału Humanistycznego oraz kierownikiem Zakładu Literatury XX wieku. Mógł odtąd kształcić własnych magistrów, co z radości robił. Postanowił prowadzić też własną politykę personalną. Miał swoich asystentów: Jerzego Speinę, Krystynę Jakowską, Jerzego Zbigniewa Maciejewskiego, Janusza Kryszaka i Wojciecha Gutowskiego. Od 1960 roku był członkiem zarządu Towarzystwa Naukowego w Toruniu i redaktorem naczelnym wydawnictwa tegoż (aż do 1989 roku). W tym samym roku został powołany do Rady Naukowej IBL-u. Ukazała się też jego książka pt. *Stefan Żeromski*. Miała dużo wznowień. Był to wielowymiarowy portret pisarza i jego twórczości.

Hutnikiewicz sądził, że autor *Ludzi bezdomnych* czerpał inspiracje z najbardziej osobistych doświadczeń. Były też pewne analogie między pisarzem a literaturoznawcą. Obydwaj nie mieli pełnych rodzin i wcześnie doświadczyli straty. Dla obu szkoła średnia była okresem formacyjnym. Bardzo ważną ideą była dla nich niepodległość kraju. Polonista cenił Żeromskiego więc nie tylko za nowatorstwo stylu i języka, ale za bagaż idei, które przedstawiał czytelnikowi. O Żeromskim wygłosił wiele odczytów. Nie był typem gabinetowego naukowca. Publiczne wystąpienia sprawiały mu przyjemność. Mówcą był dobrym, trzymał się tematu, potrafił przekazywać swoje myśli prosto i klarownie.

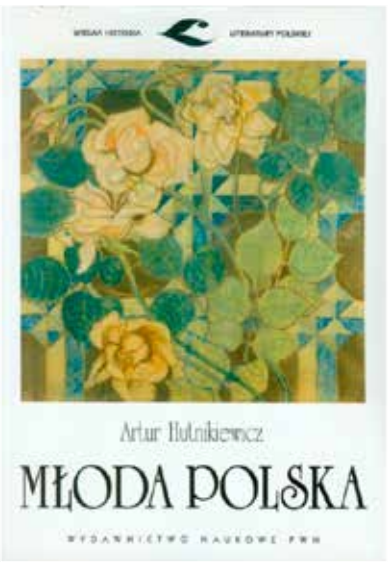
Chyba najbardziej znana książka Hutnikiewicza ukazała się w 1965 roku. Nosiła tytuł *Od czystej formy do literatury faktu* i podobnie jak poprzednia miała wiele wznowień. Był to przegląd doktryn i teorii literackich XX wieku. Jak sam wspominał, napisał pracę o awangardzie nie z entuzjazmu do niej, ale z przyczyn pragmatycznych, by wyjaśnić sobie i studentom jej założenia. Pozycja opierała się na przygotowanych wcześniej wykładach, na które już w latach 60. przychodziły tłumy.

W 1973 roku Hutnikiewicz został profesorem zwyczajnym. Był to trudny proces, któremu przez dłuższy czas stał na przeszkodzie wojewódzki komitet PZPR. Profesor, który chwali Polskę przedwojenną i nie należy do partii? To było trudne do zaakceptowania dla aparatu władzy. Próbowano usunąć go z uczelni, nawet kosztem prezesury IBL-u. Byle tylko stracił głos i nie popularyzował z katedry swoich poglądów. Nic więc dziwnego, że kiedy nominacja ostatecznie się pojawiła, nie dała Hutnikiewiczowi szczególnej radości. Uznał, że tytuł się zdewaluował w realiach powojennych i ostatecznie niewiele oznacza. Postanowił skupić się na swojej pracy.

Własne publikacje scharakteryzował następująco: „ta niekończąca się huśtawka nastrojów: czytam i wydaje mi się to znośne, a po chwili ogarnia mnie paniczny lęk, że to stek banałów, albo myśli nie moich. To uczucie dezaprobaty towarzyszy mi od początku mojego pisarstwa. Niektórych kart mojej pierwszej książki o związkach Żeromskiego z naturalizmem czy monografii o Grabińskim nie mogę zupełnie czytać, boję się ich po prostu, tak mi się wydają w złym stylu i zawstydzające" (Kłosiński). Uważał, że lepsze są jego krótsze prace lub niewielkie monografie, jak *Przedwiośnia*, czy wstępy przygotowane do serii Biblioteki Narodowej, np. do *Hymnów* Jana Kasprowicza. Przyznawał się także, że w literaturoznawstwie nie można oddzielić się od sfery aksjonormatywnej. „Nie wierzę w humanistykę ideologicznie i światopoglądowo neutralną i najoczywiściej świadomie eksponuję treści, orientacje, które dla formowania świadomości czytelników w naszym skomplikowanym położeniu wydają się szczególnie istotne" (Tamże).







Obsesja przemijania

W 1973 roku Hutnikiewicz podjął decyzję o pisaniu *Dziennika*. Powód wyjaśnił następująco: „od lat prześladuje mnie obsesja przemijania, świadomość efemerycznego naszego istnienia, jakże krótkiego i od początku skazanego na absolutną niepamięć" (w: Kłosiński). Polonista zbliżał się do 60. roku życia. Zaczynali odchodzić jego znajomi. Czuł się coraz bardziej osamotniony, mimo licznych obowiązków. Nie bez znaczenia była też inspiracja dziennikiem Jana Lechonia. Jednocześnie w Instytucie był nadal ważną postacią. Miał pod sobą 17 nauczycieli akademickich jako kierownik Zakładu Historii Literatury Polskiej. W tym samym roku został też dyrektorem Instytutu Filologii Polskiej UMK. Stan jednostki po objęciu sterów określił jako stajnię Augiasza. Mimo przeszkód i szykan ze strony partii udało mu się uformować grono zastępców. Do nich zalicza się: Jerzego Zbigniewa Maciejewskiego, Janusza Kryszaka, Krystynę Jakowską, Wojciecha Gutowskiego, Irenę Burzacką-Branach, Janusza Skuczyńskiego, Grażynę Halkiewicz-Sojak, Zofię Mocarską-Tyc i Bogdana Burdzieja. Większość z nich została profesorami i wybitnymi znawcami literatury. Niestety, jeden z nich, Janusz Kryszak, okazał się być tajnym współpracownikiem SB, co okazało się dopiero po śmierci Profesora (Tamże).

Hutnikiewicz był sumiennym wykładowcą. Miał wielu seminarzystów, mimo że zdarzało mu się oblewać studentów na egzaminach. Na spotkaniach tworzył atmosferę elitarności. Czasem odbywały się one w kawiarniach. W *Dzienniku* pisał, że bardzo przywiązuje się do swoich studentów, że interesują go ich przyszłe losy, bo postrzegał to jako sprawdzian dla siebie, jakim był nauczycielem i wychowawcą. Preferował seminarzystów bezpartyjnych, czym narażał się władzy. SB śledziła też wspomniane „kawiarniane" seminaria Profesora. Zarzucano mu, że daje „niewłaściwe" tematy prac magisterskich. Chodziło głównie o pisarzy emigracyjnych i problem stosunków polsko-sowieckich.

Z wiekiem Hutnikiewicz stawał się też coraz bardziej otwarty i dzielił się swoimi poglądami politycznymi podczas publicznych wystąpień. Swoim podwładnym powiedział: „bez zakorzenienia w historii jest się w dzisiejszych czasach kompletnie zagubionym, zwłaszcza w naszych warunkach. Od świadomości własnego rodowodu zależy, czy za 100 lat będzie tu jeszcze Polska, czy też tylko masa etniczna, mówiąca jakimś polskim dialektem" (w: Kosiński). Bardzo brakowało mu wolności w sensie intelektualnym. Być może to skłaniało go do ciążenia w kierunku ludzi, którzy też tej swobody poszukiwali. Hutnikiewicz przeszedł okres fascynacji postacią Tadeusza Mazowieckiego, którego określił jako „kryształowy charakter". Miał zresztą tendencję nie dostrzegania wad w ludziach, których uznał wcześniej za wartościowych i utalentowanych.

W 1976 roku Artur Hutnikiewicz świętował 30 lat pracy naukowej. W tym czasie wydał dwa eseje: *Dziennik Jana Lechonia* oraz *Życie i śmierć poety. O twórczości Jana Lechonia*. W tym samym czasie ukazały się *Portrety i szkice literackie* poświęcone pisarzom końca XIX i pierwszej połowy XX wieku. Omówił dorobek Sienkiewicza, Przybyszewskiego, Żeromskiego, Lechonia, Wierzyńskiego, Tuwima, Grabińskiego i Dąbrowskiej, zwracając szczególną uwagę na to, co oryginalne i nowatorskie w ich pisarstwie. Trzeba przyznać, że podchodził ze sporym dystansem np. do Tuwima, zarzucając mu brak poruszania ważkich tematów. Nie cenił też twórczości Jarosława Iwaszkiewicza, Tadeusza Boya-Żeleńskiego, Władysława Broniewskiego, Jerzego Andrzejewskiego, Jerzego Putramenta czy Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego. W ich kontekście pisał o zagubieniu instynktu moralnego literatury. Do Czesława Miłosza podchodził też zresztą z dystansem ze względu na to, że pisarz wybrał wolność na Zachodzie.

W marcu 1978 roku odeszła żona Hutnikiewicza Zofia. To smutne wydarzenie zamknęło długi etap życia Profesora. Pocieszenia szukał wśród przyjaciółek, ale nigdy więcej się nie ożenił.

Bojownik o wolność i prawdę

Profesor przez dekady prowadził „prywatną wojnę z reżimem". Z katedry mówił studentom o pakcie Ribbentrop-Mołotow, Jałcie, naturze stalinizmu. Cieszył się z wyboru Wojtyły na papieża. Po powstaniu „Solidarności" uznał, że nadszedł czas, żeby spróbować reformy szkolnictwa wyższego. Chciał przywrócenia autonomii uczelni, pięcioletniego toku studiów, zmniejszenia liczby godzin zajęć dydaktycznych na rzecz samodzielnego studiowania. Brał udział w strajkach, jeździł do stolicy ze swoimi postulatami i poruszał je w gremiach środowiskowych i na forum macierzystego Wydziału. Podczas stanu wojennego nie został internowany, choć kilku jego współpracowników trafiło do aresztu lub było na przesłuchaniach. Bronił demokratycznie wybranego rektora UMK, prof. Stanisława Dembińskiego, ale ten i tak został odwołany w sierpniu 1981 roku. W 1982 roku ukazał się wstęp Hutnikiewicza do powieści dramatycznej Adolfa Nowaczyńskiego *Wielki Fryderyk*, gdzie – dla odmiany – polonista zwraca uwagę na wpływy niemieckie w polskiej kulturze.

W 1986 roku Artur Hutnikiewicz oficjalnie przeszedł na emeryturę. Rok wcześniej doświadczył poważnego załamania zdrowia w związku z problemami kardiologicznymi. Mimo to nadal był aktywny, prowadził wykłady i seminaria. Udzielał się publicznie. Był nadal członkiem Towarzystwa Naukowego Toruńskiego. W 1987 roku ukazało się nakładem PWN opracowanie na temat Żeromskiego, które zawierało uwagi o antysowieckich i antyrewolucyjnych opiniach pisarza. Hutnikiewicz był z niego dumny. Była to w pewnym sensie synteza jego wcześniejszych prac na ten temat. W 1989 roku został współzałożycielem bydgosko-toruńskiego Towarzystwa Miłośników Lwowa. W swoich myślach i wypowiedziach coraz częściej wracał do miasta swojej młodości. W 1994 roku ukazało się kolejne opracowanie na temat Młodej Polski (pod dokładnie takim tytułem), gdzie oprócz kwestii literackich jest też element rozliczenia artystów za bezideowość, brak zaangażowania w sprawę narodową.

Hutnikiewicz odrzucał PRL jak twór polityczny, jednocześnie musiał w nim egzystować. Można powiedzieć, że wywalczył sobie maksimum swobody w ramach systemu. W latach 90. z uwagą obserwował scenę polityczną. Wydawało się jednak, że nieco zawodzi go intuicja. Nie przepadał za Wałęsą. Miał też krytyczny stosunek do „Solidarności". Nadal konsekwentnie chwalił Mazowieckiego i był zachwycony Unią Demokratyczną, stał się przeciwnikiem lustracji. Bronił Kościoła i był wrogiem zjawiska, które współcześnie określa się jako „pedagogika wstydu". Młodsi koledzy zaczęli dostrzegać jego stronniczość. Tłumaczyli sobie to jednak tym, że Hutnikiewicz święcie wierzył w autorytety i je idealizował.

Ostatnia książka polonisty, wydana z okazji 80. urodzin, nosiła tytuł *To, co najważniejsze. Trzy eseje o Polsce*. Dotyczyła poezji i prozy polskiej przed 1918 rokiem oraz ostatniej emigracji polskiej. Recenzje tej pracy znalazły się nawet w paryskiej „Kulturze". W 2001 roku Profesor wycofał się z pracy na uczelni. Cieszył się ze starań Polski o przyjęcie do Unii Europejskiej. W 2002 roku został Honorowym Obywatelem Miasta Torunia. Zmarł 16 kwietnia 2005 roku. Pogrzeb odbył się 21 kwietnia. Pochowano go na cmentarzu św. Jerzego przy ul. Gałczyńskiego w Toruniu.

Hutnikiewicz wypromował 454 magistrów filologii polskiej, 12 doktorów, 9 doktorów habilitowanych, był recenzentem w 40 przewodach doktorskich i 35 habilitacyjnych. Całkiem niezły wynik jak na kogoś, kto realizował swoje „powołanie nauczania literatury".

Piotr Tryjanowski

Lisy i jeże: ekologia od kuchni

Społeczna użyteczność ma też ciemną stronę. W ciągu ostatnich dwóch dekad cztery tematy: zmiany klimatyczne, ochrona przyrody, gatunki inwazyjne i odbudowa ekosystemów, zdecydowanie zdominowały publikacje. To prowadzi do monopolizacji i zmniejszenia wewnętrznego zróżnicowania. Na szczęście widać też pozytywne trendy: większą otwartość na współpracę między dyscyplinami, udostępnianie danych w otwartych repozytoriach i prawdziwie globalne spojrzenie.

Wbrew wszystkim deklaracjom otwartości na pluralizm, w akademii kochamy urawniłowkę. Najlepiej, gdy wszyscy pracują według jednego sprawdzonego schematu, oczywiście „po naszemu". Szczególnie silne jest to w naukach biologicznych, gdzie wciąż dominuje romantyczny obraz prawdziwego naukowca: biały fartuch, sterylne laboratorium, precyzyjne pipety i jednoznaczne wyniki. To jest ten kanoniczny wizerunek nauki. Tymczasem w biologii, nauce o życiu, taki model ma swoje granice. Życie nie toczy się w sterylnych warunkach, lecz w świecie pełnym patogenów, pasożytów, konkurentów i drapieżników. Zrozumienie tych dynamicznych, wielopoziomowych relacji to właśnie zadanie ekologii. I tu zaczyna się fascynująca historia, którą Jeremy Fox opowiada w książce The Ecology of Ecologists: Harnessing Diverse Approaches for a Stronger Science (University of Chicago Press, 2026). J. Fox, kanadyjski ekolog i twórca znanego bloga Dynamic Ecology, nie proponuje kolejnej „jedynie słusznej" metody. Robi coś znacznie bardziej prowokującego: przekonuje, że ekologia jest silna właśnie dlatego, że nie wie dokładnie, czym jest i jak powinna być uprawiana. Jej pozorny bałagan nie jest wadą, lecz cechą ewolucyjną, którą warto świadomie wykorzystać.

Podtytuł książki, Harnessing Diverse Approaches for a Stronger Science, mówi wszystko. Trzeba wykorzystać ograniczenia dla stworzenia silniejszej nauki. Pojawia się jednak zasadnicze pytanie, dlaczego ekologia tak bardzo różni się od stereotypu „porządnej nauki"? Przecież nawet definicja dyscypliny budzi spory. Obraz praw natury, jaki wyłania się z prac ekologów, rzadko bywa uporządkowany i jednoznaczny. To może irytować przedstawicieli bardziej „dojrzałych" dziedzin. Ale jak słusz-

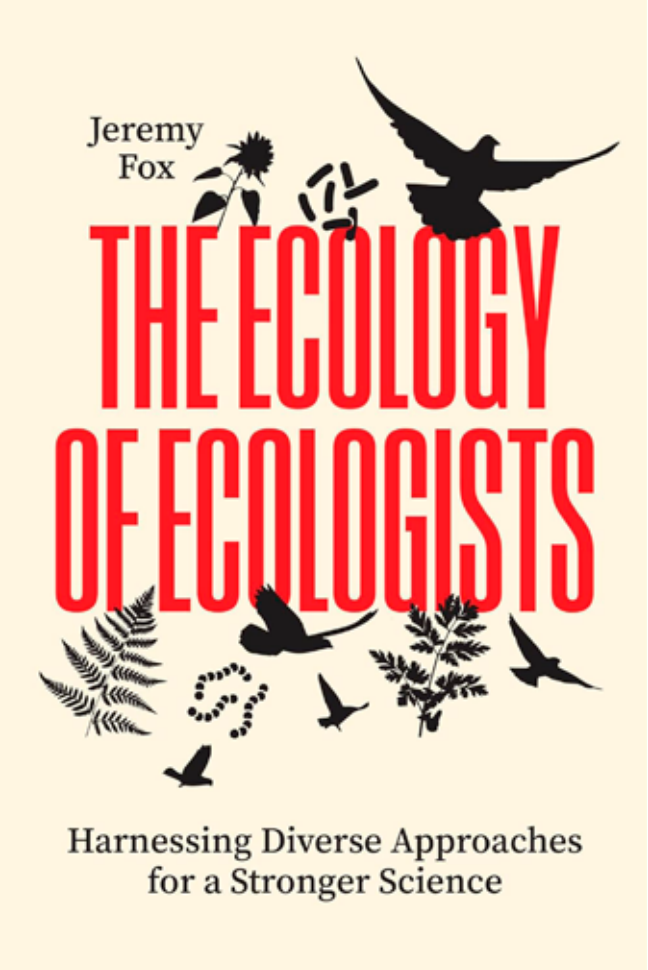


Na fot. Jeremy Fox

Fot. Archiwum

nie zauważa Fox – to dobrze. Jeden z wybitnych makroekologów, James Brown, kiedyś żartobliwie (a może nie do końca) powiedział: astronomia była poważną, rygorystyczną nauką na długo przed ekologią, ale Kopernik i Galileusz nigdy nie przesunęli gwiazd nawet o kawałek. Ekolodzy zaś realnie wpływają na organizmy, populacje, a czasem całe ekosystemy. Stąd rosnąca liczba eksperymentów w mezokosmosach, a w dalekiej perspektywie plany wysyłania takich systemów nawet na Marsa.

Problem w tym, że do ekologii często trafiają ludzie zakochani w naturze, ci, którzy lubią być w terenie wśród „roślinki, ptaszka i motylka". Nie zawsze są to osoby ceniące chłodną analizę, rygorystyczną logikę i matematyczną refleksję. W efekcie dyscyplina bywa postrzegana jako romantyczny zachwyt, a nie twarda nauka. Tymczasem wystarczy zajrzeć do ostatnich tomów „Ecology", „Ecology Letters" czy „Nature Ecology & Evolution", by zobaczyć eleganckie eksperymenty manipulacyjne, zaawansowane modelowanie i statystyczną finezję. Dla wielu taksonomów, biologów molekularnych czy fizjologów to prawdziwa metodologiczna czarna magia. Prace o charakterze ekologicznym regularnie lądują w najbardziej prestiżowych czasopismach. Budzą zainteresowanie nie tylko środowiska naukowego, ale i społeczeństwa. Niestety, społeczna użyteczność ma też ciemną stronę. W ciągu ostatnich dwóch dekad cztery tematy: zmiany klimatyczne, ochrona przyrody, gatunki inwazyjne i odbudowa ekosystemów, zdecydowanie zdominowały publikacje. To prowadzi do monopolizacji i zmniejszenia wewnętrznego zróżnicowania. Na szczęście widać też pozytywne trendy: większą otwartość na współpracę między dyscyplinami, udostępnianie danych w otwartych repozytoriach i prawdziwie globalne spojrzenie, a nie tylko badania na poletkach przy uniwersytetach bogatej Północy.



J. Fox w swej diagnozie nie szczędzi gorzkich słów, choć robi to z prawdziwie kanadyjską empatią. Ekologia wciąż jest zbyt opisowa, za słabo podkreśla mechanizmy kształtujące liczebność i rozmieszczenie organizmów w czasie i przestrzeni, słabo przewiduje przyszłość, ma relatywnie mało manipulacyjnych eksperymentów, małe próby i co najważniejsze – zbyt mało twardych, falsyfikowalnych hipotez. Często zastępuje się je wiarą, że „zaawansowana statystyka wszystko załatwi", a ewentualną hipotezę postawi się wtedy, gdy będą znane wyniki. Powiedzmy jednak wprost: na te problemy nie ma monopolu wyłącznie ekologia. Wielu badaczy z innych dziedzin po cichu przyznaje, że podobne napięcia występują także u nich, tylko – przynajmniej do czasu – są lepiej ukryte pod płaszczykiem pozornego porządku.

Każdy badacz stoi przed serią trudnych wyborów: co badać, jaką metodą, gdzie publikować. Kiedy schemat jest prosty i klarowny, sukces przychodzi łatwiej, jak w klasycznej ekologii behawioralnej. Proste manipulacje, wyraźne wyniki. Sam bardzo to cenię. Ale po pewnym czasie robi się najzwyczajniej nudno. Ile można udowadniać, że w naturze działają procesy optymalizacyjne? Można rzecz jasna badać gatunek po gatunku, wymyślać różne układy eksperymentalne, ale wynik wciąż ten sam: Darwin miał rację, dobór naturalny działa, płciowy zresztą też. I cóż z tego? Fox przywołuje podział matematyków zaproponowany przez Williama Timothy'ego Gowersa (laureata Medalu Fieldsa) na tych, którzy rozwiązują konkretne problemy i tych, którzy budują uogólnione teorie. Obie grupy są potrzebne. Tony Ives, co ciekawe ekolog teoretyczny, trafnie zauważył, że ekologia to w dużej mierze biblioteka dobrze poznanych lokalnych studiów przypadku. I wcale na to nie narzekał, po prostu opisał rzeczywistość. Powiedzmy więc jasno, że my, ekolodzy nie jesteśmy i nigdy nie będziemy fizykami teoretycznymi szukającymi „teorii wszystkiego". Konstruowanie panchrestonów (teorii wyjaśniających wszystko, a przez to nic konkretnego) prowadzi do nadmiernych uproszczeń. Organizmy nawet na te same czynniki reagują inaczej, w zależności od gatunku, miejsca, czasu, kontekstu. Z tym trzeba się zmierzyć, ale przede wszystkim zaakceptować.

Fox (nazwisko zobowiązuje!) proponuje łacińską sentencję: Malta novis vulpes – lisy znają wiele sztuczek. To prawda, ale może warto odwołać się do znanego eseju Isaiaha Berlina, że w życiu, a więc i w ekologii, jest miejsce zarówno dla lisów (generalistów), jak i jeży (specjalistów). Taka jest przyroda. Niech tacy będą też jej badacze i może nawet zaczną współpracować.

Książka Foxa nie jest podręcznikiem „jak uprawiać ekologię" i nawet nie daje jednoznacznej puenty. To raczej zaproszenie do intelektualnej pokory i ciekawości wobec odmiennych stylów myślenia. W świecie, który obsesyjnie szuka prostych odpowiedzi i „przełomowych" odkryć, taka postawa jest nie tylko uczciwa intelektualnie, ale i strategicznie najrozsądniejsza. Dla środowiska akademickiego spoza ekologii ta książka może być szczególnie cenna. Pokazuje bowiem, że pozorny nieporządek jednej dyscypliny może być źródłem jej siły, o ile tylko potrafimy go świadomie wykorzystać. A to lekcja uniwersalna. W końcu nauka, tak jak ekosystem, najzdrowiej rozwija się wtedy, gdy jest różnorodna, elastyczna i otwarta na nieoczekiwane połączenia, nawet jeśli na co dzień wolimy sterylne laboratoria i białe fartuchy. Ja zdecydowanie nie. I zaraz ruszam w teren. Gorąco polecam.

Prof. dr hab. Piotr Tryjanowski,
Uniwersytet Przyrodniczy w Poznaniu

Oswajanie AI



Nie sposób zaprzeczyć, że technologia AI wdarła się szturmem w życie nie tylko specjalistów i naukowców zajmujących się nią zawodowo, ale przede wszystkim w codzienność zwykłych zjadaczy chleba i aż strach pomyśleć, w kogo nas, cytując Słowackiego, „przerobi", zapewne nie w „aniołów". Wraz z pojawieniem się pierwszej (niedoskonałej) wersji ChatGPT zaświtały w głowach wielu obserwatorów pytania o to, dokąd dojdziemy, idąc ścieżką AI albo raczej, gdzie damy się poprowadzić? Takie fundamentalne pytania stawia również Andrzej Dragan. Jak zdefiniować samo pojęcie „sztucznej inteligencji"? Po lekturze jego książki zastanawiam się, czy nie jest to oksymoron? Czy w ogóle możemy mówić o samoistnej inteligencji w przypadku algorytmu, który jest stworzonym przez człowieka ciągiem znaków? Czy sztuczna inteligencja osiągnie kiedykolwiek poziom samorozwoju, który mógłby doprowadzić do zagłady ludzkości znany nam z filmów science-fiction?

Ta książka na pewno nie da czytelnikowi łatwych odpowiedzi, o ile w ogóle odpowie na dręczące zapewne wielu informatyków czy etyków pytania. Wydaje mi się jednak, że nie taki był jej zamysł, Dragan raczej systematyzuje swoje spostrzeżenia dotyczące AI, porównuje technologiczne zaawansowanie pierwszych wersji, wskazuje na błyskawiczny postęp w tej dziedzinie. Powołuje się na eksperymenty, przywołuje doświadczenia przeprowadzane przez naukowców z całego świata. W pewnym sensie znaleźliśmy się na drodze bez technologicznego odwrotu i nie mamy najmniejszego pojęcia, dokąd nas ona zaprowadzi. Po lekturze książki Dragana mam wrażenie, że stoję w jeszcze większym intelektualnym rozkroku, bo z jednej strony autor w (to nieodpowiednie słowo, ale niech już będzie) „przystępny" sposób zapewnił mi odpowiednią do przyswojenia i wyselekcjonowaną porcję tzw. wiedzy fachowej, kreśląc kontekst naukowo-społeczny, w którym powstała (powstaje?) AI, z drugiej zaś pozostawił też z dużym uczuciem niedosytu i bezradności wobec tego, co przyniesie przyszłość.

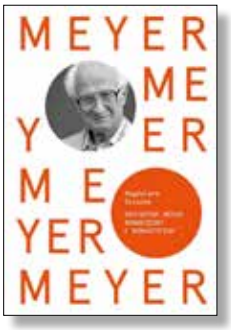
Dragan nie bawi się we wróżkę, bo może okazać się, że rzeczywistość będzie bardziej zaskakująca niż wszelkie (optymistyczne czy pesymistyczne) przewidywania. Zapewne jeszcze kilka lat temu wiele osób było przekonanych, że AI jest i pozostanie bezmyślnym odtwórcą danych wgranych uprzednio przez człowieka, jednak wydaje się, że współczesne badania nad sieciami neuronowymi nie powiedziały jeszcze ostatniego słowa. Moglibyśmy stwierdzić, że oto znaleźliśmy się w środku cyfrowej rewolucji porównywalnej z rewolucją przemysłową sprzed dwóch wieków, ale po pierwsze uważam, że dopiero na jej początku, a po drugie może się okazać, że obecna zmiana będzie miała dalekosiężny wpływ na jeszcze więcej dziedzin naszego życia. To trochę tak, jakby próbować przewidywać losy nowonarodzonego dziecka, bo znamy historię życia jego rodziców; niby są jakieś logiczne podstawy, niby genów nie wydłubiesz, ale jednocześnie who knows?

Quo vadis AI? Na pewno nie poznamy odpowiedzi na to pytanie po lekturze książki Dragana, ale trochę „rozjaśni" się w głowach. Uogólniając, moglibyśmy powiedzieć, że modele językowe stwarzają obecnie tyle samo możliwości, ile zagrożeń i nie mam na myśli wyłącznie apokaliptycznej wizji, w której AI przejmuje władzę nad światem i dąży do eksterminacji ludzkości. Bardziej skomplikowane algorytmy to większa moc obliczeniowa, a co za tym idzie konieczność budowania większych serwerów i korzystania z większej ilości energii do ich utrzymania. Będzie się to wiązało także ze zużywaniem ogromnych ilości wody do chłodzenia tych systemów. Zbyt wcześnie na jakiekolwiek podsumowania, tym bardziej w dziedzinie tak jeszcze niepewnej jak AI. Wszelkie dylematy i obawy przed niestabilną przyszłością rozwiąże, bez względu na naszą wolę, upływający czas. Wystarczy poczekać…

Jacek Hnidiuk

Andrzej DRAGAN, ***Quo vAIdis***, Wydawnictwo Otwarte, Kraków 2005.

Klasyk współczesności



Ostatnie dziesięciolecia w muzyce polskiej, podobnie jak europejskiej, to walka karnawału z postem, czyli konflikt między awangardą a podejściami nieawangardowymi. Krzysztof Meyer (ur. 1943) sytuuje się w nim gdzieś pomiędzy. Krytykom łatwiej uznać, czym nie jest muzyka Meyera, niż stwierdzić, czym ona jest. Nie jest więc awangardowa ani neoklasyczna, nie jest też postmodernistyczna. Kompozytor czerpie z tradycji, ogromną wagę przywiązuje do warsztatu, lubi duże formy, także w kameralistyce, wyrafinowaną kolorystykę, stosuje pełnię wyrazu: od dramatyzmu po ironię i pastisz.

Magdalena Dziadek umieszcza swego bohatera na tle szkoły polskiej, czyli kompozytorów o dziesięć lat starszych, głównie Pendereckiego, pokazuje związki Meyera z ideami Lutosławskiego, symfonikę krakowskiego kompozytora wiąże z koncepcją wielkiej formy zamkniętej wywiedzioną od Beethovena i Brahmsa. W książce, będącej na poły biografią, na poły monografią bogatej twórczości Meyera, przyjmuje porządek chronologiczny, co pozwala zobrazować rozwój warsztatu i stylistyki twórcy od serializmu i sonoryzmu, poprzez eksperymenty aleatoryczne, po minimalizm.

Biorąc do ręki tę książkę, nastawiałem się na biografię, tymczasem jest jej tutaj mało. Nie dowiemy się wiele o rodzicach i domu krakowskiego twórcy, atmosferze, w której dorastał, pierwszej żonie. Ładnie pokazuje autorka młodzieńcze fascynacje Szostakowiczem, potem awangardą (studiował zdobyte z trudem partytury Schönberga, Weberna, Bouleza, Stockhausena). Oszczędnie, ale jednak, zarysowany został kontekst krakowski. Zajmująco pisze Dziadek o okresie pracy w Niemczech, gdzie Meyer był profesorem kompozycji w Kolonii i organizował koncerty muzyki polskiej. Natomiast przyjaźnie z wybitnymi wirtuozami zostają ledwie wspomniane, by opowiedzieć o zadedykowanych im utworach. Zasadniczą część objętości książki stanowią bowiem opisy kompozycji, powstałe w następstwie przesłuchania nagrań i analizy partytur, uzupełnione wyimkami z recenzji (Dziadek broni czasem Meyera, polemizując z recenzentami).

Więcej o poglądach i postawie Meyera dowiemy się z omawianej przez autorkę publicystyki muzycznej kompozytora, jego polemik z Kisielewskim na temat awangardy, z udziałem Pocieja, Schaeffera. Udzielał się w polskim życiu muzycznym, był wybierany do zarządu związku kompozytorów, walczył o wprowadzenie współczesnego repertuaru do filharmonii. Działał też na forum międzynarodowym, zna języki, ma liczne kontakty przynoszące konkretne pożytki kulturze polskiej. Ważne są tu też jego książki o Szostakowiczu (pisał o nim z uwzględnieniem kontekstu politycznego) i Lutosławskim. Przypomniana zostaje, zainicjowana przez Meyera w 1982 roku, dyskusja o Szymanowskim, któremu zarzucał niedostatki warsztatowe.

Jaki jest Meyer Magdaleny Dziadek? Nie deklaruje się po stronie żadnego spośród istniejących kierunków w muzyce współczesnej, chce mieć swobodę sięgania po to, co przynosi wyobraźnia. Twórczość muzyczną pojmuje jako „połączenie wyobraźni i profesjonalnego rzemiosła". Nigdy nie zaprzeczał historii muzyki, nawet tworząc utwory dodekafoniczne, potrafił w nich nawiązywać do Bartóka czy Prokofiewa. Lubi zaskakiwać, pamięta o kontakcie z odbiorcą, tworzy dialog.

Zabrakło mi w tej pracy subiektywizmu. Postawę autorki dobrze oddaje fragment wstępu, w którym tłumaczy się ona z przekazu własnych wrażeń ze słuchania, obawiając się zarzutu braku profesjonalizmu. A jednak nie dostaliśmy nudnej muzykologicznej piły, przeciwnie, to książka napisana piękną, komunikatywną polszczyzną. Autorka nie tylko pozwala nam zrozumieć poszczególne utwory i wejść w klimat muzyki Meyera, lecz także – może nie wprost i często ukrywając się za opiniami krytyków – sytuuje go w ścisłej czołówce polskich kompozytorów XX i XXI wieku.

Grzegorz Filip

Magdalena DZIADEK, ***Krzysztof Meyer. Nowoczesny i romantyczny***, Polskie Wydawnictwo Muzyczne, Kraków 2025, seria: Kompozytorzy Polscy XX i XXI wieku.

W zwierciadle, niejasno



Początki polskiej państwowości wydają się oswojone: pierwsi władcy, chrzest Polski, Gniezno, Lednica… Jednak w rzeczywistości o tamtej epoce wiemy zaskakująco niewiele w porównaniu z tym, z jaką pewnością siebie wielu o niej mówi i pisze. Polski X i XI wiek przywodzą na myśl wczesne średniowiecze w Europie Zachodniej: znamy najważniejsze fakty, imiona i miejsca, mamy dość solidne wyobrażenie o zachodzących wówczas procesach i przemianach, wiele kwestii jest jednak niepewnych, liczne zagadnienia stanowią przedmiot raczej spekulacji i koniektur. Trudno często wyobrazić sobie, jak ówcześni ludzie – w tym elity władzy państw zachodnioeuropejskich przed Karolem Wielkim czy Polski pierwszych Piastów – myśleli, wartościowali, podejmowali decyzje. Są jak przestawienia ludzkich postaci z nielicznych zachowanych z tamtych czasów przedmiotów czy elementów budowli, o schematycznych, częściowo zatartych konturach i twarzach bez wyrazu; jak niewyraźny obraz odbity w zwierciadle z epoki, gdy wykonywano je z polerowanego metalu (szklane lustra upowszechniły się dopiero w dojrzałym średniowieczu).

Przemysław Urbańczyk stara się nieco oczyścić powierzchnię tego zwierciadła, wyjaśnić bez skomplikowanego aparatu pojęciowego, w jaki sposób wasal niemieckiego władcy, książę Bolesław Chrobry, którego ojciec rozpoczął panowanie jeszcze jako poganin, zdołał doprowadzić do swojej koronacji na króla (a zatem samodzielnego władcę) i wyrwać się spod zależności od potężnego sąsiada. W uproszczony (z uwagi na niewielką objętość i popularny charakter publikacji) sposób przedstawia kontekst, w jakim funkcjonowała młoda polska monarchia i powody, dla których zmiana statusu z księcia na króla była tak ważna. Szybko wychodzi też poza ugruntowane historyczne mity. Wskazuje, że pozycja kolejnych władców niemieckich też nie była oczywista, szczególnie w kontekście panowania Henryka II, jak również że „odwieczna wrogość polsko-niemiecka" to późniejszy kontekst, a wzajemny stosunek obu państw do siebie w pierwszej połowie XI wieku był złożony i zmienny. Autor umie też wykorzystać swe przygotowanie naukowe (jest archeologiem): umiejętnie osadza fakty historyczne w konkretnych miejscach (które znamy właśnie dzięki pracom wykopaliskowym), podkreślając kontrast między skromną architekturą-scenerią a dalekosiężnymi skutkami wydarzeń, które miały tam miejsce.

Książka ma też jednak wyraźnie widoczną wadę, może nie dyskwalifikującą, ale rzucającą się w oczy. Próby wyjaśniania motywacji i przeżyć postaci historycznych, przede wszystkim samego Bolesława, przekraczają granice uproszczenia uzasadnionego popularyzacją. Gdy autor pisze, że śmierć pierwszego króla Polski niedługo (maksymalnie kilka miesięcy) po koronacji mogła być wynikiem silnego wzruszenia wywołanego realizacją życiowego celu, sprawia to wrażenie niepoważnego traktowania bohatera. Spekulowanie na temat motywacji i cech psychicznych postaci historycznych bywa ryzykowne, proces historyczny kształtują siły znacznie bardziej złożone niż osobiste ambicje i kompleksy czy personalne animozje. Tak rzeczywiście może być często łatwiej wyjaśnić dawne czasy i bardziej plastycznie je przedstawić na użytek laików, ale jeśli nadużywa się tej metody, wielka historia może zacząć się jawić jako coś w prosty sposób zrozumiałego i w gruncie rzeczy podobnego np. do współczesnych walk frakcyjnych w partiach politycznych. To prawda, że ludzka natura w jakimś sensie jest niezmienna od zarania dziejów, ale warto też pamiętać, że im dalej w przeszłość, tym bardziej sposób myślenia i mentalność są odmienne od naszych i coraz trudniej je zrekonstruować.

Marek Misiak

Przemysław URBAŃCZYK, ***Co się stało w 1025 roku?***, Wydawnictwo Zysk i S-ka, Poznań 2025.

Kobiety w branży książkowej



Na początek chciałbym zwrócić uwagę na pełny tytuł omawianej publikacji. Nie pozostawia on wątpliwości, jaki cel przyświeca jej autorom, o czym będzie mowa i jakie problemy będą rozpatrywane. Tu od razu muszę się poprawić: użyłem słowa „autorzy", a bardziej właściwie byłoby mówić o autorkach, bo jest to monografia zbiorowa, na którą złożyły się teksty kilkunastu naukowczyń i tylko jednego naukowca. Kobiety więc piszą o kobietach. Anita Has-Tokarz i Renata Malesa, które zajęły się redakcją naukową publikacji i opatrzyły krótkim, aczkolwiek interesującym wstępem, stwierdzają, że pozycja kobiet we wszystkich dziedzinach życia społecznego, kulturalnego, politycznego, naukowego i gospodarczego bezustannie się umacnia. Proces ten u początków dokonywał się z pewnymi oporami, ale obecnie nabrał rozpędu i dziś wiele kobiet zajmuje najpoważniejsze stanowiska, ich wpływ na kształtowanie różnych obszarów życia jest ogromny.

W czerwcu 2023 roku w Lublinie odbyła się 3. edycja Międzynarodowej Konferencji Naukowej z cyklu „Ksi@żka w mediach – Media w ksi@żce" pod hasłem „Ksi@żka jest kobietą… Rynek książki (dla) kobiet. Przeszłość – Stan obecny – Perspektywy". Wydarzenie to zostało zorganizowane przez Katedrę Informatologii, Bibliologii i Edukacji Medialnej Instytutu Nauk o Komunikacji Społecznej i Mediach UMCS w Lublinie, Department of Social Communication and Information Activities Lviv Polytechnic National University, Department of Social Communication Lesya Ukrainka Volyn National University (Łuck) oraz Department of Media Communications Ukrainian Academy of Printing (Lwów).

Oddajmy głos autorkom wstępu: „Fundamentalnym zamierzeniem organizatorów wydarzenia stało się ustalenie pozycji kobiet w szeroko rozumianej branży książkowej, w tym rozpoznanie ich udziału w spektrum zawodów związanych z procesami projektowania, tworzenia, publikowania, dystrybuowania, promowania i udostępniania książek. Zawody te reprezentują m.in.: autorki, tłumaczki, ilustratorki, graficzki, wydawczynie, redaktorki, agentki literackie, krytyczki, bibliotekarki, kobiety prowadzące studia graficzne, agencje literackie, hurtownie książek, sieci księgarskie, antykwariaty, aktywnie działające w mediach branżowych, prezeski i członkinie organizacji oraz stowarzyszeń związanych z rynkiem książki i promocją czytania. Równie istotnym tematem dyskusji były kwestie dotyczące funkcjonowania kobiet jako czytelniczek i konsumentek na rynku książki".

Omawiana książka jest publikacją pokonferencyjną, na którą złożyło się dwanaście artykułów. Zostały one podzielone na dwie części: *Branża książkowa jako obszar aktywności kobiet – perspektywa historyczna i współczesna* oraz *Kobiecy wymiar (rynku) książki*. W celu orientacji w poruszanych zagadnieniach przywołam je wszystkie: czytelnictwo kobiece w polskiej prasie międzywojennej; almanach *Pierwszy wianek* jako pierwsza kobieca publikacja w Ukrainie; działalność Marii Danilewicz-Zielińskiej jako pisarki, bibliografki i bibliotekarki; książka jako źródło tradycji kulturowej i autorytetu moralnego kobiet; stereotypy związane z płcią w zawodzie bibliotekarza; kobiety w redakcjach wydawnictw akademickich w Krakowie. Artykuły te zgrupowano w pierwszej części książki. Poza tym w publikacji znalazły się artykuły dotyczące literatury biznesowej i popularnonaukowej dla kobiet, analiza twórczości Nicholasa Sparksa, Zuzanny Kawy, polskich ilustratorek książek. Równie interesujący jest szkic, w którym dokonano rozpoznania antybohaterek współczesnej literatury kobiecej.

Książka godna polecenia. Nie tylko zresztą badaczom i badaczkom zajmującym się naukowo problematyką feminizacji zawodów związanych z dziedziną kultury książki. Wszystkie teksty zostały napisane w sposób umożliwiający ich lekturę także przez nieprofesjonalistów.

Tomasz Kłusek

Książka w mediach, media w książce. Ksi@żka jest kobietą. Rynek książki jest dla kobiet. Przeszłość – stan obecny – perspektywy, red. Anita Has-Tokarz, Renata Malesa, Wydawnictwo Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, Lublin 2024.

Przywrócić zaburzoną harmonię



Niegdyś dawał wytchnienie, był naturalną potrzebą, regulował rytm doby. Współcześnie stał się problemem, z którego brakiem zmaga się społeczeństwo.

Książka *Fenomen snu* jako wspólne przedsięwzięcie pracowników Centrum Badań im. Edyty Stein UAM, Katedry Nauk Społecznych i Humanistycznych Uniwersytetu Medycznego im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu i Uniwersyteckiego Szpitala Klinicznego UM w Poznaniu zapowiada interdyscyplinarność. Sen bowiem jest dziś przedmiotem badań medyków (przedstawicieli neurologii, psychiatrii, pulmonologii, kardiologii i laryngologii), humanistów (z zakresu historii, kulturoznawstwa, historii sztuki, literaturoznawstwa), teologów. Natura snu jednak wymyka się poza refleksję czysto medyczną czy filozoficzną, budząc przekonania o jego magicznej, proroczej czy też heurystycznej mocy. Estetyka oniryczna znalazła wyraz w dziełach literackich, malarskich czy filmowych. Książka jest zbiorem esejów zgrupowanych tematycznie.

Otwierający książkę rozdział Szczepana Cofty i Darii Springer *Zdrowy sen* ukazuje holistyczne podejście współczesnej medycyny do snu. Od czasów starożytnych zastanawiano się, czy sny można tłumaczyć. Interpretatorów nie brakowało; sam Arystoteles pisał o śnie i o czuwaniu, o marzeniach sennych i o wróżeniu ze snów. W rozdziale *O czym śnili starożytni?* Elżbieta Wesołowska, Kazimierz Ilski, Juliusz Rogowski i Łukasz Jędrowski omówili toposy związane z ciemnością, snem i nocą w twórczości poetów antycznych. Rozdział *Sny w religii i filozofii*, autorstwa Marii Baranowskiej, Joanny Kiersztejn, Elżbiety Kotkowskiej, Doroty Kamińskiej-Jones, to refleksja nad tajemnicą snu, półsnu, czuwania, letargu, a także snu jako narzędzia diagnostycznego w przekazach kultury indyjskiej. Rozdział *Sny bolesne – sny uzdrawiające* to dwa artykuły Anny Grzegorzyk i Małgorzaty Okupnik dotyczące snów towarzyszących „doświadczeniom granicznym" (K. Jaspers) i ukazujących psychiczną kondycję człowieka po przejściach. Przywołane są tu świadectwa trzech kobiet: Wandy Półtawskiej, Edyty Stein i Jadwigi Koczocik-Przedpelskiej.

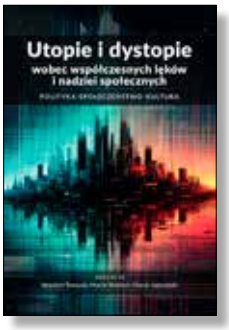
W rozdziale *Sny artystyczne* autorstwa Grzegorza Kubskiego, Marka Skrukwy, Rafała Koschanego i Marka Kurkiewicza zinterpretowane zostały: poemat *Ostatni* Zygmunta Krasińskiego i powieściowy cykl *Rodzina Thibault* Rogera Martin du Garda. Dzieła te łączy element snu jako wyraz niemocy, marazmu, stającego się początkiem wizji religijnych. Omówione zostały także oniryczne motywy twórczości w tekstach Grzegorza Ciechowskiego oraz popularne metaforyczne porównanie kina do snu ze szczególnym zwróceniem uwagi na film *Holy Motors* Leosa Caraxa. Ewa Baum i Krzysztof Prętki w rozdziale *Z dziejów badań nad snem* przywołują sylwetki i badania dwóch polskich przedstawicieli zagadnienia: Benedykta Dybowskiego (1833-1930) *Sen i marzenia senne* (1907) oraz Adolfa Klęska (1876-1935) *Fizyologia i patologia snu* (1900). W rozdziale *Sny nasze współczesne* Paweł Siek, Maria Bartkowiak, Maja Olesińska, Joanna Sztanka a także Yuliia Shabanova, Anatolii Osypov zwracają uwagę na potrzebę integracji naturalnych rytmów człowieka i całej przyrody z rytmami życia społecznego. Paradygmat kulturowy metamodernizmu oraz model „nowego stoicyzmu" mają, zdaniem autorów, służyć przywróceniu zaburzonej harmonii i integralności człowieka.

Do tomu dodane zostały teksty jubileuszowe z okazji 20-lecia Centrum Badań im. Edyty Stein UAM. Zaprezentowano dzieje recepcji i refleksję naukową nad filozofią Teresy Benedykty od Krzyża w Polsce, omawiając jej relacje intelektualne i osobiste z Edmundem Husserlem, Martinem Heideggerem i Romanem Ingardenem.

Bogdan Bernat

Fenomen snu, red. nauk. Ewa BAUM, Szczepan COFTA, Anna GRZEGORCZYK, Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu Adama Mickiewicza, Poznań 2024, seria: Filozofia i Logika.

Współczesna dystopia



Przemiany społeczne, kulturowe czy polityczne we współczesnym świecie przebiegają bardzo dynamicznie. Dotyczy to rozwoju technologii, epidemii, ekologii oraz kwestii konfliktów zbrojnych. Niepewny i zmienny obraz dzisiejszości wywołuje zarówno strach, jak i nadzieję, co unaocznia się w ogólnym dyskursie publicznym oraz w naukach akademickich, takich jak politologia, socjologia, kulturoznawstwo, teologia, literaturoznawstwo itp. W tym kontekście dystopia i utopia grają rolę istotnego narzędzia, stanowią przestrzeń nie tylko dla filozoficznych i literackich poszukiwań, ale także są podstawą analizy i refleksji na temat kondycji społeczeństwa.

Publikacja jest owocem międzynarodowej konferencji zorganizowanej przez Wydział Nauk o Polityce i Administracji UKW w Bydgoszczy. Celem tego przedsięwzięcia było m.in. przedstawienie stanu badań nad zjawiskami, którymi zajmuje się monografia, tym samym redaktorzy wyrażają przekonanie, że interdyscyplinarne podejście do postawionych zagadnień pozwoli lepiej zrozumieć kategorie utopii i dystopii w kontekście współczesnych odczuć społecznych.

Pojęcia dystopii i utopii przywołują skojarzenia z literaturą i kinematografią spod znaku fantastyki. W tym kontekście warto przywołać badanie Julii Iwanickiej, która analizuje powieści *Vox* Christiny Dalcher oraz *Wściekłe* Ewy Podsiadły-Natorskiej. Jak wskazuje autorka, celem rozdziału jest przedstawienie „punktów zapalnych" rzeczywistości, które określiły genezę dystopijnych wizji obu powieści. Głównym założeniem ich fabuł jest myśl feministyczna: eliminacja równości płci skutkuje utworzeniem dystopijnej fikcji. Ukazanie skrajnie patriarchalnego świata, w którym kobiety są całkowicie pozbawione podmiotowości, jest nie tylko zabiegiem literackim, ale także interwencją i odpowiedzią na pytanie, jakie konsekwencje poniesie społeczeństwo, jeśli kobiety utracą dotychczasowe prawa. Powieści przyjmują charakter dydaktyczny: feminizm przedstawiany jest jako słuszność i konieczność, a obalenie emancypacji przybiera katastroficzny charakter.

Szczególnie nowatorskie badanie Kacpra Andruszczaka dotyczy analizy twórczości Alexandra McQueena, brytyjskiego projektanta mody. W swoich kolekcjach artysta inspirował się ideami neoromantycznymi, poruszając takie tematy jak fascynacja przeszłością, zaburzenia psychiczne oraz autodestrukcja. Co więcej, treść i forma pokazów skutkowały emocjonalnym i fizycznym doświadczeniem modelek, które w trakcie przedstawień tańczyły, wykonywały erotyczne gesty. Od lat 80. i 90. monopolistyczna władza i technologiczna kontrola jednostki zyskiwały na sile, co potęgowało nastroje dystopijne, wówczas moda wyrażała współczesne lęki. Taka perspektywa pozwala dostrzec, że dystopia nie jest jedynie teoretycznym konstruktem i manifestuje się także w estetyce.

Niepodważalnym atutem monografii jest połączenie badań o różnej problematyce: od konstruktów ustrojowych, ekologii i funkcji światotwórczych po analizę serialu *Podróżnicy* jako popkulturowej reakcji na współczesne kryzysy. Zarazem podkreślić należy, że książka jest przede wszystkim odważną diagnozą współczesności, analizą zagrożeń i spektrum ostrzegawczym. Interdyscyplinarne podejście skutkuje wieloaspektową analizą utopijnych i dystopijnych wizji, w których dystopia stanowi realne zagrożenie. Niemniej w tak szerokim zestawieniu warto byłoby uwzględnić więcej analiz opartych na przykładach pozafikcyjnych, idąc tropem badania twórczości McQueena, co pozwoliłoby na podkreślenie zjawiska dystopii w życiu społeczno-kulturowym.

Weronika Zuzanna Jabłońska

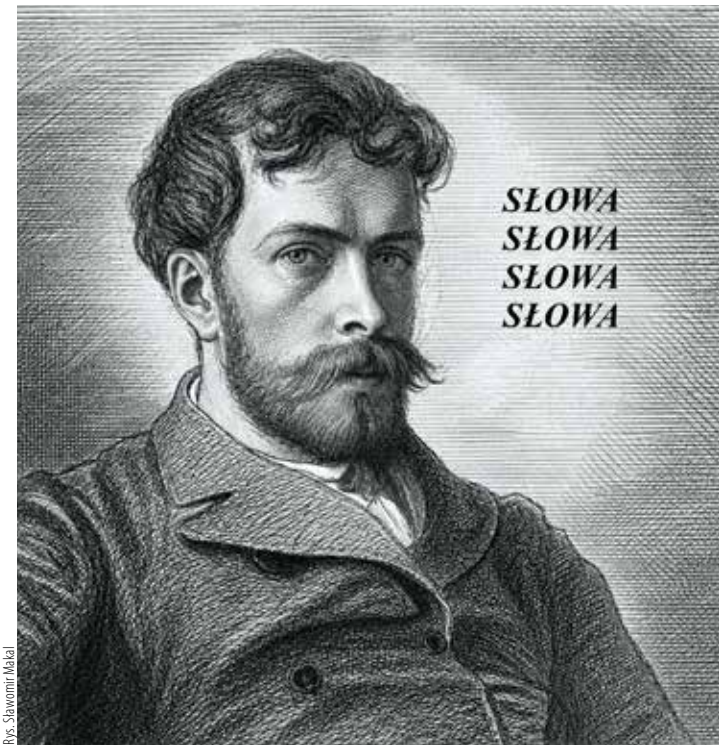
Utopie i dystopie wobec współczesnych lęków i nadziei społecznych. Polityka – społeczeństwo – kultura, red. Wojciech TREMPAŁA, Marcin WAŁDOCH, Marcin JASTRZĘBSKI, Wydawnictwo Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego, Bydgoszcz 2024.

Krzysztof Goczyła

Wobec manipulacji

Język jest apolityczny. Wszystko mu jedno, kto jest aktualnie u władzy, a kto jest opozycją. Jest po prostu narzędziem, bardzo specyficznym, ale jednak narzędziem, służącym do komunikowania się pomiędzy ludźmi. Tak by się przynajmniej wydawało. Weźmy taki młotek albo nóż. Bardzo pożyteczne narzędzia, a jednak – niewłaściwie użyte – ileż krzywdy mogą narobić. Ale czy to jest powód, by je wyeliminować? Taki też jest język.

Dlaczego dziś tak poważnie? Asumpt do tego felietonu dała niedawna konferencja prasowa pewnego bardzo prominentnego polityka. Moi Szanowni Czytelnicy zapewne pomyślą, że



Rys. Sławomir Makal

znów będę pastwił się nad językiem polityków. Otóż nie, a nawet wręcz przeciwnie. Chodzi mi tym razem o język dziennikarzy, a właściwie jednego z dziennikarzy uczestniczących w tej konferencji.

Ale zacznijmy od początku. Pytanie, jakie padło ze strony owego dociekliwego dziennikarza, dotyczyło interpretacji niewinnego zdawałoby się przyimka ‘wobec’. Na pewno większość moich Czytelników wie, o co chodzi, a tych nielicznych, którzy nie wiedzą, odsyłam do informacji internetowych i prasowych dotyczących pewnego artykułu Konstytucji RP i związanych z tym konsekwencji wagi państwowej. Na marginesie – naiwnie nie sądziłem, że kiedykolwiek jakikolwiek polski przyimek stanie się przedmiotem sporu politycznego… Ale wróćmy do tej konferencji. Otóż ów dziennikarz zadał owemu politykowi pytanie dotyczące znaczenia owego przyimka w kontekście owego artykułu Konstytucji RP i konsekwencji, jakie to spowodowało (mam nadzieję, że zawikłałem to odpowiednio, by w felietonie językowym uniknąć bezpośrednich odniesień do polityki). Szkopuł w tym, że w owym pytaniu zawarta była odpowiedź, nieprzychylna dla polityka. Takie formułowanie pytań nie jest rzadkością w dzisiejszych rozchwianych czasach i nawet podziwiam tę umiejętność. Ja niestety jej nie posiadłem – i tu muszę rozczarować moich studentów: nie będzie takich pytań na egzaminach! Przepraszam, znów odbiegłem od głównego wątku. Tą podpowiedzianą przez dziennikarza odpowiedzią był cytat ze słownika języka polskiego, definiujący znaczenie rzeczonego przyimka ‘wobec’. Sprawdziłem, że był to dosłowny cytat (czy cytat może być niedosłowny?) ze *Słownika języka polskiego PWN*, dostępnego pod adresem **sjp.pwn.pl**. Wobec tak postawionego pytania polityk zachował kamienną twarz i odpowiedział zupełnie nie na temat, co, jak wiadomo, jest umiejętnością niezbędną do sprawowania wysokich funkcji o charakterze politycznym. Tu muszę trochę usprawiedliwić tego polityka – trudno przynosić ze sobą słownik języka polskiego, czy też laptop, by sprawdzić, co też ci dziennikarze wymyślą.

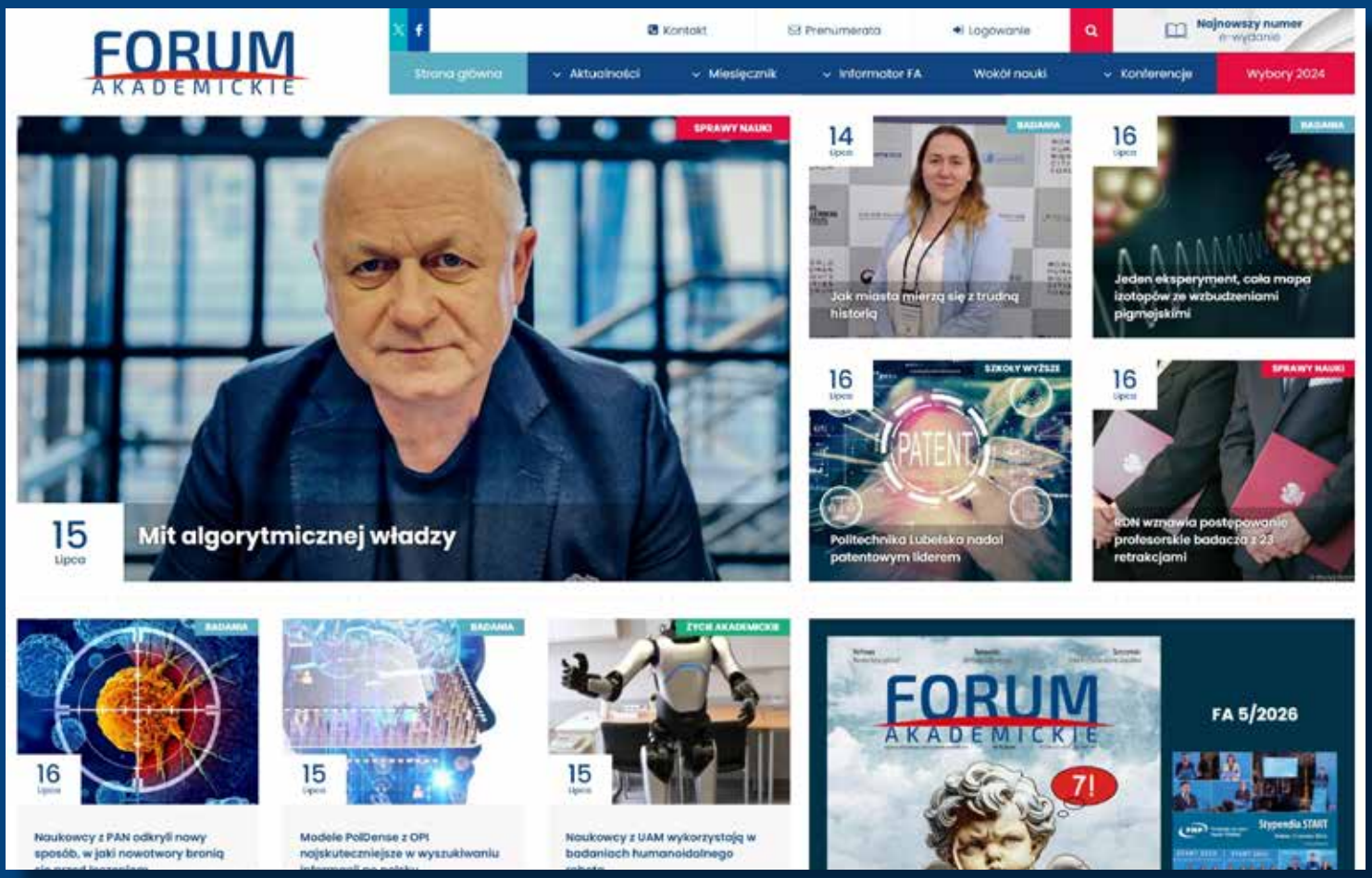
No właśnie, co wymyślił ten dziennikarz? Niby nic, ale jednak był to kliniczny przypadek językowej manipulacji. Wydawałoby się, że dziennikarze powinni mieć sporą dozę szacunku dla polszczyzny, szczególnie gdy przytaczają definicje uznanych słowników. Żeby nie być gołosłownym, przytoczę pełną definicję przyimka *wobec* według podanego wyżej źródła:

1. „przyimek przyłączający nazwę osoby, instytucji lub organizacji, do której odnosi się charakteryzowana w zdaniu postawa lub czynność, np. *Wobec handlarzy narkotyków stosowano surowe kary*.”
2. „przyimek przyłączający charakterystykę okoliczności, zwykle niekorzystnych, które pociągnęły za sobą konsekwencje przedstawione w zdaniu, np. *Wobec zagrożenia lawinowego zrezygnowali ze wspinaczki*.”
3. „przyimek wprowadzający podstawę porównania charakteryzowanego w zdaniu zjawiska lub przedmiotu, np. *Wysiłek był niewielki wobec oczekiwanych rezultatów*.”
4. „przyimek wraz z rzeczownikiem nazywającym osobę komunikujący o obecności danej osoby w czasie danego zdarzenia, np. *Przeprosiła nauczyciela wobec całej klasy*.”

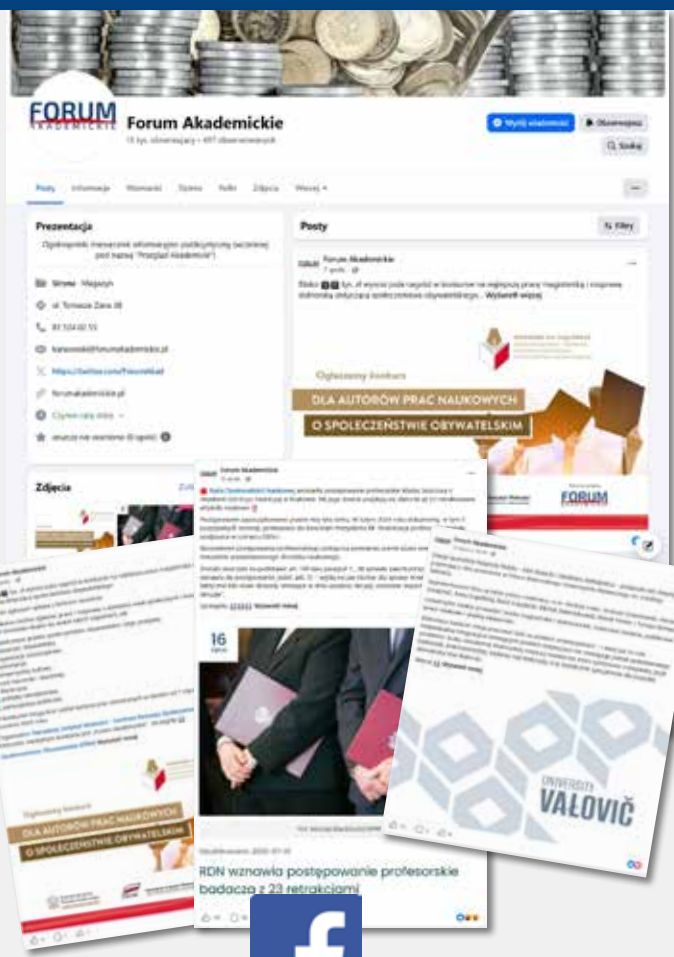
Ów dziennikarz przytoczył tylko jedną z tych definicji, dla celów wiadomo jakich: by ów biedny polityk musiał uciec się do odpowiedzi, delikatnie mówiąc, wymijającej. Która to była definicja – pozostawiam dociekliwości Szanownych Czytelników oraz pamiętliwości wszechwiedzącego Internetu.

Można by spytać, dlaczego o tym piszę? Czy warto zajmować się takimi prymitywnymi manipulacjami? Warto, bo w tych manipulacjach narzędziem jest nasz język, nasze dobro narodowe, zapewne najważniejszy element naszej narodowej kultury. I to boli.

krissun@pg.edu.pl



www.forumakademickie.pl



@ForumAkad









@ForumAkademickie





Akademickie Mistrzostwa Świata 2026

KOLARSTWO (CHINY), SPORTY WALKI (BRAZYLIA), CHEERLEADING (SZWECJA)

Fot. FISU, Grzegorz Miedziński

FISU WORLD UNIVERSITY CHAMPIONSHIP CHEERLEADING

FISU WORLD UNIVERSITY CHAMPIONSHIP COMBAT SPORTS

FISU WORLD UNIVERSITY CHAMPIONSHIP CYCLING







